

Wola nie do poznania • Budowanie dobra – MDM i WSM • Na granicy światów
Szwarcówki • Grażyna Barszczewska o sobie • Szlakiem orlich gniazd

ISSN 0039-1689 INDEKS 22622X

STOLICA

NR 9-10 (2400-2401) WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK 2025 • 19,98 zł w tym 8% VAT



Życie
wśród gruzów
i odbudowa
Warszawy

na operowej scenie i wystawach

Skrzyżowanie alei 3 Maja (obecnie Aleje Jerozolimskie) z Nowym Światem, Warszawa, styczeń 1947, fot. PAP

ISSN 0039-1689



9 770039 168507

Mazowsze w Koronie A.D. 1526

W przyszłym roku minie 500 lat od włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego. Wydarzenia towarzyszące tej rocznicy rozpoczęły się już w zeszłym roku i potrwają do września 2026 r. Wystawy, korowody, warsztaty walk rycerskich w szkołach i liczne publikacje to wybrane elementy jubileuszu.

Od marca 2025 r. Muzeum Mazowieckie w Płocku prezentuje wystawę plenerową Mazowsze dla Korony. Na 80 planszach ukazano dzieje Mazowsza, jego władców, proces inkorporacji oraz 15 historycznych ziem mazowieckich. Od marca dwa egzemplarze wystawy odwiedzają kolejne miejscowości historycznego Mazowsza. Teraz można oglądać ją w Garwolinie i Zakroczymiu. W kolejnych miesiącach pojedzie do Płońska, Mszczonowa i Mińska Mazowieckiego. Natomiast we wrześniu 2026 r. zostanie otwarta wystawa czasowa prezentująca zabytki będące materialną spuścizną książęcego Mazowsza. Mają się na niej znaleźć cenne średniowieczne obiekty z Muzeum Narodowego w Krakowie, także z jego oddziału – Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie, z Zamku Królewskiego na Wawelu, Muzeum Warszawy oraz z muzeów mazowieckich m.in. w Pułtusk, Mławie, Ciechanowie i Liwie. Trwają także prace nad projektem badawczym *Mazowsze w dobie inkorporacji do Królestwa Polskiego (1462–1526)* prowadzone przez Mazowiecki Zespół Badawczy Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk. Historycy przygotowują publikacje na temat władców Księstwa Mazowieckiego, społeczeństwa i elit



kulturalnych. Wyniki ich prac zostaną zaprezentowane na konferencji naukowej we wrześniu 2026 r., dokładnie w rocznicę złożenia przez sejm Księstwa Mazowieckiego przysięgi na wierność królowi Zygmuntowi I Staremu.

Mazowsze zostało włączone do Korony Rzeczypospolitej w 1526 r. Wcześniej po rozbiciu dzielnicowym uzyskało pewną samodzielność i dzięki rządowi książąt mazowieckich przez trzy wieki na jego terenie rozwijały się handel i rzemiosło. Powstały takie miasta jak Ciechanów, Czersk i Liw, a w nich zamki warowne stanowiące ochronę dla miejscowej ludności. Po bezpotomnej śmierci ostatnich książąt mazowieckich Stanisława i Janusza III księstwo na prawie lennym zostało włączone do Królestwa Polskiego. ●



W DNIACH 13–14 WRZEŚNIA 2025 r. na zamku w Pułtusk odbył się XII Piknik z Husarią poświęcony pamięci hetmana Jana Karola Chodkiewicza i udziału wojsk polskich w wielkim zwycięstwie, jakim była bitwa pod Kircholmem. W inscenizacji wzięli udział husarze walczący w Polskiej Lidze Husarskiej z Gniewu, Chorągiew Husarska Województwa Pomorskiego z Krystianem Mrozem, Chorągiew Rycerska Ziemi Sandomierskiej z Jerzym Misiurą i Krzysztofem Dykiem, Chorągiew Księstwa Mazowieckiego Ziemi Liwskiej, Chorągiew Zamkowa w Pułtusk z Tomaszem Jaskólskim, Chorągiew Husarska Zamku w Dobczycach, wojska szwedzkie z Tomaszem Rejsem na czele. W programie wydarzenia odbył się pokaz polskiej piechoty z Chorągwi Księstwa Mazowieckiego Ziemi Liwskiej oraz Ogólnopolski Turniej Husarski o Pierścień Lwa Lechistanu.

W NUMERZE:

4 Kronika

WARSZAWA

- 6 Zmiany na Woli. Mirów – Jerzy S. Majewski
- 16 Budowanie dobra. WSM Mokotów – Tadeusz Michalski
- 22 MDM. Dzielnica z marzeń – z Krzysztofem Mordyńskim rozmawia Mateusz Kaczyński

ODPOCZNIJ NA MAZOWSZU

- 28 Niech nas ręka boska broni! Zamki biskupie na Mazowszu – Piotr Lasek

HISTORIA

- 38 Krucyfiks Baryczkowski. 500 lat w Warszawie – Krzysztof Traczyński
- 41 Pandemiczne wotum. Finał rekonstrukcji bocznego ołtarza św. św. Rocha, Sebastiana i Rozalii w kościele Świętego Krzyża – Michał Wardzyński
- 46 Na granicy światów. Sądy na Lesznie – Anna Kołodziejczyk
- 50 Historia jednego hotelu. Przedwojenny Hotel Rzymski – Maria Brodzka-Bestry

KULTURA

- 52 Nim powstanie pałac – ze Sławomirem Kulińskim rozmawia Ewa Kielak Ciemniewska
- 59 Warszawa Jerzego Waldorffa – Elżbieta Ciborska
- 67 Notatnik warszawski
- 70 Pierwsza opera o Warszawie – Ewa Kielak-Ciemniewska
- 73 Czytelnicy piszą. Ocalić od zapomnienia
- 74 STOLICA CZYTA – Szlak orlich gniazd – Paweł Dunin-Wąsowicz
- 80 Mokotowskie ciekawostki – Andrzej Rogiński
- 85 Nie żyję przeszłością – z Grażyną Barszczewską rozmawia Rafał Dajbor
- 90 Zapomniany niebotyk – Jerzy S. Majewski
- 92 Szwarcówki – Jarosław Górski
- 96 W powietrzu! – Przemysław Śmiech
- 97 Dzielnica w amfiladzie – Jacek Fedorowicz
- 98 Warsztaty kolejowe – Krzysztof Olczak



STOLICA
nr 9-10 (2400-2401)
wrzesień-październik 2025

Nasza okładka:

Fragment zdjęcia z wystawy w Domu Spotkań z Historią *Warszawa na nowo* – Skrzyżowanie alei 3 Maja (obecnie Aleje Jerozolimskie) z Nowym Światem, Warszawa, styczeń 1947, fot. PAP

Elektroniczna wersja STOLICY: www.egazety.pl, www.warszawa-stolica.pl Partnerzy: Narodowe Archiwum Cyfrowe, www.nac.gov.pl, fotopolska.eu

STOLICA

Poprzednie numery *Warszawskiego Magazynu Ilustrowanego STOLICA* można nabyć m.in. w Domu Spotkań z Historią przy ul. Karowej 20, numery z poprzednich lat – w księgarni w Muzeum Niepodległości w pałacu Przebendowskich / Radziwiłłów przy al. „Solidarności” 62

Wydawca: EKBIN
ISSN 0039-1689
www.warszawa-stolica.pl, redakcja@warszawa-stolica.pl
tel. 22 741 01 30

Zespół:
Ewa Kielak Ciemniewska (redaktor naczelna)
ewa.stolica@gmail.com
Jerzy S. Majewski
Katarzyna Komar-Michalczyk (sekretarz redakcji)
info@warszawa-stolica.pl

Stale współpracują: Grzegorz A. Buczek, Elżbieta Ciborska, Rafał Dajbor, Paweł Dunin-Wąsowicz, Jacek Fedorowicz, Tatiana Hardej, Mateusz Kaczyński, Krystyna Koziarowska (Korekta), Michał Krasucki, prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska, Tomasz Markiewicz, Ryszard Mączewski, Tadeusz Michalski, Tomasz

Miłkowski, Marcin Mierzejewski, Artur Mościcki, Sebastian Pawlina, Michał Pilich, Norbert Piwowarczyk, dr hab. Mateusz Rodak, Rafał Skąpski, Adrian Sobieszczański, Przemysław Śmiech, dr hab. Michał Wardzyński, prof. UW
Zdjęcia: Magdalena Hajnosz, Paweł Ciemniwski, Norbert Piwowarczyk, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Warszawy, NAC, Fotopolska, Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, archiwum STOLICY
Opracowanie graficzne: Anna Skowrońska, Ideapress sp. z o.o.
Teksty do druku przyjmujemy tylko w formie elektronicznej.
© Copyright STOLICA / Wszelkie prawa zastrzeżone; wykorzystywanie tekstów, ich fragmentów i zdjęć, zarówno w druku, jak i w Internecie – bez zgody redakcji jest niedozwolone.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, wprowadzania skrótów i zmian tytułów.
Redakcja nie odpowiada za treść i formę reklam.
Zamówienia na prenumeratę STOLICY w wersji papierowej można składać bezpośrednio w Redakcji pod adresem: redakcja@warszawa-stolica.pl, a w wersji elektronicznej na gazety i e-kiosk



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

6

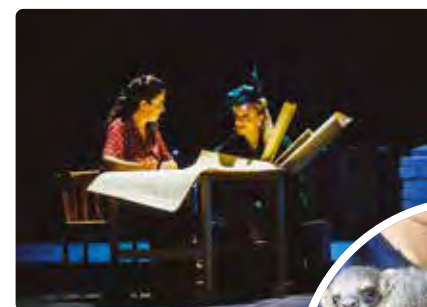


16

22

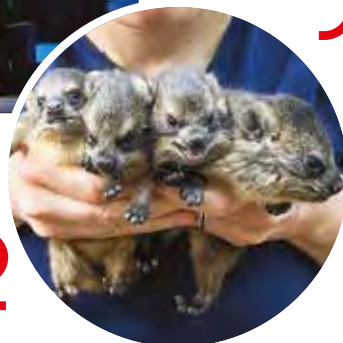


52



70

72



59

► Urząd miasta ogłosił nowy nabór wniosków w ramach programu Nowe Warszawskie Ekodotacje, który jest pomocą finansową dla tych, którzy chcą zmodernizować swoje źródła ogrzewania i zainvestować w odnawialne źródła energii (OZE). Nabór potrwa do 31 marca 2026 r. W tym roku na ten cel zarezerwowano w budżecie aż 35 mln zł. Fundusze trafią m.in. na modernizację kotłowni oraz montaż instalacji odnawialnych źródeł energii, likwidację szamb i przyłączenie do sieci kanalizacyjnej, usunięcie azbestu oraz inwestycje związane z zatrzymywaniem wód opadowych w miejscu ich powstawania oraz rozbetonowaniem nawierzchni nieprzepuszczalnych. Z miejskiego programu wsparcia mogą skorzystać m.in.: osoby fizyczne, wspólnoty i spółdzielnie mieszkaniowe, przedsiębiorcy, stowarzyszenia i fundacje. Informacje na stronie: eko.um.warszawa.pl.

► XIV Warszawskie Dni Techniki odbędą się w dniach 22–28 października 2025 r. pod hasłem Warszawa – Technika wczoraj, dziś, jutro! Celem jest rozwój zainteresowań technicznych i poszerzenie wiedzy o aktualnym stanie techniki i innowacyjności zastosowań technicznych oraz zachęcenie młodzieży do nauk technicznych. Inauguracja XIV Dni odbędzie się w formie sesji naukowej w środę, 22 października br., w sali konferencyjnej Warszawskiego Domu Techniki NOT przy ul. Czackiego 3/5. Program obejmie wystąpienia dotyczące istotnych spraw techniki. W kolejnych dniach przewidziane są wycieczki do partnerów Warszawskich Dni Techniki – uczelni, instytutów i firm. Organizatorami wydarzenia są Oddział Warszawski Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Mechaników Polskich (SIMP) i Rada Stołeczna Naczelnej Organizacji Technicznej (NOT).

Port Czerniakowski coraz nowocześniejszy

Był stary, drewniany, malowniczo położony, trochę rozpadający się mały mostek. Teraz jest most długości 60 m, a szerokości 8,2 m, o konstrukcji stalowej z żelbetową płytą posadowioną na wielkośrednicowych palach wierconych. Może nie tak romantyczny jak ten staruszek zamknięty w 2008 r., ale wygodny, nowoczesny, bezpieczny. Łączy nabrzeża ul. Czerniakowskiej i Żurawieckiego i zapewnia wygodne i bezpieczne przejście nad kanałem portowym. Przeprawa umożliwiła również bezpośrednie połączenie ścieżek rowerowych z mostu Łazienkowskiego z trasami na Solcu, Czerniakowskiej i Łazienkowskiej. Jest dostępna dla wszystkich – pieszych, rowerzystów, dostosowana do potrzeb osób z niepełnosprawnością ruchową. Nowa przeprawa to także element, który realnie usprawnia funkcjonowanie Portu Czerniakowskiego. Korzystający ze sprzętu pływającego mają tam teraz możliwość tzw. przejazdu technicznego, co usprawni obsługę jednostek wodnych w porcie. Dodatkowo powstała też nowa droga do basenu portowego oraz schody poprawiające dostęp do pomostu w północnej części portu. A wraz z otwarciem mostu została przywrócona organizacja ruchu na ul. Żurawieckiego i bulwarze Floty Pińskiej. Zachęcamy do jesiennych spacerów po Porcie Czerniakowskim. ●



Cezary Warś / UM St. Warszawy; Urząd Dzielnicy Targówek, Szkoła

SzkoUA dla dzieci z Ukrainy

Wraz z rozpoczęciem roku szkolnego na Pradze-Południe przy ul. Terespolskiej otwarto nową szkołę dla dzieci z Ukrainy. Warszawska Szkoła Ukraińska SzkoUA powstała w marcu 2022 r. jako oddolna odpowiedź na kryzys uchodźczy wywołany rosyjską agresją na Ukrainę. Od września 2023 r. szkoła została włączona do polskiego programu oświaty. Mieściła się przy ul. Grójeckiej, teraz przeniosła się do nowego, bardzo nowoczesnego czteropiętrowego obiektu o pow. ponad 2 tys. m kw.

SzkoUA to projekt edukacyjny realizowany przez Klub Inteligencji Katolickiej i Ukraiński Dom w Warszawie. Współpracuje ze szkołami partnerskimi zarówno w Polsce, jak i w Ukrainie, dzięki czemu dzieci uczą się w obu systemach edukacyjnych jednocześnie. W Ukrainie – w całodziennym szkole MriyDiy we Lwowie, w Polsce – w Szkole Podstawowej Montessori im. Urszuli Ledóchowskiej i Liceum Stevensona. Dzięki współpracy ze Szkołą Montessori (klasy 1–8) oraz Liceum Stevensona (jest częścią projektu



Nie trać czasu w metrze – czytaj książki

Na stacji metra Kondratowicza na Targówku powstała pierwsza w Warszawie biblioteka w metrze. Otrzymała nazwę Metroteka. To wspaniały pomysł i wyjątkowe miejsce, które łączy literaturę, kulturę i nowoczesne technologie z codziennymi podróżami warszawianek i warszawiaków. Wyposażona jest w meble parametryczne – o płynnych kształtach i falujących formach. W unikalnej aranżacji czytelnicy mogą skorzystać z ponad 16 tys. książek – od nowości przez powieści i biografie, przewodniki, publikacje warszawianistyczne, poradniki aż po literaturę dziecięco-młodzieżową. Przestrzeń została podzielona na strefy – osobną dla dzieci oraz dla dorosłych, co gwarantuje komfort i dostosowanie oferty do różnych potrzeb. Dodatkowo w bibliotece będzie można skorzystać ze strefy relaksu i z laptopów. Dzięki systemowi RFID oraz urządzeniom self-check użytkownicy mogą samodzielnie wypożyczać i zwracać książki. System obsługi wspiera również naziemny książkomat przy ul. Kondratowicza 20, a wkrótce na Targówku pojawią się kolejne książkomaty w formule Biblioteka 24 h. Metroteka otwarta jest od poniedziałku do piątku w godz. 10.00–19.00. ●



Montessori), do którego przyjmowani są uczniowie klas 9–11, udało się połączyć polskie i ukraińskie programy z takich dyscyplin jak matematyka, fizyka, biologia, chemia, geografia. Oferuje połączony program ukraińsko-polski, wykorzystując autorskie

narzędzie lekcji binarnych, czyli prowadzonych jednocześnie przez dwóch nauczycieli: przedmiotu oraz języka obcego (polskiego lub angielskiego). Nauczyciel przedmiotu wyjaśnia temat, a nauczyciel języka obcego pomaga opanować terminologię w tłumaczeniu. Uczniowie, którzy kończą rok szkolny, otrzymują podwójny dyplom – polski i ukraiński. Budynek przy ul. Terespolskiej 19 został wyremontowany i przygotowany dzięki wsparciu finansowemu wielu podmiotów, ale przede wszystkim Fundacji Nasz Dom prowadzonej przez firmę developerską Dom Development, która przeznaczyła na ten cel ponad 2 mln zł. ●

► Na ulicach Warszawy pojawiły się nowe kosze – betonowe i metalowe, wszystkie z pokrywami. 800 nowych śmietników ustawił Zarząd Oczyszczania Miasta wg wskazań mieszkańców. Warszawiacy mają do dyspozycji 32 tys. ulicznych koszy na śmieci. ZOM odpowiada za 40 proc. z nich.

► PKP Polskie Linie Kolejowe ogłosiły przetarg na przebudowę stacji Warszawa Wschodnia jako kolejnego etapu modernizacji linii średnicowej. Szacunkowa wartość tej inwestycji to 4 mld zł. Modernizacja obejmie około 40 km torów, 170 rozjazdów, całkowicie przebudowane będą perony, zostaną zbudowane windy, poprawi się także przepustowość tej stacji. Planuje się też wybudowanie tunelu łączącego ul. Kijowską z Żupniczą, czyli Pragi-Północ z Pragą-Południe. Po zakończeniu prac ma nastąpić rozpoczęcie modernizacji centralnego odcinka warszawskiej linii średnicowej, czyli w części śródmiejskiej, co ma nastąpić w latach 2030–2031.

► Rady dzielnic wypowiedziały się w sprawie zakazu nocnej sprzedaży alkoholu. Tylko cztery z 18 dzielnic – Bielany, Ochota, Praga-Północ i Śródmieście – uznały, że taką sprzedaż należy ograniczyć od 22 do 6 rano (lub wg projektu prezydenckiego w godz. 23.00–6.00). Na sesjach rad stawili się mieszkańcy, którzy opowiadali o problemach związanych z sąsiedztwem nocnych monopolowych. Na niewiele się to zdało. Radni miasta zadecydowali o niewprowadzaniu zakazu, swój projekt odwołał też prezydent Rafał Trzaskowski. Po ostrych dyskusjach ostatecznie wprowadzono program pilotażowy, do dwóch dzielnic – Śródmieścia i Pragi-Północ, a za rok zakaz nocnej sprzedaży alkoholu ma objąć całą Warszawę. Ograniczenia w jego nocnej sprzedaży wprowadziło już 180 samorządów w Polsce. ●

Zmiany na Woli Mirów

Jerzy S. Majewski

Zaniedbany przez dekady Mirów wraz z bliską Wolą od ponad 30 lat zmienia się rok po roku. Dziś w niebo strzelają tu kolejne wieżowce, powstają nowe, wielofunkcyjne zespoły budynków projektowane w skali urbanistycznej

Warsaw Unit, ul. Towarowa – rondo Daszyńskiego



Wysiadając z tramwaju na rondzie Daszyńskiego, czasem oddaję się zabawie w wyobraźnię. Zamykam oczy i przenoszę się do 1977 albo 1978 r., kiedy autobusem linii 163 jeździłem z Mokotowa do liceum na Woli. Gdy je znów otwieram, wracam do teraźniejszości – i jestem zaskoczony. Ten mój dawny ja z 1977 r., przeżywając szok cywilizacyjny, usiłuje zlokalizować miejsce, w którym się znalazł. Nie jest to łatwe.

Brakuje punktów zaczepienia. Może jeszcze kilka miesięcy temu pomogłyby mi budynki Polfy przy Prostej w stronę Karolkowej? Niestety, ich rozbiórka właśnie się kończy. Może byłoby łatwiej, gdybym – stojąc pośrodku ronda – dostrzegł w oddali wielki blok przy Okopowej w rejonie dawnego Kercelaka. Albo patrząc na południe, wypatrzył bloki przy Srebrnej.

Cała reszta jest bardzo odmienna od wszystkiego, co stało w tym miejscu. Przestrzeń poza samym, dość niechlujnym, placem ronda w niczym nie przypomina nawet tej sprzed trzydziestu lat. To miejsce zmienia się niesamowicie i to nie po raz pierwszy.

Od Syberii do Dzikiego Zachodu

Gdybym podobną zabawę z wyobraźnią przeprowadził w roku 1975, próbując się cofnąć do 1950 czy 1939, także miałbym trudności z odnalezieniem znajomych punktów.

Trudno dziś sobie wyobrazić, że niegdyś Prosta nie łączyła się z Dworską, czyli obecną odmienioną ulicą Kasprzaka. Ani tego, że wzdłuż Towarowej od linii Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej aż po elektrownię tramwajową (dziś w jej zabudowaniach mieści się Muzeum Powstania Warszawskiego) ciągnęły się bocznic kolejowe. Takie nazwy jak Syberia czy Kercelak dziś są już tylko odległym wspomnieniem historii.

Skyliner, ul. Prosta 67, 2022 r.





Varso Tower, róg Chmielnej i al. Jana Pawła II

Sto lat temu fragment miasta na zachód od linii dzisiejszej ulicy Emilii Plater aż po granice Czystego i dawnej wsi Wola nie należał do pięknych ani reprezentacyjnych. Tu świat żydowski przenikał się ze światem chrześcijan. Obok wysokich kamienic nie brakowało pustych placów, warsztatów, fabryczek, bazarów, tajemniczych zaułków. Po II wojnie światowej cały ten obszar, mocno zrujnowany, nazwano Dzikim Zachodem. Jego odbudowa długo nie mogła się zacząć. Dominowały tu ruiny i półruiny, w których toczyło się życie. W nich w latach 50. XX w. dogorywała prywatna inicjatywa. Działo się to nie bez atmosfery grozy, świetnie oddanej przez Leopolda Tyrmandy w powieści *Zły* z 1955 r.

W dobie odwilży po 1956 r. miejsce to na krótko rozkwitło odrodzonymi zakładami usługowymi i pstrokatymi sztyldami naprędce namalowanymi na blaszach, dykcie czy kawałku deski. Wreszcie za późnego Gomułki i wczesnego Gierka wkroczyły tu kolejne osiedla mieszkaniowe. Najpierw dość nieśmiało Złota, Pańska. Wreszcie z rozmachem, wraz z ogromnymi, 15-kondygnacyjnymi blokami osiedla Za Żelazną Bramą. Pomiędzy blokami ziało pustką, częściowo tylko zamaskowaną przez masowe sadzenie drzew w śródmiejskiej części osiedla.

Najnowocześniejszy w Europie

Dziś do tej części miasta, dzień po dniu i krok po kroku, przenosi się centrum finansowe Warszawy. Widoczne z daleka, wylaniające się w panoramie Warszawy swoją wertykalną *skyline*. Najnowszym przykładem niech będzie biurowiec The Bridge, będący inwestycją firmy Ghelamco. Wznosi się u zbiegu Towarowej i Grzybowskiej, stojąc w rzędzie z kilkoma innymi drapaczami chmur. The Bridge ma 174 m wysokości i 54 tys. m kw. powierzchni. Jego projekt powstał w holenderskiej pracowni UNStudio oraz Polsko-Belgijskiej Pracowni Architektury PROJEKT. Inwestorzy chwalą się, że jest to najnowocześniejszy wysokościowiec w całej Europie, spełniający cały katalog wyśrubowanych standardów i mogący pochwalić się licznymi certyfikatami w rodzaju SmartScore, WiredScore czy Green Building Standard. Ta lista jest oczywiście znacznie dłuższa, a sam budynek ma być w pełni neutralny energetycznie i zasilany w 100 proc. czystą energią. Wszystko to jest ważne, ponieważ wieżowiec ów, niczym lodołamacz na zamrożonym akwenie, kruszyć ma konkurencję na trudnym rynku biurowym. Jest to istotne także z tego powodu, że szybkie zmiany na tym rynku pociągają za sobą rozbiórkę biurowców uznanych za „moralnie zestarzałe” i nierentowne.

J.S. Majewski

Dziś rejon ten, usytuowany na zachód od historycznego centrum miasta, jest znakomicie skomunikowany. Krzyżują się tu liczne linie tramwajowe. Osią ulic Prostej i Świętokrzyskiej biegnie druga linia metra ze stacjami Rondo Daszyńskiego i Rondo ONZ. Planowana jest budowa kolejnej linii metra, mającej przebiegać osiową ulicą Towarową, ze stacją przesiadkową pod rondem Daszyńskiego. Wreszcie tuż obok znajdują się dworce Główny i Centralny oraz przystanki kolejowe Ochota i WKD Śródmieście. Wzdłuż głównych ulic – Jana Pawła II, Kasprzaka, Świętokrzyskiej i Towarowej – ciągną się ścieżki rowerowe.

Pierwsze jaskółki

Cofnijmy się jednak w czasie, do początków transformacji ustrojowej w latach 90. Zanim nadeszła, urbanisci tworzyli utopijne wtedy koncepcje dogęszczania zabudowy wzdłuż takich ulic jak Jana Pawła II czy Grzybowska. Planowali ich dopełnienie budynkami tworzącymi nieprzerwane ciągi zabudowy.

Wśród pierwszych jaskółek zmian była w początku lat 90. budowa pięciu nowych gmachów. Trzy z nich – czyli hotel Mercure u zbiegu Grzybowskiej z aleją Jana Pawła II (proj. Juliusz Rouba, 1991–1992), wznoszący się na przeciwległym narożniku Atrium Bussines Center i czarny niczym sarkofag gmach Mennicy Państwowej u zbiegu z Żelazną – już nie istnieją. Kolejny, obłożony granitem wieżowiec banku PKO SA przy ul. Grzybowskiej 53/57 (Miljenko Dumencić, współpraca B. Frgić, T. Santrić, 1991–1993), niezbyt wysoki, ale udany architektonicznie, dziś stoi pusty i być może też czeka go rozbiórka. Wreszcie ostatni z nich, Kolmex, powstały u zbiegu z Towarową (ul. Grzybowska 80/82, proj. Tadeusz Spychała, współpraca Janina Chrzanowski-Neykoff, Andrzej Kapuścik, Grzegorz Kepler, Hermann Kittel,

Warszawa ul. Grzybowska 53, PKO SA w budowie, 1992 r.



Herbert Swoboda, 1990–1992) – nadal funkcjonujący. W chwili wzniesienia był powszechnie chwalony. Stanowił wówczas wyspę elegancji i nowoczesności pośród zrujnowanych kamienic, pustych placów i zapyziałych przemysłowych budynków z czasów PRL-u. Zdawał się współczesnym wcieleniem dawnej kamienicy w wersji biurowej. Elewacje, licowane ciepłym kamieniem, szkłem i stalą, wprowadziły do ówczesnej architektury warszawskiej umiarkowany dekonstruktywizm. Na łamach „Architektury-Muratora” pisali o nim znani dziś architekci Krzysztof Mycielski i Grzegorz Stiasny: „napięcia powstające ze zderzenia się ze sobą szklanych i stalowych form osiągają kulminację w kształcie narożnika, z którego wystrzela nad ulicę ostrołukową formą mieszczącą salę konferencyjną”.

Pisząc o biurowcach, których żywot był krótki, wspomnijmy jeszcze o Aurum przy ul. Pereca 21 (proj. Tomasz Wekka, Leszek Czapliński, Marek Czapliński, Rudolf Urbańczyk). Był to biurowiec wchodzący w skład kompleksu zabudowań Mennicy Państwowej. Jego elewacja od strony ulicy Waliców wznosiła się przy ocalonej od rozbiórki ceglanej ścianie dawnego browaru. Biurowiec istniał jednak zaledwie kilkanaście lat. Zburzono go w 2017 r.

Wzdłuż Jana Pawła II i nie tylko

Drugim miejscem w okolicy, gdzie już w latach 90. wyrosło wiele biurowców, był długi na pół kilometra, niezabudowany przez lata trawnik między al. Jana Pawła II a Ciepłą. Pierwszy etap, od Elektoralfnej do Grzybowskiej, obejmujący cztery biurowce Atrium, realizowano systematycznie od 1994 r. (proj. Skanska Technik AB, Biuro Projektów Kazimierski i Ryba Architekci). Kilka biurowców i hotel, które krok po kroku budowała tu firma Skanska, nie wyróżniło się wybitną architekturą. Wartość tej zabudowy polegała na czymś innym. Oto po raz pierwszy w Warszawie po upadku PRL-u powstała kompleksowo zaprojektowana, zwarta pierzeja zabudowy. Pierzeja z zadbaną zielenią wzdłuż ulicy, z rodzajem pasaży w środku budynków i z małym miejskim placem usytuowanym między budynkami na osi hali i koszar mirowskich. Trudno tu mówić o kreowaniu wyrafinowanych przestrzeni publicznych, jednak w tamtych czasach był to ważny krok do przodu. Dodajmy, że licowane różowym kamieniem elewacje do pewnego stopnia miały nawiązywać do stylistyki pobliskiej socrealistycznej zabudowy Mirowa w rejonie Ogrodowej i Elektoralfnej. W kolejnym etapie, już w XXI wieku, Skanska przystąpiła do budowy budynków Atrium South między Grzybowską a rondem ONZ. Pierwszym z nich był wysoki na 94 m wieżowiec hotelu The Westin Warsaw u zbiegu z Grzybowską (proj. Biuro Projektów Kazimierski i Ryba Architekci, 2001–2003)

Jak wspominałem, pierwszy z budynków, który zrealizowano w kompleksie Atrium Bussines Center, został rozebrany. Stało się to mimo jego generalnej modernizacji ➔



Atrium Business Center, budynek dziś już nie istnieje

dokonanej siedem lat wcześniej. Dziś w jego miejscu u zbiegu al. Jana Pawła II 23 i Grzybowskiej wznoszony jest 130-metrowy wieżowiec Upper One spółki Strabag Real Estate (proj. Medusa Group i austriackie biuro projektowe MHM, Łukasz Zagała, Przemysław Łukasik, Florian Molzbichler, Sebastian Haselsteiner). Udział w projekcie architektów ze śląskiej pracowni Medusa Group wydaje się gwarancją wysokiej jakości architektury.

Nieco dalej w panoramie alei Jana Pawła II na krótko dominantą stał się w latach 90. wieżowiec Ilmet. Wzniesiono go przy południowo-zachodnim narożniku ronda ONZ (proj. Miljenko Dumenčić, Mirosław Kartowicz, współpraca BAG Wiedeń, SAP Projekt Warszawa, 1995–1997). Dziś zdaje się niknąć na tle znacznie wyższych wieżowców. Jednak w chwili realizacji górował nad okolicą, zaś kręcąca się na jego dachu reklama firmy Mercedes zapadała w pamięć. Budynek składa się z wieży wysokiej na 84 m i niższego, kilkukondygnacyjnego skrzydła od Pańskiej. Wieża została odsunięta i jednocześnie skrócona elewacją frontową w stronę ronda ONZ – co podyktowane było próbą przekształcenia ronda w plac miejski. Dolne partie wieży są cylindrycznie wybrzuszone, wyżej wyrasta kilkukondygnacyjny kwadratowy rdzeń zwieńczony masztami i obłożony kamiennymi płytami, co dodaje mu solidności.

Efektownie zaprojektowano hol wejściowy z pasażem handlowym i windy o kolorystyce nasuwającej skojarzenia ze stylistyką przełomu lat 50. i 60. Na drugim piętrze zaprojektowano atrium z *pueblo*, czyli kaskadowo ukształtowaną ścianą i pnącą się niegdyś po niej zielenią. Niestety, pasaż handlowy okazał się kompletnym niewypałem, zaś powierzchnie biur w górnej partii wieży są zbyt małe. Po blisko 30 latach istnienia budynek najprawdopodobniej czeka rozbiórka. W ubiegłym roku firma Skanska poinformowała, że trwają prace nad projektem wieżowca Warsaw One,

który ma stanąć w miejscu Ilmetu. Ma on mieć wysokość 188 m, czyli ponad sto metrów więcej od obecnego budynku.

Atutowa wieża Daewoo

Pierwszym drapaczem chmur, który na wiele lat zdominował panoramę Woli, stał się Warsaw Trade Tower przy ul. Chłodnej 51 u zbiegu z Towarową (proj. RTKL, Baltimore – Giuseppe di Vana, Raymond E. Peloquin oraz Majewski, Wyszyński, Hermanowicz Architekci, 1997–2000). Jego lokalizacja była dość przypadkowa, ale okazała się brzemenna w skutki, po latach pociągnęła bowiem za sobą realizację w osi ulicy Towarowej

czterech kolejnych wieżowców o wysokości ponad 160 m.

Pierwotnie WTT miał być atutową wieżą koreańskiego koncernu Daewoo, a uroczystość symbolicznego wmurowania kamienia węgielnego wydawała się wtedy tak doniosła, że obok prezesów, którzy przyjechali z Korei, uczestniczył w niej ówczesny prezydent Warszawy Marcin Świąćicki. Jednak wielka afera korupcyjna w Korei Południowej sprawiła, że koncern zatrząsł się

Przeznaczony do zburzenia Ilmet, rondo ONZ, 2025 r.



w posadach i budynek został ukończony ze znacznym opóźnieniem przez innego inwestora. Jest to jeden z nielicznych biurowców z lat 90., które przetrwały próbę czasu. Gmach ten radzi sobie na rynku biurowym. Próbę czasu przetrwała też jego wyróżniająca się architektura. Budynek składa się z dwóch części: niższej i 42-kondygnacyjnej wieży. Rdzeń wieżowca stanowi żelbetowy trzon komunikacyjny z windami obudowany konstrukcją stalową. W partii cokołowej zaprojektowano półkoliste kilkukondygnacyjne atrium. Dodajmy, że w chwili pojawienia się ok. 2000 r. na rynku biurowym tak dużych i atrakcyjnych wówczas powierzchni do wynajęcia na właścicieli wielu innych biurowców padł błąd strach. Stąd też konkurencja zaczęła rozpuszczać plotki, jakoby wieża WTT była źle zaprojektowana i groziło jej zawalenie.

Fabryki dla białych kołnierzyków

Opisując ten pionierski okres, trzeba jeszcze wspomnieć o zmianach dokonywanych na zachód od ulicy Towarowej, w miejscu wielkich zakładów przemysłowych z czasów PRL-u. W początku lat 90. ówczesny prezydent Lech Wałęsa otrzymał od delegacji Zakładów Radiowych im. Marcina Kasprzaka magnetowid u nich wyprodukowany. Robotnicy chcieli przekonać prezydenta, że zakład potrafi produkować nowoczesny sprzęt. Był to już jednak łabędzi śpiew. Fabryka nie wytrzymała konkurencji i upadła. Pozostały po niej rozległe tereny – osiem hektarów zabudowanych obiektami ciągnącymi się dobre pół kilometra wzdłuż ulicy Kasprzaka. Miejsce, które jeszcze w epoce Edwarda Gierka było dumą „czerwonej” Woli, teraz upatrzył sobie wielki biznes.

Główny gmach zakładów był za duży, aby mógł go przetrwać jeden inwestor. Budynek zaczęto kawałkować. Liderem był Kredyt Bank, który go kupił, a potem sprzedawał po kawałku. Na swój sposób piękna, czysta, konstruktywistyczna forma obiektu zmieniała się w architektoniczny koszmar. Teraz dominującym elementem elewacji stała się stylizowana płaska „kolumnada” w postaci rzędu potężnych lizen dźwigających niczemu niesłużące belkowanie. Wszystko to nałożone zostało na niebieskawą ścianę ze szkła refleksyjnego. Drugą, większą część budynku od Kredytu Banku kupił Bank Gospodarki Żywnościowej. Tu w latach 1996–1997 powstała jego centrala (proj. Biuro Projektów Kazimierski i Ryba Architekci). Ogromny gmach o długości na 190 m szklanej elewacji frontowej, wzniesionej w miejscu

J.S. Majewski



Warsaw One planowany przez firmę Skanska w miejscu Ilmetu, wizualizacja

zdyscyplinowanej kratownicy poprzedniego obiektu, uzyskał formę przypominającą nieco zdeformowany statek. Dziś po tej wątpliwej jakości architekturze z czasów przekształceń ustrojowych nie zostało nic. Jej miejsce w latach 2019–2024 zajął duży kompleks biurowy Lixa spółki Yareal Polska (proj. HRA Architekci), złożony z dwóch odrębnych zespołów. Jego niewątpliwą atrakcją są duże dziedzińce o charakterze wypielegnowanych ogrodów.

Dodajmy, że na terenie dawnych zakładów Kasprzaka już w latach 90. wytyczono nową ulicę – Giełdową. Dziś ma ona współczesną zabudowę, w dużym stopniu mieszkaniową. W latach 90. usiłowano przebudować na biurowce ogromne hale z lat 50. po Zakładach Wytwórczych Lamp Elektrycznych i Ręciowych im. Róży Luksemburg. Okazało się to jednak niemożliwe z powodu nasycenia murów rtęcią. Dziś wznoszą się tu domy mieszkalne i kilka biurowców ciągnących się między Przyokopową a Karolkową. Najciekawszy wydaje się budynek Wola Center przy ul. Przyokopowej 33 – z ogromnym, dostępnym dla wszystkich atrium (proj. Stefan Kuryłowicz, Jacek Syropolski, 2011–2013). Pośrodku parku kieszonkowego przed budynkiem stał „prywatny” pomniczek upamiętniający architekta Stefana Kuryłowicza.



Widok na Warszawę z ostatniego piętra budynku Skyliner, Prosta 67

Składa się ono z trzech ośmioletnich kamienic frontowych przeznaczonych na biura klasy B. Za nimi wyrastają dwa kilkunastopiętrowe wieżowce mieszkalne – oficyny. Z kolei u zbiegu z Grzybowską stanął dwudziestopiętrowy wieżowiec hotelu. Kompleks wyróżniał się przeciętnym standardem i architekturą nie najwyższych lotów. Wprawdzie dobrze wypełniła ona tkankę miejsca, nie oferowała jednak żadnych przestrzeni publicznych, a zagospodarowanie chodnika przed hotelem jest wręcz prymitywne. Ale wyjątkowość tej inwestycji polegała na jej wielofunkcyjności – to już nie tylko biura, lecz też lokale handlowe i usługowe w parterach, mieszkania i hotel. Dodajmy, że kompleks stanął w miejscu, gdzie u schyłku PRL-u wznosiły się dość toporne żelbetowe hale mieszczące Stołeczne Zakłady Winiarsko-Spożywcze Warszawy. To tu produkowano słynną w latach 80. cytronetę!

Czas na przestrzeń publiczną

Początek kopernikańskich zmian w rejonie Mirowsa to już przełom drugiej i trzeciej dekady XXI w. Pionierem okazała się firma Ghelamco. Po powstaniu kompleksu Warsaw Spire z dominującym ponad nim 220-metrowym wieżowcem przestrzeń między nimi została zagospodarowana i oddana do publicznego użytku jako plac Europejski. Jego oficjalne otwarcie miało miejsce w 2016 r. Projektantami byli belgijscy architekci z pracowni Wirtz International Landscape Architects. Powstanie placu stanowiło diametralnie odmienny kierunek w myśleniu o komponowaniu przestrzeni. Nowe inwestycje przestały być samotnymi wyspami białych kołnierzyków, coraz bardziej otwierały się na miasto i stawały organiczną częścią jego tkanki. Na placu posadzono m.in. 140 drzew i stworzono fontannę ze sztuczną rzeką. Ponad dwa lata temu teren placu został zmniejszony przez zajęcie go na tymczasowy wjazd do garażu i zaplecze budowy wieżowca The Bridge, ale obecnie po ukończeniu realizacji budynku zostanie przywrócony w nieco zmienionym kształcie, ponownie zaprojektowanym przez tę samą belgijską pracownię.

I tu raz jeszcze cofnijmy się w czasie. Na przełomie XX i XXI w. między Grzybowską a blokiem u zbiegu z Łuczką prywatny deweloper zbudował Centrum Żelazna.

Browary i Norblin

Wspomniałem o kompleksie Centrum Żelazna w miejscu dawnego Warszawy w kontekście przemian, jakie dokonały się na przełomie drugiej i trzeciej dekady XXI w. kilkadziesiąt metrów dalej, w miejscu przeniesionych do Warki Browarów Warszawskich powstałych po upaństwowieniu w latach 60. dawnych Zjednoczonych Browarów Haberbusch i Schile. Tu musimy zatrzymać się na dłużej.

Browary to już w całym tego słowa znaczeniu wielofunkcyjny kompleks z przestrzeniami publicznymi, zaprojektowany w skali urbanistycznej i wpisujący się w tkankę miejską. Na tym też polega jego wyjątkowość, choć pionierska rola w tworzeniu tego rodzaju zespołów w wyniku rewitalizacji obiektów przemysłowych przypada Koneserowi na Pradze.

Projektantom z pracowni JEMS Architekci udało się zaprojektować kawałek autentycznego miasta. Jest ono zarówno przyjazne dla pieszych – z nowymi ulicami, zaułkami, przejściami, placami i terenami zielonymi, jak i wielkomiejskie. Jest współczesne, a jednocześnie niepozbawione historii. Jak opowiadał mi architekt Marek Moskał z pracowni JEMS Architekci, dla projektantów równie ważne co same budynki było wymyślenie

i zaprojektowanie przestrzeni między nimi. Liczne przejścia pod budynkami, otwierające się nagle placiki, łuki, patia zaskakują, tworząc nieoczekiwane perspektywy, często z efektownymi zamknięciami. Sama architektura imponuje bogactwem detalu, różnorodnością rozwiązań przestrzennych i formalnych, fakturami, materiałem. Liczba indywidualnie opracowanych detali jest imponująca, a samo ich wyliczenie znacznie przekroczyłoby objętość tego artykułu. Jednocześnie całość jest spójna. Mimo dużej gęstości i znacznego zróżnicowania wysokości zabudowy ani przez chwilę nie mamy wrażenia chaosu czy przesyty, całość zaś dostosowana jest do perspektywy pieszej i zaprojektowana z myślą o uprzyjemnianiu mu życia w mieście. Marek Moskał opowiada, że aby osiągnąć efekt różnorodności, w projekcie uczestniczyli chyba wszyscy architekci ich pracowni. Tworząc plan zabudowy kompleksu, wprowadzili gradację placów, ulic i przejść. Od Grzybowskiej, zgodnie z planem miejscowym, wytyczyli placiki.

Poszczególne współczesne budynki składające się na kompleks mają zróżnicowaną architekturę, wysokość, rzuty, funkcje. Sposób kształtowania brył wydaje się znamienity. Są rozbite wyraźnym wyodrębnieniem ścian wyższych kondygnacji. Cofniętych, o odmiennym, zawsze indywidualnie traktowanym wyrazie plastycznym. Zabieg ten nadaje budynkom o dużych kubaturach wrażenie pewnej kameralności, a efektem jest, podobnie jak w wypadku starannego opracowania

przyziemia czy zróżnicowania detalu, ludzka skala założeń. Wszystkie budynki ujmują starannie dopracowanym detalem zarówno elewacji, jak i wnętrz wspólnych, m.in. recepcji, westybuli czy holów windowych.

Cztery zachowane zabytkowe obiekty zostały poddane renowacji, harmonijnie wpisane w nowy kontekst urbanistyczny i zaadaptowane do nowych celów. Budynki te, co trzeba podkreślić, dodają współczesnemu terenowi dawnego browaru niepowtarzalnego charakteru.

Integralną częścią projektu jest zieleni zaprojektowana przez znakomitych specjalistów z pracowni RS Architektura Krajobrazu. Łąka – a jest ich więcej – rozpościera się m.in. ponad zachowanymi sklepionymi piwnicami browaru, przeznaczonymi na pomieszczenie różnych lokali gastronomicznych i minibrowaru. Dzięki otwarciu piwnic i utworzeniu przed nimi dwóch placików pograżonych poniżej poziomu ulicy do ich wnętrza wpada światło. Dodajmy, że we współpracy z pracownią Meduza w Browarach powstał jednolity system szklonych i informacji wizualnej. To już kolejna inwestycja JEMS-ów, gdzie ważnym elementem identyfikacji oraz tożsamości miejsca stały się neony.

Browary stanowiły dopiero początek. Jeszcze w trakcie pandemii w 2021 r. otwarty został kolejny kompleks w rezultacie rewitalizacji przemysłowego obszaru dawniej fabryki Towarzystwa Akcyjnego Fabryk Metalowych Norblin, Bracia Buch i T. Werner. Podobnie jak w Browarach równie istotne jak sama zabudowa są tu przestrzenie

Norblin, ul. Prosta



między budynkami. Są one przyjazne dla pieszych, a ruch kołowy w Norblinie został całkowicie wyeliminowany z poziomu przyziemia. W kompleksie fabryki Norblina również zachowano substancję zabytkową. Prace konserwatorskie objęły kilka budynków pofabrycznych i wiele dawnych hal produkcyjnych. Zakonserwowano i wyeksponowano też kilkadziesiąt maszyn pozostałych po dawnych zakładach. Na terenie fabryki aż dziewięć budynków jest wpisanych do rejestru zabytków.

Nowy Norblin powstał w miejscu dawnej fabryki w latach międzywojennych specjalizującej się w produkcji półfabrykatów z metali kolorowych, ale znany był też z produkcji znakomitych wyrobów platerowanych. Gdy zakład zamknięto w latach 80. XX w., jego teren użytkowany był przez Muzeum Techniki, teatr Scena Prezentacji oraz Muzeum Drukarstwa Warszawskiego (o historii fabryki pisał w STOLICY nr 5/2018 Jarosław Zieliński). Inwestorem założenia jest grupa Capital Park. Pierwsze koncepcje zagospodarowania tego terenu stworzone zostały w pracowni JEMS Architektki. Ostatecznie inwestycja w innym kształcie została zrealizowana zgodnie z projektem pracowni PRC Architektki pod kierunkiem Igora Galasa. Prace konserwatorskie powierzono doświadczonej firmie Monument Service realizującej m.in. skomplikowane i wielowątkowe prace konserwatorskie na zamku w Malborku.

Igor Galas opowiadał mi, że architekci potraktowali kompleks Norblina jak zespół budynków, zaś sama zabudowa była dla nich równie ważna jak przestrzenie między nią. Zresztą w tym wypadku granica między budynkami a przestrzeniami publicznymi się zaciera. Ulice wchodzą do wnętrza budynków, a ponad zabytkowymi halami piętrzą się współczesne struktury. Projektanci nałożyli potężną, choć optycznie rozbitą współczesną strukturę architektoniczną na niewysokie zachowane hale pofabryczne. Od strony Żelaznej zachowano dawne budynki administracyjne, bramę i budynek dawnego laboratorium. Całość stanowi dziś skomplikowaną kompozycję architektoniczną z historycznymi halami produkcyjnym, ponad których częścią (od strony Łuckiej) wznoszą się potężne bryły ośmiopiętrowych budynków o dominującej funkcji biurowej, ale też m.in. z wielosalowym kinem. Obiekty biurowe oglądane od strony ronda Daszyńskiego tworzą przy tym wycofaną pierzeję ulicy Prostej, biegnąc w linii jej pierzei wytyczonej w latach 60. Od strony Łuckiej budynki te nadwieszają się aż ponad dawny mur fabryczny. Są jednak od tej strony bardziej rozrzeźbione, a dzięki konieczności zapewnienia światła budynkom mieszkalnym po drugiej stronie ulicy częściowo ukształtowano je tarasowo.

Czas na plac Kazimierza

Browary Warszawskie oraz Norblin to obszary, które wytyczyły kierunek zachodzących zmian. Nie stanowią jednak ostatniego słowa. Dziś tuż obok, na obszarze

6,5 ha między Pańską, Miedzianą i Towarową trwa budowa kolejnego wielofunkcyjnego kompleksu Towarowa 22, dewelopera Echo Investment, o unikatowej architekturze. I ten zespół zaprojektowany został w skali urbanistycznej. Powstaje w miejscu dawnego Domu Słowa Polskiego, czyli wielkiej drukarni zbudowanej po II wojnie w miejscu zniszczonej zabudowy. Realizacja Domu Słowa Polskiego na przełomie lat 40. i 50. XX w. oznaczała zniszczenie całego fragmentu dawnej tkanki miejskiej z placem Kazimierza oraz odcinkami ulic. Teraz ten kwartał miasta uzyskuje nowe życie. Pierwszy budynek kompleksu został ukończony już w pierwszej połowie 2025 r. Kolejne są dopiero w budowie, ale wraz z nieomal sąsiednimi Norblinem, Browarami, placem Europejskim diametralnie zmieniają charakter tej części miasta. Sprawiają, że przenosi się tu nie tylko centrum finansowe i biurowe Warszawy. Tym bardziej że obok opisanych wyżej kompleksów na kolejnych posesjach powstają następne nowe budynki. Także mieszkaniowe, jak wciąż rozbudowywana XIX dzielnica na obszarze dawnej fabryki Waryńskiego przy Kolejowej, planowana obecnie zabudowa mieszkaniowa w miejscu rozbieranych budynków Polfy czy mniejsze realizacje w rodzaju zespołu ukończonych już budynków przy Chmielnej naprzeciwko Varso Tower (proj. S.A.M.I. Architektki).

Drapacz obok drapacza

Wykańczany obecnie The Bridge nie jest jedynym nowym wieżowcem, który tworzy wciąż zmieniającą się *skyline* tej części miasta. Nie wdając się w analizę budynków, wymieńmy kolejne drapacze, które wyrosły w ciągu kilku ostatnich lat. Największe zagęszczenie tworzą wokół ronda Daszyńskiego. Obok Warsaw Spire i The Bridge firma Ghelamco wzniosła wieżowiec Warsaw Unit (proj. Polsko-Belgijska Pracownia Architektury, 2017–2021, wys. do dachu 180 m, wys. całkowita 202 m) i cały kompleks budynków The Warsaw Hub (proj. Andrzej M. Chołdzyński, 2015–2020, wys. całkowita najwyższego z budynków 130 m). Sąsiadem tego ostatniego jest wieżowiec Skyliner o wysokości 195 m (proj. APA Wojciechowski Architektki, 2017–2021). Obecnie według projektu tych samych architektów trwa budowa drugiej, niższej wieży Skylinera. Będzie miała wysokość 130 m. Na przeciwnym narożniku w latach 2014–2021 wyrosł zespół trzech budynków Generation Park (proj. JEMS Architektki) zrealizowanego przez firmę Skanska. Najwyższy z nich ma wysokość 140 m. Ogromne, ogólnodostępne hole oraz dość ciasne przestrzenie między wieżowcami stanowią kolejną pełną zieleni przestrzeń publiczną. Kilkadziesiąt metrów dalej kończona jest obecnie budowa wieżowca Studio (proj. ARROW Architects i Grupa 5 Architektki), liczącego ponad 105 m wysokości. Jednak wszystkie te budynki



Muzeum Powstania Warszawskiego, ul. Przyokopowa, 2025 r.

wysokością przerasta wąską jak patyk wieżę Varso Tower w kompleksie Varso (proj. Fosters and Partners i HRA Architektki, 2016–2022). W odróżnieniu od wieżowców wznoszonych w Warszawie jeszcze kilkanaście lat temu budynek nie stanowi samotnej wyspy, lecz jest częścią większego kompleksu budynków wzdłuż ulicy Chmielnej, spiętego niczym kręgosłupem publicznie dostępnym pasażem, z wejściem prowadzącym wprost z przejścia podziemnego łączącego się z Dworcem Centralnym.

Dobry i zły los zabytków

Teren dawnego Mirowa oraz Woli pomimo zniszczeń wojennych obfitował w ostańce zabudowy z przełomu XIX i XX w. oraz z lat międzywojennych. Wiele zabytków między al. Jana Pawła II a Towarową znajduje się w fatalnym stanie. Wystarczy wspomnieć opuszczone i pozbawione detalu kamienice przy Chmielnej, Grzybowskiej, Krochmalnej, Łuckiej, Pańskiej, Prostej, Waliców, Wroniej czy Żelaznej. Skandalem była dokonana w grudniu 2024 r. rozbiórka kamienicy przy ul. Łuckiej 8. Budynek wykreślony z rejestru zabytków samowolnie zburzył deweloper – firma J.M. INWEST.

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza rozbiórek zabytkowych budynków – także skandalicznych – było w tym rejonie więcej.

Ale zdarzały się spektakularne przykłady renowacji zabytkowych obiektów. Wielkim wydarzeniem w dziejach Warszawy i swego rodzaju kołem zamachowym rozwoju tego fragmentu miasta było powstanie Muzeum Powstania Warszawskiego w odrestaurowanych i przekształconych zabudowaniach dawnej Elektrowni Tramwajowej na ulicy Przyokopowej (proj. Wojciech Obtulowicz, 2003–2004). Chyba mało kto już dziś pamięta mury elektrowni pokryte szarym tzw. barankiem. Wiele pracy wymagało od konserwatorów zdjęcie peerelowskich tynków i odsłonięcie pięknych ceglanych elewacji upodabniających budynek do średniowiecznego zamczyska.

Poza wspomnianymi już przykładami renowacji kolejnych obiektów poprzemysłowych na terenie Browarów i fabryki Norblina warto wspomnieć o kamienicy Krongolda przy ul. Złotej 83 wzniesionej w latach 1896–

1899. Budynek zgodnie z projektem Polsko-Belgijskiej Pracowni Architektury w Warszawie zmienił się nie do poznania. Przypomnijmy, że dom ten, zdewastowany i pozbawiony wystroju już w czasach PRL-u, w XXI w. zamienił się w ruinę (o remoncie obiektu pisaliśmy w STOLICY nr 10/2018 i nr 1-2/2019).

Wspomnijmy jeszcze o przywróceniu w latach 2024–2025 efektownego wystroju elewacji wczesnomodernistycznej kamienicy przy ul. Żelaznej 64 oraz trwających obecnie pracach przy modernizacji i przekształceniu w luksusowy apartamentowiec kamienicy przy ul. Grzybowskiej 73. Budynek, remontowany przez firmę Ghelamco, stanowi przykład skrajnego funkcjonalizmu lat 30. XX w., a zaprojektowany został przez Szymona Syrkusa.

Zmiany, jakie dokonują się od trzech dekad na terenie Mirowa, wciąż stanowią niezakończony proces. Jeden z najbardziej zaniedbanych fragmentów w centrum Warszawy od lat pozostaje placem budowy i zmienia się na naszych oczach. Zapewne w nadchodzących latach miejsce to zaskoczy nas jeszcze niejedną metamorfozą. 🏗️

Jerzy S. Majewski

WSM Mokotów

Budowanie dobra



Murarze, przodownicy pracy na budowie WSM Mokotów, 1949 r.

Tadeusz Michalski

„Tu będzie dobre miejsce” – mówi. Stoją wśród łąk, wokół gruntowe drogi i miedze pól ornych. Krajobraz wiejski – albo raczej podmiejski. W zasięgu ich wzroku kilka przedwojennych willi z ogrodami, samotnych w pustym polu. Jest 1948 r. Panowie inżynierowie zatrzymali się na piaszczystej drodze w miejscu, gdzie dociera do niej ścieżka. Prowadzi na północ, ku ulicy Madalińskiego, tam jest już przedwojenne miasto – elegancki Mokotów. Ich nauczyciel, Bohdan Pniewski, postawił tu elegancką kolonię szeregowców. Jeszcze dalej na północ stoi pionierska kolonia bloków spółdzielni pracowników MSW „Szare Domy”

Fotopolska

Oni mają zbudować coś zupełnie innego. Nareszcie można pójść na całość. Jeden z nich czyta na głos: „Należy wymagać, aby dzielnice mieszkaniowe zajmowały odtąd w zespole miejskim najlepsze tereny, aby korzystały z rzeźby terenu, klimatu, dysponowały terenami najbardziej nasłonecznionymi i właściwym obszarem zieleni” – to *Karta ateńska*, ich biblia.

Patrzą na wschód. Tam wiejska droga z koleinami od kół furmanek wiedzie ku alei Niepodległości, szerokiej, nowoczesnej – przed wojną była osiągnięciem. Za nią, po obu stronach brukowanej ulicy Szustra – kolonia willi, wszystkie są spalone.

– Teraz będzie się budować inaczej – mówi – z zupełnie innym rozmachem. Ech, ile trzeba było się namęczyć przed wojną, żeby postawić te kilka kolonii na Żoliborzu, a potem i tak się okazało, że robotników nie było stać na mieszkania.

Oni mają do dyspozycji teren dwukrotnie większy niż cały żoliborski WSM, mają zbudować od razu cztery kolonie mokotowskiego Wuesemu z pełną obsługą społeczną i techniczną. Są szczęśliwi. Tak to sobie wyobrażam.

Panowie inżynierowie

Czterdziestolatkowie, architekci Zaslav Malicki i Stefan Tworkowski. Doskonale znali okupacyjne prace teoretyczne Syrkusów i Brukalskiej, należeli do towarzystwa



Zaslav Malicki



Stefan Tworkowski

architektów modernistów od lat, ale do tej pory stali w drugim rzędzie.

W 1930 r., w drugim numerze awangardowego czasopisma „Praesens” grupa architektów zamieściła komunikat zakończony słowami: „Prywatny kapitał, mając jako jedyny cel – dochodowość, a jako jedyny bodziec – konkurencję, wytworzył nieracjonalne formy budownictwa mieszkaniowego”. Moderniści w odpowiedzi na duchotę kamienicznych podwórek, „uświadamiając sobie zło, płynące z takiego stanu rzeczy”, zobowiązali się do projektowania osiedli odpowiadających nie potrzebom rynku, lecz biologicznym i kulturowym potrzebom człowieka. Malicki dołączył do Praesensu niedługo później, jeszcze jako student architektury. Razem z Tworkowskim podczas okupacji brali udział w pracy żoliborskiej Pracowni Architektoniczno-Ur-

banistycznej – PAU. Ta grupa architektów, która próbowała przed wojną – z nie najgorszym skutkiem – walczyć ze „złiem”, teraz w 1948 r. głęboko wierzyła, że właśnie zaczyna budować dobro.

Galerie

Budowa osiedla WSM Mokotów poszła szybko, trwała od 1948 do 1950 r. Było to jedno z pierwszych nowych osiedli w powojennej Warszawie. Architekci dostali wolną rękę w realizacji swojej wizji idealnego osiedla mieszkaniowego. Teren przeznaczony pod budowę był ogromny, wybrano prawie 30 ha między aleją Niepodległości a Wołoską. Na osiedlu miało powstać

WSM Mokotów, okolice ulicy Dąbrowskiego, początek lat 50.





WSM Mokotów, ul. Dąbrowskiego, 1951 r.

ok. 2500 mieszkań dla 10 tys. mieszkańców. Teren pokrywały wtedy pola orne, stało tylko kilka domów. Projektanci narysowali na tej dziewiczej ziemi cztery kolonie, stykające się narożnikami w centrum dzielnicy, gdzie miał stanąć Dom Społeczny z placem i parkiem. To w tym miejscu mogli stanąć kiedyś na piaszczystej drodze, na przedłużeniu ulicy Szustra, która od teraz będzie się nazywać Dąbrowskiego. Wąska ścieżka ku północy będzie Łowicką, na ich skrzyżowaniu zaprojektowali centralny plac. Gdy spojrzeli z tego miejsca na południe, zauroczył ich widok łąki. Chcieli, by tu została, oczywiście bez miedz – od teraz miała być społecznym terenem sportu, rekreacji i wypoczynku wśród zieleni.

– Moje osiedle polega na lokalności i przytulności – mówi w 2025 r. Magda, mieszkanka galeriowca na Wuesemie. – W okolicy nie ma wysokiej zabudowy, za to jest dużo zieleni, bardzo dużo drzew. Są odpowiednie odległości między budynkami – człowiek nie czuje, że się dusi, ale odczuwalny jest sąsiad obok, który pożyczysz szklankę soli albo odbierze paczkę od kuriera. Wyjątkowe jest to, że jest tak dużo lokalnych sklepików, gdzie ludzie przychodzą też towarzysko. Nie ma miejsca na duże supermarkety. W moim sklepie są zawsze te same panie, przemiłe, pytają: „Co dla ciebie, kochanie?”.

Na kolonie mieszkaniowe składają się bloki różnego typu i wielkości. Budynki nie mają więcej niż cztery kondygnacje, niektóre zaprojektowano w systemie z wewnętrznymi klatkami schodowymi, inne jako galeriowce – czyli bloki, w których wejścia do mieszkań dostępne są z zewnętrznych galerii. Podłużne bloki zamykają wewnętrzne dziedzińce z dużym udziałem zieleni i ograniczonym ruchem kołowym. Większość mieszkań na parterach dostało ogródki z bezpośrednim wyjściem z pokoi. Na osiedlu stanęły przedszkola, dwie szkoły przy ul. Wiktorskiej są wspólne dla całego osiedla, podobnie jak sklepy zlokalizowane wzdłuż ulicy Dąbrowskiego. Mieszkania są małe, ale zróżnicowane: od kawalerek po mieszkania dla artystów z doświetlonymi dużymi oknami pracowniami. W centrum osiedla stała kotłownia z kominem o wysokości

30 m – zapewniała osiedlu centralne ogrzewanie – dziś już nie istnieje, ogrzewanie jest miejskie.

– Na galeriach zagaduje się do sąsiadów – opowiada dalej Magda. – Jest taki niepisany zwyczaj, że skoro ktoś jest moim sąsiadem, to odpowie na zaczepkę.

– A nie jest za blisko ten sąsiad?

– Ja bardzo lubię ideę galeriowca. Jest bliższy kontakt, szczególnie latem, jak się przechodzi przez galerię, ludzie mają otwarte drzwi

Kotłownia WSM Mokotów, widok z wieżowca przy ul. Dąbrowskiego 86, 1968 r.



Fotopolska



J. Dąbrowskiego 71 – kiedyś był tu Empik, dziś antykwariat Gry, 1969 r.

do mieszkań i nawet mówi się „dzień dobry” ludziom, którzy siedzą u siebie w łóżku. Zwierzęta wychodzą na wspólną galerię, znam koty i psy z całego piętra. Przychodzą w odwiedziny do mojej kotki, czego ona akurat nie znosi, ale te zwierzęta bardzo chcą ją odwiedzać.

– Czy inni sąsiedzi na twojej galerii też tak do tego podchodzą? A może są tacy, którzy wolą się odgrodzić?

– Nie, nie spotkałam się z tym ostatnim.

– Przyjęło się uważać, że galeriowiec to okropne rozwiązanie.

– Są różni ludzie na tym świecie, myślę, że wiele osób po prostu tego nie doświadczyło. Ja na początku też myślałam, że to trochę jak w więzieniu, że się wychodzi na spacerniak. Ale przeszło mi, dzięki galerii lepiej poznałam sąsiadów.

Artur mieszka w sąsiedniej kolonii ze swoją dziewczyną i psem, kundelkiem o imieniu Pola. Też w galeriowcu. – Mam z sąsiadami z galerii fajne relacje – mówi mi. – Poczynając od Zuzi, sąsiadki z początku galerii, dalej przez Panią Anię, która jest zawsze pomocna, jej dwa koty biegają po galerii cały rok. W mieszkaniu ma jeszcze trzeciego, który nie chce wychodzić. Później jest Pani Ania z labradorem. Myślę, że czynnikiem, który nas połączył, są zwierzęta, bo one przebywają cały czas na zewnątrz. Pani Basia czasem siedzi sobie na naszym drewnianym. Każdy ma takie drewnianko do siedzenia, pieniek przy drzwiach. I tak sobie siedzimy, ktoś tam



Przedszkole przy ul. Dąbrowskiego, 1953–1954 r.

zagada, pozdrowi. Udało nam się odmalować wejście do klatki, jakieś kwiatki powiesić. Oczywiście dostaliśmy opieprz od Pani Ani, uznała, że nie było zgody, nie było dialogu z sąsiadami i to samowolka, ale po paru dniach uznała, że jednak ładnie jest.

– Nie przeszkadza ci okno z mieszkania na galerię?

– Nie, zawsze mogę zasłonić. Ale po mojej stronie galerii rzadko ktoś chodzi. Większość osób używa klatki centralnej, bo nasza jest dość obskurna, okopcona. Sąsiad jara tam szlugi.

– A jak ty przechodzisz obok okien sąsiadów, to zaglądasz?

– Zawsze. Uważam, że mieszkanie dużo o człowieku mówi, dlatego mnie ciekawi.

Spółdzielczość

Pięć kolonii, rozdzielonych krzyżem ulic Dąbrowskiego i Łowickiej – realizowały koncepcję jednostek sąsiedzkich, każda na ok. 2500 mieszkańców. Założona liczba ludzi i struktura społeczna nie były przypadkowe, do nich dobrano liczbę towarzyszących usług społecznych. Zgodnie z przedwojennym postulatem „egzystencjalnego minimum” dla każdego – rodzina miała mieć małe, ale własne mieszkanie z kuchnią i łazienką. Dla wszystkich miał być dostęp do słońca, zieleni, sklepu, przedszkola, szkoły i domu kultury. Jacek Nowicki, wówczas 29-letni architekt, członek zespołu projektowego, napisał w STOLICY, że projekt był efektem pracy zespołowej i wynikał w dużej mierze ze wspólnych doświadczeń →



WSM, zdjęcia współczesne



WSM Mokotów – Galeriewiec

Sieć zet

Lubię spacerować po Wuesemie, podświadomie czuję się bezpiecznie, przemierzając pieszo wewnętrzne dziedzińce. Mogę spuścić psa ze smyczy, samochody są daleko, zwierzę ma dużo trawy i drzew do obwąchania. Dwupiętrowe domy nie zasłaniają nieba, jest dużo błękitu



i zieleni. Słysząc gwar dzieciaków z przedszkolnego podwórka, ktoś kosi trawę w swoim małym ogródku. Fajnie.

Jacek Nowicki, tłumacząc program przestrzenny, przykładał wielką wagę do rozmieszczenia obiektów usługowych, w szczególności przedszkoli i szkół, jak też do kompozycji powiązanych przestrzeni zielonych. Barbara Brukalska nazywała ten istotny element osiedla społecznego siecią zieleni – „w skrócie «sieć Z» o charakterze wypoczynkowym, służąca przede wszystkim dla ruchu pieszego i rowerowego”. Na mokotowskim Wuesemie, jak podkreśla Nowicki, projektanci nie stosowali „w sposób doktrynalny” zasady usytuowania budynku względem stron świata, ważniejsza była kompozycja wnętrza urbanistycznych.

Po 1950 r. i wprowadzeniu doktryny socrealizmu, dobudowano masywne budynki między ulicami Wiktorską i Raclawicką oraz Łowicką i Lipskiego – gdzie początkowo planowano rekreacyjne tereny zielone – oraz wzdłuż alei Niepodległości. Część zieleni przepadła, ale nie na tyle, by zniknął ogrodowy charakter osiedla. Do kolejnych dogęszczeń zabudowy doszło po 1989 r., na czele ze szczególnie bolesnym zabudowaniem centralnego placu na rogu Dąbrowskiego i Łowickiej. Niektóre pawilony handlowe obumierają bez funkcji, inne ją zmieniły, ale zielone dziedzińce z wysokimi i rozłożystymi już drzewami mają się świetnie. Domy nabrały patyny, niektórym przydałby się remont, ale osiedle żyje, a ludzie są w nim szczęśliwi. I będzie żyć dalej, bo mieszkają tu nie tylko emeryci, lecz także

wiele nowych osób znudzonych współczesnym konsumpcjonizmem, szukających może i starej, ale dobrej architektury mieszkaniowej, przy projektowaniu której naprawdę myślano o dobru mieszkańców. Dzisiaj już tak się nie buduje.

– Tutaj jakby czas się zatrzymał – mówi Artur. – Jesteśmy w centrum miasta, ale mamy ciszę, spokój i wszystko na miejscu. Jak skręcam z alei Niepodległości, agresywnej arterii, w Dąbrowskiego, to zaraz zapominam o gwarze miasta. Mijam sklepiki, które się tutaj utrzymały i które są prowadzone przez lokalnych przedsiębiorców. Na przykład ten sklepik z produktami dla zwierząt – prowadzi go ta sama osoba od dekad, on już wrósł w te mury.

– WSM Mokotów stał się moją wioską – mówi Magda. – Tu znam kąty, tu są moi przyjaciele. Sąsiedzi są fajni, przeróżni. Jest mistrz ju-jitsu, jest pisarka, są też zwykli niewyróżniający się mieszkańcy. Przyzwyczaiłam się do tych wszystkich sklepików, szewców, nie szewców. Mam blisko do pracy, jest metro. Nie wyobrażam sobie mieszkania w innej dzielnicy, nawet – w cudzysłowie – lepszej. 🐾

Tadeusz Michalski – varsavianista, absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej oraz Polskiej Szkoły Reportażu

ŹRÓDŁA:

B. Brukalska, *Zasady społeczne projektowania osiedli mieszkaniowych*, Warszawa 1948; Le Corbusier, *Karta ateńska*, red. G. Piątek, Warszawa 2017; J.S. Majewski, *Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa na Mokotowie. Zza okien dobiegał stukot maszyn do pisania*, „Gazeta Wyborcza” [online], <https://warszawa.wyborcza.pl/warszawa/7,150427,20332104,warszawska-spoldzielnia-mieszkaniowa-na-mokotowie-zza-okien.html> (dostęp 22.11.2024); J. Nowicki, *Osiedle WSM na Mokotowie w Warszawie*, „Stolica”, 1948, nr 4; „Praesens”, 1930, nr 2; rozmówcy: Magdalena Dudek i Artur Krzak

MDM dzielnica z marzeń

O Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej i placu Konstytucji z Krzysztofem Mordyńskim rozmawia Mateusz Kaczyński

W tym roku obchodzimy wyjątkową, 70. rocznicę otwarcia Pałacu Kultury i Nauki, który jest chyba najbardziej rozpoznawalnym symbolem architektury socrealistycznej w Warszawie. Ale przecież do tego samego kierunku należy też MDM, który jest o trzy lata starszy od Pałacu, a bywa pomijany, kiedy mówimy o stołecznym socrealizmie. Tymczasem to bardzo ciekawe miejsce nie tylko ze względu na architekturę. Co stanowi charakterystyczną cechę MDM-u we współczesnej Warszawie?

Wielu mieszkańców stolicy lokalizuje MDM na placu Konstytucji. Tu szeroka ulica Marszałkowska – razem z tramwajami, samochodami, autobusami – wlewa się do wnętrza placu, gdzie jest zawsze głośno, ruchliwie, bywa nieznośnie, ale równocześnie bardzo miejsko, gdzie toczy się życie. Plac Konstytucji ma specyficzną monumentalną formę, mieści się przy nim dużo

sklepów, niedaleko jest wyjście z metra, więc pod tym względem MDM stanowi po prostu ważną część Śródmieścia. Każdy, kto tam przyjdzie, od razu dostrzega jego specjalną architekturę i wygląd. Plac Konstytucji ma spójny, harmonijny charakter, jak mało który wśród warszawskich placów. Zyskał go w 1952 roku. Ale uwaga, kiedy mówimy MDM, to mamy na myśli przede wszystkim plac Konstytucji, a tak naprawdę MDM to skrót od Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej.

No właśnie, plac Konstytucji i MDM to nie jest dokładnie to samo. Jakiego obszaru zatem dotyczy nazwa MDM?

Plac Konstytucji miał być częścią znacznie większej całości, całej dzielnicy, czyli MDM-u, dla 45 tys. mieszkańców. Rozciąga się ona od ulicy Wilczej na północy, czyli jeszcze przed placem Konstytucji, aż do placu Unii

KRZYSZTOF MORDYŃSKI

– historyk, wykładowca, autor, badacz dziejów architektury i urbanistyki Warszawy. Laureat nagrody KLIO 2021 za książkę *Sny o Warszawie. Wizje przebudowy miasta 1945–1952*, współautor *ŚRÓD PD. Ilustrowanego atlasu Śródmieścia Południowego*, autor scenariuszy kilkunastu wystaw muzealnych, katalogów i publikacji towarzyszących ekspozycjom, kilkudziesięciu artykułów naukowych i popularnonaukowych, publikowanych również w magazynie STOLICA. Pracuje jako kustosz w Muzeum Uniwersytetu Warszawskiego, prowadzi zajęcia na studiach podyplomowych na UW oraz w IBL PAN.



Lubelskiej na południowym krańcu, a na osi wschód-zachód od placu Na Rozdrożu do placu Politechniki. To taki obszar o podłużnym kształcie leżący jeszcze na terenie Śródmieścia Południowego, ale sięgający aż Mokotowa.

Mówimy więc o wielkim, monumentalnym założeniu. Na MDM-ie faktycznie da się poczuć ducha socrealizmu. Dzielnica bywa porównywana chociażby do równie monumentalnej Karl-Marx-Allee w Berlinie. Skąd wynikała potrzeba stworzenia „scenografii” dla ideologicznych przedstawień w powojennej Warszawie?

Z jednej strony taki był program władz, które chciały, żeby Warszawa i jej wybrane części były monumentalne i żeby właśnie Marszałkowska służyła do pochodów, uroczystości i defilad. Z tego punktu widzenia plac Konstytucji był bardzo dobrym miejscem, gdzie można było te pochody kończyć. Stąd też wielka skala architektury wokół placu, paradne formy, które miały być oprawą uroczystości. Ale warszawski MDM to jednak co innego niż berlińska Karl-Marx-Allee, gdyż te domy nie miały być po prostu dekoracją wzdłuż jednej arterii, ale tworzyć przestrzeń do życia.

To jest ta mniej znana część historii MDM-u. Nowa dzielnica musiała także zaspokajać potrzeby mieszkaniowe w odradzającym się mieście.

Tak, to perspektywa architektów, którzy chcieli zreformować miasto. To pomysł urbanistów, jak odbudować Warszawę, żeby była wygodna, zdrowa do życia i po prostu spełniała potrzeby mieszkańców. W powojennej Warszawie w tych pierwszych latach budowano osiedla mieszkaniowe zatopione w zieleni i poza ścisłym centrum miasta. Uważano, że jeżeli ludzie mają mieszkać zdrowo, to niech mieszkają dookoła centrum, które miało być dzielnicą pracy. Oczywiście już bez przemysłu i inaczej, bardziej logicznie uporządkowane, bo ta przedwojenna Warszawa była miastem wynikowym. Śródmieście zostało ściśle zabudowane jeszcze w czasie zaborów, na przełomie XIX i XX wieku, kiedy myśl urbanistyczna była po prostu tłumiona – bez miejsc na szkoły, z nielicznymi parkami, z niewygodną komunikacją. Po 1945 roku, realizując postulaty przedwojenne, starano się uporządkować wszystko. Zaczęto jednak od budowy osiedli, a przez pięć pierwszych lat Śródmieście było terenem opuszczonym. Esencją życia w tym okresie była na przykład parterowa ulica Marszałkowska.



Zbyszek Siemaszko/NAC; Mirosław Kaźmierczak

Co to znaczy?

Rozebrano górne partie spalonych kamienic, gdyż nadwątlone ściany często się zawałyły. W parterach właściciele mieli sklepy – powstał więc pasaż handlowy nazywany parterową Marszałkowską, ale jak długo można było ciągnąć taką prowizorkę? Wreszcie w roku 1950 zdecydowano się rozpocząć odbudowę ścisłego Śródmieścia nie w samym centrum, tylko na granicy z Mokotowem, i tam ulokować dużą dzielnicę mieszkaniową.

Przypominam sobie słynne zdjęcia z okresu tuż po wojnie. Przez środek tej parterowej Marszałkowskiej idzie nasyp nie do końca połączony linii tramwajowej z przerwami na poprzecznych ulicach...

To był wieczny plac budowy. Jeżeli z hotelu Polonia, siedziby ambasad jako jedyne luksusowego, niezburzonego budynku w centrum miasta, patrzyli przez okna dyplomaci, to widzieli morze ruin. Było to jak najbardziej na rękę i władzom, i osobom, które zabiegały o międzynarodową pomoc dla miasta. Początkowo liczone na to, że cały świat się zrzuci na odbudowę, że pieniądze dadzą USA i Zachód Europy – przecież oficjalnie Polska miała być demokratyczna. Ale szybko się okazało, że władzę przejęli komuniści całkowicie

zależni od Stalina. Polska odrzuciła plan Marshalla, Związek Radziecki był bardziej zainteresowany tym, co może zabrać, pomoc innych krajów w stosunku do potrzeb była symboliczna, dlatego na kreślone z rozmachem plany odbudowy Śródmieścia nie było pieniędzy. Pierwszym krokiem do zmiany miało być właśnie wzniesienie MDM-u.

Mamy zatem wielką politykę, która z jednej strony rozgrywa się na poziomie międzynarodowym, ale ma swoje bezpośrednie konsekwencje na poziomie miejskiej ulicy. W ten krajobraz wkraczają architekci, których losy są też bardzo ciekawe.

Chciałbym poświęcić im kilka słów, bo postaci, które brały udział przy projektowaniu MDM-u, to byli architekci, którzy przebyli długą drogę. Bardzo niesprawiedliwe jest ocenianie ich jako wykonawców woli komunistycznych włodarzy, a nierzadko tak stawia się sprawę, mówiąc: komuniści wybudowali plac Konstytucji, komuniści zdecydowali o tym czy tamtym. Tymczasem władze rzeczywiście miały polityczną perspektywę odbudowy miasta, ale to nie była jedyna perspektywa. Było jeszcze spojrzenie ludzi z misją, którzy przed wojną, w czasie okupacji i pod rządami komunistów dążyli do tego, żeby budować dobrze i z myślą o ludziach. Do nich należeli

Parterowa Marszałkowska, 1950 r.



Marszałkowska, lata 50. Dzisiaj w tym miejscu pod Marszałkowską biegnie wykop Trasy Łazienkowskiej

architekci MDM-u – Józef Sigalin, Stanisław Jankowski, Jan Knothe i Zygmunt Stępiński. Oni nie otrzymali jakichś fikcyjnych dyplomów, trzem z nich studia niemal na samym końcu przerwała wojna, dokończyli je w 1946 roku, a Stępiński był pełnoprawnym architektem już przed okupacją. Ich misją było odbudowanie Warszawy, więc czy to się działo w takim systemie czy w innym, to oni to przyjmowali jako uwarunkowanie. Musieli zmierzyć się z tym, na co decydenci pozwolą, czasem uwzględnić ich wolę i ich cele.

Czy udało im się to połączyć?

Świetnie to łączyli, czyli właśnie plac Konstytucji, który niesłusznie jest symbolem MDM-u, to plac monumentalny, natomiast za nim znajduje się dość duży obszar

zabudowy mieszkaniowej. Zasady jego ukształtowania staram się dokładnie przedstawić w książce. Chodzi o przemyślane planowanie całej infrastruktury: dróg, szkolnictwa, opieki zdrowotnej, sklepów, usług, kultury, a wszystko to projektowane dla zakładanej liczby mieszkańców. Osobny rozdział stanowiło planowanie mieszkań, które zawsze było łamigłówką – jak oszczędnie zapewnić komfort jak największej liczbie osób? Te poszukiwania odpowiedniej formuły są pasjonujące.

O poziomie odbudowy miasta mówią detale, a tych MDM jest pełen. Kiedy wejdziemy do podcieni jednego z głównych budynków przy placu Konstytucji, możemy obejrzeć piękne mozaiki na sufitach. Jest wiele płaskorzeźb, metaloplastyki... Jak to wyglądało od ➔

strony praktycznej? Czy ozdoby zrobiono na pokaz dla władzy, czy jednak faktycznie taka warstwa estetyczna miała jakoś przysłużyć się mieszkańcom?

Jak najbardziej mieszkańcom, ale równocześnie celom propagandowym. Kiedy już w czasie okupacji architekci planowali odbudowę stolicy, bardzo mocno zwracali uwagę na estetykę. Dla nich ta odbudowana Warszawa miała być przestrzenią przede wszystkim wygodną, z dobrą komunikacją, z dużą ilością zieleni, ale też chcieli, by pełniła rolę galerii sztuki otwartej, dostępnej. Myśleli o ozdobieniu miasta rzezbami, pomnikami, o estetycznym kształtowaniu ulic, żeby wywoływały pewne wrażenia, ciekawiej się nimi chodziło, nie były monotonne. Niewielką część zrealizowano w czasie pierwszej fazy odbudowy w latach 1945–1950. Natomiast zaangażowanie dużych środków ze strony państwa pomogło wyposażyć Marszałkowską Dzielnicę Mieszkaniową o wiele bogaciej niż gdziekolwiek indziej w Warszawie. Widać to najdobitniej w okolicy placu Konstytucji, bo tam na pierwszym odcinku MDM-u było przyzwolenie na większe finansowanie sztuki. Stąd te mozaiki, rzeźby na attykach wysoko i płaskorzeźby niżej, niektóre zresztą bardzo udane, a inne budzące wątpliwości. Nie był to jednak wymysł tylko tego okresu. W latach 60. także zdobiono miasto, tyle że sztuką abstrakcyjną.

Takie było założenie. Wtedy także pojawił się słynny neon siatkarki i pozostałe słynne neony zdobiące całą okolicę po zmroku.

Natomiast na placu Konstytucji były także neony z lat 50. Planowano ich tam więcej, ale w końcu nie zostały wykonane ze względu na braki materiałowe. Oddano te nad wejściami do kawiarni i restauracji. Były utrzymane w ówczesnej stylistyce: litery wzorowane na rzymskich kapitałach, na dostojnym piśmie, bo to się łączyło z estetyką socrealizmu. A później przychodzą wspaniałe lata 60. i 70., czyli epoka neonów, w której są one bardzo swobodne. Kreśli się je literą pisaną i to pięknie wygląda.

Kiedy prześledzimy losy MDM-u przez dziesięciolecia jego istnienia, to przewija się kilka tematów, które nadal są kontrowersyjne i nie tracą na aktualności. Mamy temat parkingu na samym środku placu. Czy pozbycie się go i stworzenie tam zieleni miejskiej zaburzyłoby urbanistyczny zamysł? Jest też sprawa zaplecza kulturowego MDM-u. Czy ma ono szanse przetrwać w zderzeniu z multipleksami? Niedawno odratowano przed zamknięciem kino Luna. Czy MDM jako osiedle jest dobrze przystosowany do potrzeb nowoczesności?



Krzysztof Mordyński
*MDM. Marszałkowska
dzielnica marzeń,
Centrum Architektury 2025*

To jest dobre pytanie, bo trzeba tam mieszkać, żeby móc to ocenić. Na pewno mało osób wie, że za tymi wielkimi blokami, szczególnie dalej w stronę Trasy Łazienkowskiej, przy kinie Luna, na zapleczach są zielone dziedzińce z pięknie rozrośniętą zielenią. Mieszkańcy o to dbają. To naprawdę jest o wiele lepsza przestrzeń do życia – z parkami i placami zabaw, przyjemniejsza niż kilkaset metrów w stronę centrum, gdzie zachowały się eklektyczne kamienice, które z zewnątrz wyglądają bardzo interesująco, ale wewnątrz mają podwórka studnie, tak jak sto lat temu. Plac Konstytucji już w latach 60. zaczął tracić funkcję miejsca reprezentacyjnych uroczystości i wtedy na jego środkowej części zaczęto stawiać samochody, tak jest do dziś. Tę funkcję parkingową należałoby może nie tyle usunąć, co zmienić, czyli najwygodniej byłoby wrzucić ten parking pod ziemię. Co mogłoby znaleźć się na jego miejscu? Architekci planowali fontannę, nie jakąś gigantyczną jak di Trevi, ale taką...

...fontannę Konstytucji?

Właśnie tak! Warto wspomnieć przy tej okazji, że nie zmieniliśmy nazwy placu, bo to wciąż konstytucja, choć wtedy chodziło o tę z 1952 roku, która była nazywana konstytucją stalinowską. Dzisiaj dalej mamy tę samą nazwę, ale należy ją odczytywać jako liczbę mnogą, czcimy nasz konstytucjonalizm. To jest plac wszystkich konstytucji.

Do tego mogłaby nawiązywać fontanna, czemu nie. Może wystarczyłaby jakaś prosta, niefiguralna forma. Na pewno jako historyk urbanistyki sprzeciwiłbym się jakiejś wysokiej zieleni, bo ta by całkowicie zniszczyła walory tego placu rozumianego jako dziedzictwo konkretnej epoki.

Uważam, że to byłoby piękne. Przy okazji naszej rozmowy oczywiście warto wspomnieć, że ukazały się dwie publikacje. Pierwsza to MDM. Marszałkowska dzielnica marzeń twojego autorstwa. To chyba pierwsza taka monografia ukazująca w całości historię MDM-u. Druga publikacja to Atlas MDM, którego jesteś współautorem i on zabiera nas... No właśnie, gdzie nas ten atlas i książka zabierają?

Atlas można wziąć ze sobą na spacer, bo to lekka książeczka. Pozwala wędrować po konkretnych miejscach MDM-u, podziwiać rzeźby, budynki, place. Natomiast czytelników, którzy chcieliby poznać całe bogactwo pasjonującej historii dzielnicy, kontekst rozwoju i życia miasta, uwarunkowań politycznych, usiłowań architektów, zapraszam do przeczytania książki. Wskazuje ona też, jakie były pomysły, by kształtować miasto



Plac Konstytucji, lata 50.

wygodne i piękne, takie, które dzisiaj też się przydadzą. Mieszkańcy nie zawsze są świadomi, że od organizacji przestrzeni zależy to, czy jest nam przyjemnie, czy jesteśmy zmęczeni, czy mamy gdzie wyjść z psem. To wszystko jest właśnie opisane w mojej książce *MDM. Marszałkowska dzielnica marzeń*. To były marzenia mieszkańców, a urbaniści chcieli je spełnić. I tak jak to w życiu bywa – jedne rzeczy się udały, a inne zupełnie nie.

Czy masz jakieś ulubione miejsce albo jakiś element wystroju właśnie z MDM-u, który jest taką twoją wiosną na torcie, jeśli chodzi o ten obszar miasta?

Można powiedzieć, że mam marzenie. Podoba mi się plac Zbawiciela, nawet w tej nieskończonej formie, bo ona jest nieskończona, ale o odczuciu harmonii decyduje budynki MDM-u z kolumnadami, które podkreślają architekturę kościoła. Podoba mi się aleja Wyzwolenia, bo jest spokojna, chociaż po zapoznaniu się z planami architektów wiem, że mogłaby wyglądać o wiele ciekawiej. Natomiast mam pewne marzenie. Otóż centrum

MDM-u miało być nie na placu Konstytucji, tylko za placem Zbawiciela.

Czyli trochę dalej na południe.

Tak, obok kina Luna. Kino miało być jednym z tych budynków, które stanowiły prawdziwe centrum tego osiedla – z domem kultury, z muzeum, z biblioteką, a nawet krytą pływalnią, a przede wszystkim z osiedlowym, spokojnym placem. Ten plac projektowano na przecięciu Marszałkowskiej i alei Armii Ludowej, która dziś nie jest – jak w latach 50. – aleją z drzewami, ale biegnie nią Trasa Łazienkowska. To, co dzisiaj widzimy, to jest wykop, który powstał 20 lat po budowie MDM-u i zniszczył ten fragment hałasem, spalinami, wyrwał w miejscu, które jest potrzebne. Moim marzeniem byłoby, aby ten wykop schować w tunelu i przywrócić tej części MDM-u charakter mieszkaniowy, bo w tej chwili jest tam bardzo nieprzyjemnie, zarówno walory miejskie, jak i estetyczne, czy wreszcie komfort mieszkańców – wszystko cierpi ze względu na otwarty wykop Trasy Łazienkowskiej. 🍷

Niech ręka boska nas broni!

Zamki biskupie na Mazowszu

Piotr Lasek

W okresie późnego średniowiecza ziemie mazowieckie pozostawały pod jurysdykcją trzech jednostek terytorialnych administracji kościelnej: arcybiskupstwa gnieźnieńskiego (część zachodnia z Łowiczem), biskupstwa płockiego (północne i północno-wschodnie Mazowsze z centrami w Płocku i Pułtusku), wreszcie biskupstwa poznańskiego (południowa część ziem mazowieckich – archidiaconat czerski, następnie zaś warszawski). Na ziemiach stanowiących uposażenie poszczególnych diecezji Kościół posiadał swoje folwarki, dwory, wreszcie główne ośrodki rezydencjonalne. W XIV stuleciu niektóre z nich otrzymały formę murowanych z kamienia i cegły zamków

Do najstarszych założeń murowanych z kamienia na historycznym Mazowszu zaliczyć wypada zamek w arcybiskupim Łowiczu (obecnie w województwie łódzkim), wedle relacji Jana z Czarnkowa wzniesiony przez Jarosława Bogorię Skotnickiego po 1351 r. (arcybiskup ów nakazał również wzniesić zamki w Uniejowie, Kamieniu Krajeńskim i Opatówku). Wcześniej zapewne funkcjonował tu drewniano-ziemny zespół warowny, przekształcony z czasem na dwór biskupa. W swojej najstarszej fazie zamek łowicki stanowił czworoboczny kamiennie-ceglany obiekt, zajmujący ok. 1150 m kw. powierzchni. Wjazd wiódł od wschodu przez budynek bramny na rzucie wydłużonego czworoboku. Zabudowa wewnętrzna składała się z dwóch domów: mniejszego południowego (o szerokości 10 m) i większego północnego (o szerokości 13 m), zamkniętych od zachodu murem obronnym. Jako dodatkowe zabezpieczenie służył niski wał ziemny i fosa. W kolejnych stuleciach arcybiskupi rozbudowali średniowieczny zamek do formy okazałej, renesansowej rezydencji, utrwalonej na sztychu z dzieła *Theatri praecipuarum totius mundi urbium* Georga Brauna i Franza Hogenberga z 1618 r. Dziś po zamku zostały ruiny.

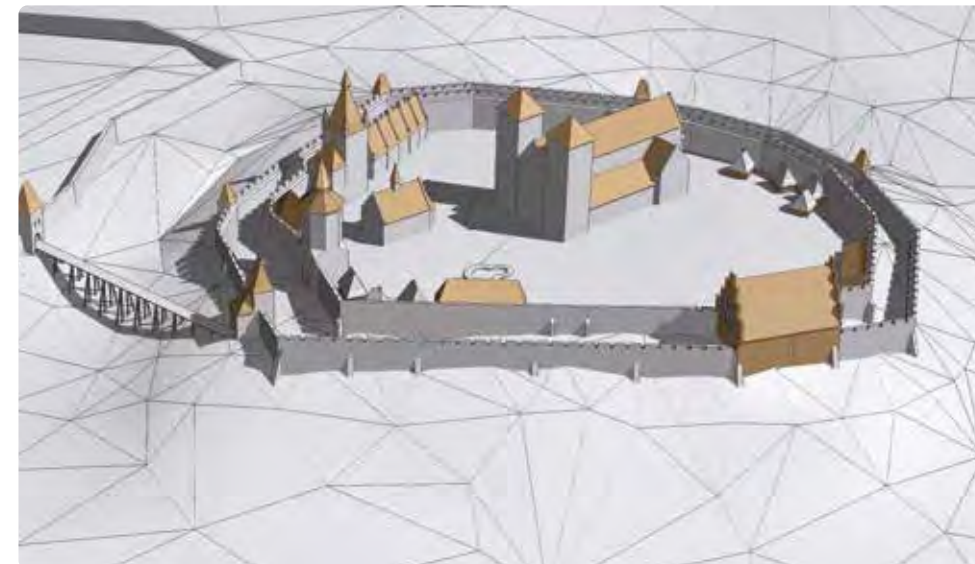


Łowicz, miasto i rezydencja arcybiskupów na sztychu z dzieła *Theatri praecipuarum totius mundi urbium* Georga Brauna i Franza Hogenberga z 1618 r.

Największe nadania ziemskie na obszarze Mazowsza posiadali biskupi płocki. Biskupstwo powołano w 1075 r., jednakże najstarszy zachowany przekaz informujący o jego posiadłościach pochodzi z przełomu XII/XIII w. Inwentarz ten rozpoczyna się opisem kasztelanii z centrami w Pułtusku, Brańsku, Broku i Świętku. Z punktu widzenia władzy świeckiej były to grody peryferyjne, strzegące słabiej zaludnionych obszarów narażonych na najazdy pruskie, jaćwieskie i litewskie. Ziemie takie chętnie nadawano kościołowi, licząc na ich dobre zagospodarowanie i obronę.

Stolicą diecezji był Płock. Pierwsze drewniano-ziemne umocnienia na omawianym terenie można datować na drugą połowę X w. We wczesnym średniowieczu na tzw. Wzgórzu Tumskim wzniesiono obwałowania obejmujące teren o powierzchni około 2 ha. U schyłku wieku XI w ich obrębie wzniesiono kamienne budowle romańskie – przede wszystkim tzw. pierwszą katedrę, powstałą najpewniej z inicjatywy Władysława Hermana, o której wspomina Gall Anonim. W drugiej ćwierci XII w. zastąpiła ją kolejna katedra fundacji biskupa Aleksandra z Malonne. Była to

Płock, zamek z katedrą w XV w., próba rekonstrukcji, oprac. Paweł Rajski





Płock, widok na Wzgórze Tumskie z tak zwaną wieżą szlachecką

trójnawowa bazylika z transeptem i prezbiterium zakończonym apsydą. Chór zachodni flankowały dwie wieże. Przez pierwsze trzy wieki istnienia diecezji przy katedrze znajdowała się też najpewniej siedziba biskupów płockich, choć posiadali oni także „miasto” na podgrodziu otoczone własnymi umocnieniami. Na tym obszarze kościół płocki cieszył się znaczną niezależnością, także ekonomiczną. W związku z tym do końca XIII w. Płock funkcjonował w zasadzie jako miasto „podwójne” – świeckie książęce i duchowne biskupie. Nie było to oczywiście na rękę władzy świeckiej, stąd podejmowane przez książąt próby likwidacji tego stanu rzeczy – m.in. podczas lokacji miasta z 1237 r. Jednakże dopiero wskutek reform Kazimierza Wielkiego biskupie podgrodzie w Płocku ostatecznie zostaje wchłonięte przez miasto. Władca ten dokonał też przekształcanie płockiego grodu w murowany zamek – nakazał wzmocnić obronę poprzez budowę dodatkowej linii murów obronnych. W ten sposób powstało obszerne założenie mieszczące w obrębie murowanych fortyfikacji siedzibę panującego, towarzyszące jej zabudowania gospodarcze, katedrę, domy kleru katedralnego oraz klasztor benedyktyński. Zabrakło tam jedynie miejsca dla... siedziby biskupa!

W związku z tym w XIV w. podjęto decyzję o budowie rezydencji biskupiej w obrębie murów miasta. Wedle ilustracji z 1595 r. składała się ona z trzech budynków – murowanego podpiwniczego pałacu, pomocniczego

domu mieszkalnego przy murze miejskim oraz kolejnego o funkcjach gospodarczych. W obrębie siedziby była jeszcze stajnia, piekarnia oraz kuchnia. Całość była ogrodzona, dostępna przez murowaną bramę. Siedziba posiadała ogród o charakterze użytkowym – były tam drzewa owocowe. Około 1600 r. biskup Wojciech Baranowski dokonał przebudowy obiektu, a z tyłu, na stokach skarpy miejskiej, założył nowy ogród z winnicą. W latach 1640-1655 kompleks siedziby biskupiej został odnowiony przez biskupa Karola Ferdynanda, syna króla Zygmunta III Wazy. Dwór biskupi w Płocku, zniszczony podczas najazdów szwedzkich, nie odzyskał swej świetności, a jego relikty kryją obecnie mury gmachu Sądu Okręgowego i Izby Skarbowej.

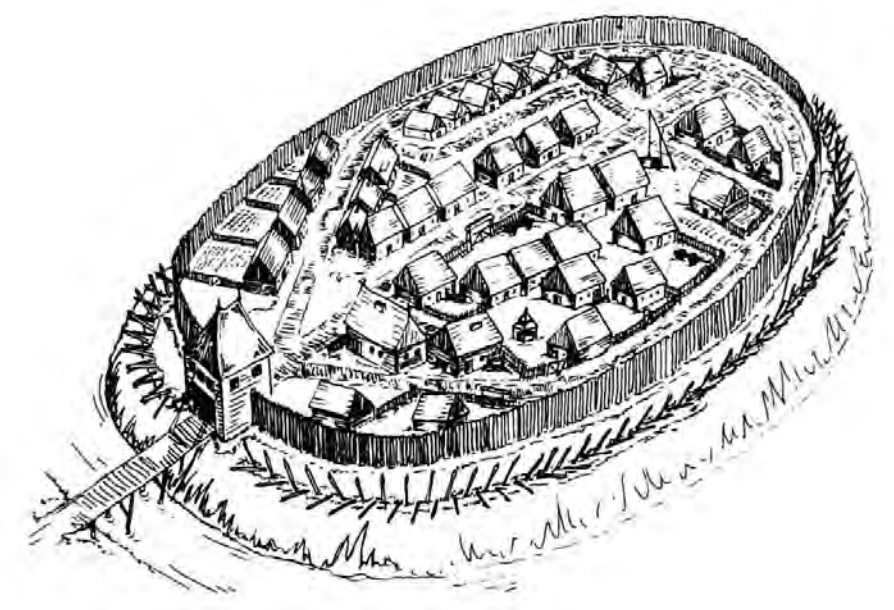
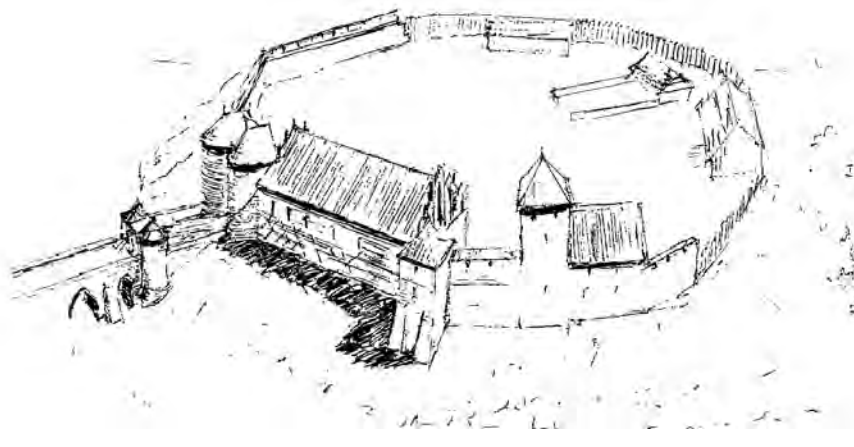
Wobec finalizacji rozpadu własności kościelnej w stołecznym Płocku oraz niejako „wyrugowania” biskupów z tamtejszego zamku, uwaga władarzy diecezji zwróciła się w stronę dóbr położonych bardziej na wschód, co ostatecznie doprowadziło do rozkwitu miasta i rezydencji w Puławsku.

Jak wiemy, Puławsk stanowił jedną z najstarszych włości diecezji, co najmniej od XIII w. pełnił też rolę ważnego ośrodka zarządu biskupich dóbr. Wyniki badań archeologicznych dotyczące puławskiego tzw. Starego Miasta (obszar przy przeprawie na wyspę puławską) wskazują na istnienie tam osadnictwa co najmniej do połowy XIII w., zapewne typu otwartego. Centrum

puławskiego zespołu osadniczego stanowił gród wzniesiony po 1230 r. Otaczały go wody Narwi oraz fosa wykopana od strony zachodniej i odcinająca gród od reszty „wyspy miejskiej”. Sposób zagospodarowania założenia nie wskazuje na jego rolę jako ważniejszej rezydencji biskupiej, była to przede wszystkim obronna osada oraz centrum administracyjne. Zapewne biskupi płocki posiadali wewnątrz wałów swój dwór (najpewniej drewniany), w którym zatrzymywali się podczas pobytów w Puławsku. Otwarta pozostaje też kwestia obecności na jego obszarze budowli sakralnej (kaplicy?). Ostateczny kres tak ukształtowanego grodu przyniósł najazd litewski z 1368 r., kiedy to cały kompleks uległ spaleni, spłonęli również obrońcy grodu.

Tragiczny w skutkach najazd Kiejstuta był jedynie epizodem, który nie przeszkodził w rozwoju miasta. Między rokiem 1337 a 1357 Puławsk otrzymał prawa miejskie. Wraz z lokacją miasta oraz coraz wyraźniejszym wzrostem zainteresowania biskupów płockich wschodnią częścią ich dominium oczywista stawała się kwestia posiadania przez właścicieli Puławska odpowiedniego zaplecza rezydencjonalnego, którym w drugiej połowie XIV w. był murowany zamek. Etapy jego wznoszenia są niejasne. Część badaczy przypuszcza, że już w pierwszej połowie XIV stulecia, za czasów biskupów Floriana lub Klemensa, w południowo-zachodniej części grodu w linii drewniano-ziemnych wałów stała murowana wieża posadowiona na rzucie czworoboku. Jeśli tak było w istocie, musiała ona jednak ulec zniszczeniu wraz z całym założeniem w trakcie najazdu w 1368 r.

Puławsk, rekonstrukcja wyglądu zamku w późnym średniowieczu, oprac. Wojciech Wólkowski

Puławsk, rekonstrukcja wyglądu grodu w XIII w. wg <https://medievalheritage.eu>

Proces przemiany dawnego grodu w murowaną rezydencję mógł być jednak znacznie dłuższy, a pierwsze budowle wykonane z cegły w obrębie drewniano-ziemnych umocnień być może należy wiązać dopiero z biskupem Pawłem Giżyckim (1439-1463). Część autorów przypisuje mu realizację wspomnianą wieży, a także domu zamkowego na rzucie czworoboku, zwanego domem małym. Następnie w północno-zachodniej części zamku wzniesiono kolejny dom zamkowy na rzucie wydłużonego czworoboku, trójkątny, zwany domem dużym.

U schyłku XV w. Puławsk był już – jak na warunki mazowieckie – całkiem sporym i liczącym się w skali lokalnej miastem. Posiadał murowaną rezydencję biskupią, będącą administracyjnym, politycznym i w coraz

większym stopniu gospodarczym centrum diecezji. W mieście istniały trzy kościoły, w tym murowana kolegiata, szpital i ratusz z ceglana wieżą. Działały tutaj także liczne cechy. Miasto uczestniczyło w handlu drewnem oraz w spławie zboża. Prężnie rozwijający organizm miejski za czasów biskupa Erazma Ciołka (1503-1522) otrzymał też mury obronne, co czyniło z Puławskiem jedno z trzech (obok Płocka i Warszawy) miast posiadających murowane umocnienia. W ten sposób stał on się de facto centrum diecezji na najbliższe 300 lat.



Pułtusk, baszta murów miejskich

Podstawy materialne tego rozwoju zapewniała pomyslna koniunktura gospodarcza oraz odpowiednie wykorzystanie zasobów dóbr puszczańskich. Jednocześnie na stolcu biskupim w Płocku zasiadało w XVI i w pierwszej połowie XVII w. wiele postaci wybitnych. Znajdziemy wśród nich zarówno doskonałych administratorów, jak też wybitnych humanistów i mecenasów sztuki, wreszcie zaś bliskich współpracowników królewskich, obeznanych w obowiązujących aktualnie trendach nie tylko politycznych, ale też artystycznych i kulturowych. Za ich rządów na obszarze diecezji pojawiają się kolejne lokacje miejskie, a także dzieła architektury i sztuki, będące na Mazowszu pierwszymi zwiastunami nowych trendów artystycznych płynących z Italii.

Przede wszystkim przekształceniom uległa pułtуска siedziba biskupia. W XVI w. zamek pułtuski od strony miasta niewątpliwie prezentował się okazale – bramy broniły dwie podkowiaste baszty, obronę wspomagały też dwie cylindryczne wieżyczki (obecnie zrekonstruowane). Zabudowa mieszkalna i reprezentacyjna rozciągała się w zachodniej i południowo-zachodniej części zamku. Natomiast od wschodu, od strony rzeki, siedziba biskupia wyglądała zgoła inaczej – nie wzniesiono tam nigdy obwodu obronnego, bardzo prawdopodobne natomiast jest, że zastępowała go przeszkoda drewniana – palisada bądź parkan. Autor najstarszego opisu Mazowsza Jędrzej Święcicki wymieniał biskupów Erazma Ciołka, Rafała Leszczyńskiego oraz Andrzeja Krzyckiego



Pułtusk, zamek biskupi. Most ze zrekonstruowanymi wieżyczkami i brama wjazdowa



Pułtusk, wieża ratuszowa

za pontyfikatu biskupa Piotra Myszkowskiego, który urządził pod zamkiem obszerne ogrody w stylu włoskim.

Połączenie nowożytnej przebudowy zamku w Pułtusku z biskupem Krzyckim podbudowuje fakt, że ten wykształcony w Italii humanista, blisko związany z dworem królewskim, prowadził w diecezji płockiej ożywioną działalność budowlaną. 16 września 1531 r. Krzycki zawarł w Krakowie umowę z Bernardinem Gianotti (de Gianotis), Giovannim Cinim ze Sieny oraz Filippem z Fiesole na budowę nowej katedry płockiej w miejscu uszkodzonej pożarem budowli romańskiej. Prace zakończono w 1536 r., jednakże wkrótce gmach katedry wymagał napraw. W Pułtusku Krzycki nakazał u stóp zamku, na miejscu starszej drewnianej budowli, wzniesić centralną kaplicę pod wezwaniem św. Marii Magdaleny, być może przewidzianą na własne mauzoleum. Za pontyfikatu Krzyckiego wzniesiono także kościół św. Krzyża, posadowiony na planie krzyża greckiego. W 1530 r. biskup ten sprowadził do Pułtuska oficynę drukarską Jana z Sącza.

Kolejnym biskupem płockim, który walczył o rozwój Pułtuska, był pochodzący ze średniozamożnej szlachty mazowieckiej Andrzej Noskowski. W 1557 r. uzyskał od króla Zygmunta Augusta potwierdzenie nadanych miastu przywilejów. Na zlecenie No-

skowskiego w latach 1556-1563 Giovanni Battista Venetus dokonał niezbędnych napraw oraz dokończył budowę katedry płockiej. Ten sam murator przeprowadził też (w latach 1546-1551) rozbudowę kolegiaty pułtuskiej, którą powiększono, zaopatrzone w dwie wieże od zachodu, wnętrza zaś otrzymały kolebkowe sklepienie z kasetonami oraz polichromie zamówione przez Noskowskiego kosztem 216 florenów, a wykonane przez Wojciecha z Warszawy, Stanisława z Łomży i Stanisława z Liwu. W 1566 r. Noskowski sprowadził z Braniewa

→



Brok, wieża pałacu biskupiego

do Pułtusa zakon jezuitów, nadając im budynki na kolegium i plac pod budowę kościoła (zrealizowany w latach 1567-1584), ufundował też w Krakowie tzw. Burzę Noscoviana, która zapewniała mieszkania dla 40 studentów z Mazowsza. Po ukończeniu studiów mieli obowiązek odpracować pomoc w szkołach Płocka i Pułtusa przez minimum trzy lata. W 1563 r. z inicjatywy biskupa zbudowano kaplicę przy istniejącym szpitalu św. Trójcy. Noskowski zmarł w 1567 r. i został pochowany kolegiacie pułtuskiej w kaplicy, wzniesionej dlań w latach 1553-1554, najpewniej także przez Giovanniego Battistę Venetusa.

Choć niewątpliwie znaczna część aktywności kulturalnej i fundatorskiej biskupów płockich skupiała się w Pułtusk, w XVI stuleciu pojawiają się także **nowe siedziby biskupie** (np. częściowo murowana letnia siedziba w **Bartodziejach** czy posadowiony na murowanych piwnicach dwór w **Jabłonnem**) oraz lokacje miejskie – jak **Andrzejewo, Brok i Wyszków**. W Andrzejewie w roku 1526 rozpoczęto prowadzoną etapami budowę

późnogotyckiego kościoła murowanego pw. św. Bartłomieja, kontynuowaną przez cały niemal wiek XVI z fundacji biskupów płockich. Budowla konsekrowana została w 1605 r. przez biskupa Wojciecha Baranowskiego. Także w Broku wzniesiono nowy, murowany kościół parafialny pw. św. Andrzeja (zbudowany w latach 1544-1560, najpewniej wedle projektu Giovanniego Battisty Venetusa), zaś w latach 1617-1624, w obrębie funkcjonującego od początku XVI w. folwarku biskupiego, biskup Henryk Firlej zrealizował nową, murowaną siedzibę (obecnie zachowała się z niej tylko wieża). Pałac ten, wyposażony w kaplicę i widokowy belweder na wieży, pełnił funkcję letniej siedziby biskupiej. Ze względu na fakt, że budowla chroniona była fosą oraz wałem i drewnianym parkanem, niekiedy zwana była zamkiem. Jej realne walory obronne były jednakże niewielkie.

Duże znaczenie gospodarcze w dobrach biskupich miał Wyszków. W 1528 r. istniał tam most na Bugu, miasto stało się ważnym punktem handlowym na skrzyżowaniu dróg, znajdowała się tam m.in. komora celna. Ośrodek ten posiadał również znaczenie rezydencjonalne – w drugiej połowie XVI w. biskup Piotr Dunin Wolski wybudował w Wyszkowie drewniany pałac,

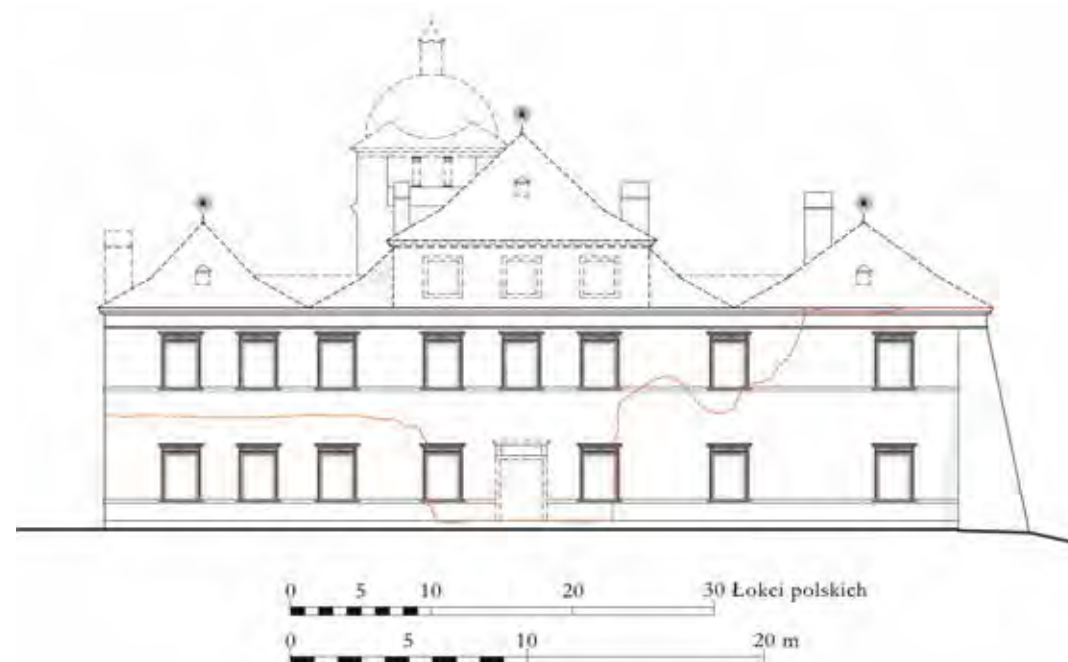
później jedno z ulubionych miejsc przebywania brata królewskiego i biskupa płockiego Karola Ferdynanda Wazy (zmarł tamże 9 maja 1655 r.).

Okres rozkwitu kulturalnego i gospodarczego diecezji płockiej przerwał najazd Szwecji na Rzeczpospolitą w latach 1655-1660, tzw. potop szwedzki. Dobra biskupstwa płockiego doznały ogromnych strat, przede wszystkim materialnych i demograficznych, ale także kulturowych. W stolicy diecezji, Płocku, Szwedzi sprofanowali i złupili katedrę, tak że kapituła katedralna nie miała gdzie odbywać swoich posiedzeń. Okupanci zrabowali też bibliotekę katedralną. Spustoszeniu uległy siedziby biskupie. Ograbiono i zdewastowano pałace w Płocku i Broku. Zamek w Pułtusk został doszczętnie spalony, częściowo spłonęła też zabudowa miejska. Spalono i zniszczono także Wyszków. Proces podnoszenia się diecezji z upadku był bardzo długi. Zamek pułtuski jeszcze w 1692 r. znajdował się w ruinie, w złym stanie był wówczas także pałac w Broku. Prace budowlane w Pułtusk podjęli zasłużeni dla diecezji biskupi z rodu Załuskich – Andrzej Chryzostom, Ludwik Bartłomiej oraz ich bratanek Andrzej Stanisław Kostka. Jak potwierdza ikonografia, w 1703 r. zamek był już odbudowany, jednakże dalsze

Pułtusk, fragment rysunku Erika Dahlbergha z widokiem na miasto i zniszczony przez Szwedów zamek, Kungliga biblioteket, Sztokholm



Piotr Lasek



Brok, rekonstrukcja fasady pałacu biskupiego, oprac. Wojciech Wólkowski.



Odwrót oddziałów saskich w trakcie bitwy pod Pułtuskim w 1703 r., widoczny gmach odbudowanego zamku, rycina ze zbiorów Kungliga biblioteket, Sztokholm

prace przy rezydencji przerwały wydarzenia III wojny północnej (lata 1700-1721).

Proces odbudowy diecezji był możliwy dopiero po zakończeniu działań wojennych, a dzieło to przypadło w udziale Ludwikowi Załuskiemu, który w testamencie

tłumaczył się nawet sukcesorom, że nic prawie im nie zostawia, bowiem całą swoją fortunę przeznaczył na odbudowę zniszczonego wojną biskupstwa. Biskup ten podniósł ponownie do świetności zamek pułtuski, otaczając go obszernymi ogrodami ozdobionymi kaskadami

Ilża, widok miasta i zamku w 1655 r., rycina z dzieła Samuela Pufendorfa *De Rebus a Carolo Gustavo...*, wg rysunku Erika Dahlbergha



i fontannami, wyposażonymi m.in. w pomarańczarnię i figarnię. Odbudował też pałac letni biskupów w Broku (co upamiętnia tablica znajdująca się obecnie w tamtejszym kościele parafialnym).

W porównaniu do terytorium biskupstwa płockiego biskupstwo poznańskie obejmowało jedynie niewielki fragment Mazowsza. Po-

czątkowo siedzibą archidiaconatu najpewniej był **Grójec**, w końcu XIII stulecia został on jednakże przeniesiony do **Czerska**. Kościołem kolegiackim stał się drewniany, później zaś murowany kościół pw. św. Piotra na grodzie czerskim. Gród w końcu XIV stulecia przekształcono w zamek, jednakże nie była to warownia biskupia lub kolegiacka, ale podobnie jak w przypadku Płocka – własność książęca. W 1402 r. kapituła kolegiacka i siedziba archidiaconatu zostały przeniesione

do kościoła św. Jana w Warszawie. Ze względu na peryferyjne położenie archidiaconatu, a także niewielki areał posiadanych na Mazowszu dóbr, biskupi poznańscy nigdy nie zdecydowali się na realizację tam założenia obronnego. Bezpieczeństwo zapewniały mury warowni czerskiej, a później miasta książęcego – Warszawy. Biskupstwo posiadało jednakże w swych dobrach dwory – takowe, najpewniej drewniane, istniał w Kozłowie Biskupim niedaleko Sochaczewa. Inny dwór biskupi, posiadający w 1460 r. dom mniejszy (*ergo* – był tam także i dom większy – zapewne właściwa siedziba biskupia), znajdował się w miejscowości Wrociszew niedaleko Warki.

Pisząc o zamkach biskupich w granicach obecnego województwa mazowieckiego, nie sposób nie wspomnieć o jeszcze jednej budowli – zamku w Ilży. Ilża, historycznie należąca do Małopolski, od XII w. stanowiła włość biskupów krakowskich. W latach 40. XIV w. z inicjatywy biskupa Jana Grota na górującym nad miastem wzniesieniu powstał kamienny zamek, rezydencja biskupia i centrum dużego klucza dóbr ilżeckich, liczącego w połowie XV w. czternaście wsi i jedno miasto. Pierwotnie budowla składała się z obwodu obronnego na rzucie nieregularnego owalu, z cylindryczną wieżą główną



Ilża współcześnie

w części wschodniej oraz domem – siedzibą biskupią – przy murze od strony północnej. Wjazd do zamku od zachodu wiódł po drewnianym moście usytuowanym tak, aby narazić szturmujących na jak najdłuższy ostrzał z murów zamkowych. Średniowieczna warownia była następnie kilkakrotnie przekształcana, w XVI w. zamek przebudowano, zmieniając go w wygodną i reprezentacyjną rezydencję. Od północy i wschodu przylegało do niej obszerne podzamcze, ufortyfikowane około połowy XVI i w XVII w. z myślą o obronie z użyciem broni palnej. Stan założenia biskupiego przed jego destrukcją podczas najazdu szwedzkiego prezentuje rycina wykonana wedle rysunku Erika Dahlbergha z 1655 r. Zamek, który od końca XVIII w. popadał w ruinę, po latach został poddany pracom konserwatorskim i obecnie stanowi jedną z ważniejszych atrakcji turystycznych województwa mazowieckiego. 🍷

Piotr Lasek – historyk sztuki, doktor nauk humanistycznych, pracownik naukowy Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk. Zakres jego badań obejmuje architekturę obronno-rezydencjonalną Europy późnego średniowiecza oraz wczesnej nowożytności, jak też ochronę i inwentaryzację zabytków architektury w Polsce w latach 1918-1939.

Krucyfiks Baryczkowski

500^{lat}

w Warszawie

Krzysztof Traczyński

Za Wisłą na horyzoncie ukazała się czerwona smuga. Zaczęło szarzeć, pożary odbijały się w wodzie coraz barwniej pastelowymi barwami. Wśród trzasków i łomotów, które dolatywały do płonących budynków, usłyszałem wyraźnie warkot samolotu... Na niebie pojawiły się trzy samoloty... Stukasy zatoczyły koło, nabrały większej wysokości i z przeraźliwym wyciem specjalnie zainstalowanych syren, jeden po drugim zaczęły pikować w Katedrę... Jak na zwolnionym filmie bomby odrywały się od zielonkawobrunatnych kadłubów i jedna po drugiej znikwały we wnętrzu Katedry. Powietrzem targnął huk. W niebo strzelił słup dymu, usłyszałem wołanie o ratunek. Nastąpiły dalsze detonacje. Zanim Kanonik zasnużył dymy i tumany wapiennego pyłu, ujrzałem jeszcze, jak z Katedry wybiegli chłopcy i z „Wigrów”, i od „Bończy”. Z Jezuickiej wypadło kilka sanitariuszek.

Stanisław Komornicki. „Na barykadach Warszawy”

Była wśród nich Barbara Piotrowska-Gancarczyk, pseudonim „Pająk”. W chwili wybuchu Powstania Warszawskiego miała 21 lat. W czasie okupacji działała w konspiracji i była łączniczką prof. Stefana Bryły, projektanta konstrukcji warszawskiego Prudentia, wykładowcy tajnego nauczania dla studentów Politechniki Warszawskiej, rozstrzelanego przez Niemców 3 grudnia 1943 r.

16 sierpnia 1944 r. wraz koleżanką Teresą Potylicą-Łatyńską znalazła się w płonącej katedrze św. Jana. Płonęła prawa nawa kościoła, którą obrzucano granatnikami, paliła się kaplica Literacka. W głębi świątyni zobaczyły księdza Wacława Karłowicza, który w kaplicy Baryczków zdejmował ze ściany krzyż z figurą Chrystusa, pragnąc uratować go z pożogi. Krucyfiks był zbyt ciężki, by zdjąć go ze ściany, ale

okazało się, że rzeźba wisi na haku i łatwo można ją od niego odłączyć. Ksiądz z sanitariuszkami wyniósł rzeźbę ze świątyni przez zakrystię. W bramie prowadzącej do klasztoru przy ulicy Jezuickiej 1 rozmontował ręce figury od tułowia. Przejście ulicami było niemożliwe, szli korytarzami przebitymi w piwnicach budynków – Barbara Piotrowska-Gancarczyk niosła ręce, a ksiądz korpus figury. W podziemiach kościoła Jezuitów, dokąd dotarli, tłumnie schronili się mieszkańcy Starego Miasta. Na wiadomość, że niesiony jest Chrystus z kaplicy Baryczkowskiej, rozstępowali się, robiąc przejście, klękali. Przez Rynek, ulicą Krzywe Koło i Mostową przeniesiono figurę Chrystusa do kaplicy sióstr Szarytek. Ksiądz Karłowicz położył figurę na ołtarzu. Gdy dwa dni później kaplica została zbombardowana, rzeźba cudownie ocalała, osłonięta przez upadający drewniany ołtarz.



Potem znalazł się w kościele Dominikanów na Freta, gdzie w podziemiach mieścił się szpital powstańczy. Rzeźbę położono obok leżących rannych i przykryto szynalem. Ksiądz Henryk Cybulski podczas wieczornego obchodu wśród rannych i umierających odsłonił twarz Chrystusa i, widząc jego umęczoną twarz, dokonał ostatniego namaszczenia. W sali oświetlonej jedynie kilkoma świeczkami wziął rzeźbę za jednego z umierających. Kościół św. Jacka i klasztor dominikanów, wielokrotnie bombardowany, 1 września 1944 r. został wysadzony w powietrze, tak jak katedra św. Jana, pod ruinami grzebiąc pacjentów szpitala. Ich szczątki do dziś spoczywają pod świątynią. Pod gruzami znalazła się też figura Chrystusa z krzyża z katedry.

W podziemiach kościoła Dominikanów figurę Chrystusa z kaplicy Baryczków położono wśród rannych obok trumny z relikwiami św. Andrzeja Boboli, przed wojną w 1939 r., po długiej tułaczce, sprowadzonej z Rzymu do Warszawy. W uroczystej procesji 19 sierpnia 1938 r. relikwie św. Andrzeja, patrona Warszawy, umieszczono w kościele Jezuitów przy ulicy Rakowieckiej. We wrześniu 1939 r., dla bezpieczeństwa, trumnę z relikwiami przetransportowano do klasztoru jezuitów przy ulicy Świętojańskiej, a w czasie Powstania Warszawskiego właśnie do dominikanów na Freta.

K. Traczyński

Tablica informacyjna przy wejściu do kaplicy





Wnętrze Bazyliki Archikatedralnej w Warszawie p.w. św. Jana Chrzciciela, widok na kaplicę baryczkowską

W styczniu 1945 r. jezuici zwrócili się do władz miasta o zgodę na wydobywanie trumny z ruin kościoła. Zgodę na ekshumację wydał pismem z 7 lutego 1945 r., napisanym po rosyjsku, komendant miasta. Zakonnicy, wydobywając trumnę, wyjęli także figurę Chrystusa i przenieśli ją do kościoła seminaryjnego przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie umieszczono ją w bocznej kaplicy w prawej nawie (wcześniej znajdował się tam obraz Matki Bożej Dobrej Śmierci, który spłonął w czasie sierpniowych walk).

Po upadku Powstania Warszawskiego uratowany został także krzyż – przetrwał powstanie, tak jak kaplica Baryczkowska. Na mocy zapisu w akcie kapitulacyjnym mówiącym, że przedmioty sztuki sakralnej mogą być wywożone z Warszawy, krzyż, załadowany na furmankę, wyjechał z miasta do Milanówka, gdzie w czasie wojny siedzibę miała Kuria Metropolitalna Warszawska (tam było też ukryte serce Chopina). Co prawda z Warszawy nie można było wywozić niczego cennego, a Krzyż Baryczkowski był obity srebrną blachą, jednak po przekupieniu właściwych osób opuścił miasto – opowiedziała o tym na spotkaniu w Muzeum Archikatedry Warszawskiej Barbara Piotrowska-Gancarczyk.

W Niedzielę Palmową 1 marca 1948 r. w procesji z udziałem tłumów warszawiaków i przyjezdnych, a także powstańczej dzielnej sanitariuszki, cudownie ocalały Krzyż Baryczkowski z figurą Chrystusa przeniesiono do będącej w trakcie odbudowy katedry.

Rzeźba Chrystusa z Krzyża Baryczkowskiego, wykonana z drewna lipowego, powstała prawdopodobnie na początku XVI w. w Norymberdze, skupiającej w tym okresie wielu wybitnych artystów. Działał tam między

innymi Wit Stwosz. Ekspresja twarzy Chrystusa, naznaczonej niezwykle cierpieniem, zarazem wyrażającej spokój i wyzwolenie zmarłego na krzyżu Zbawiciela, świadczy o wysokiej klasie artystycznej nieznanego twórcy.

To niezwykle dzieło przybyło do Warszawy w 1525 r., przywiezione przez rajcę miejskiego Jerzego Baryczkę i zostało umieszczone w warszawskiej katedrze. Przez pięć wieków kaplica Baryczków i Cudowny Krucyfik były otoczone kultem. Modlili się tu mieszczanie, chłopci, szlachta, kapłani, biskupi, flisacy i królowie – Zygmunt III Waza, Stefan Batory, Stanisław August Poniatowski, dwóch papieży – Jan Paweł II w 1979 r. podczas pierwszej pielgrzymki do Polski i Benedykt XVI w 2006 r.

W 1919 r. przy krucyfiksie święcenia biskupie z rąk kardynała Aleksandra Kakowskiego, metropolity warszawskiego, otrzymał nuncjusz apostolski Achille Ratti, który w tym samym roku został papieżem i przyjął imię Piusa XI.

Krzyż Baryczkowski i figura Matki Boskiej Kamionkowskiej w praskiej kaplicy Matki Boskiej Loretańskiej, to najstarsze rzeźby zachowane na Mazowszu.

Uroczysta inauguracja obchodów 500. rocznicy sprowadzenia Krzyża Baryczków do Warszawy odbyła się 12 marca 2025 r. podczas mszy św. w archikatedrze. Każdego 14 dnia miesiąca do grudnia br. w katedrze sprawowana jest nowenna oraz wygłaszana katecheza poświęcone Krzyżowi.

Katechezę wygłosili m.in. ksiądz prof. Waldemar Chrostowski i bp Michał Janocha. Kulminacja obchodów odbyła się 14 września. ✠

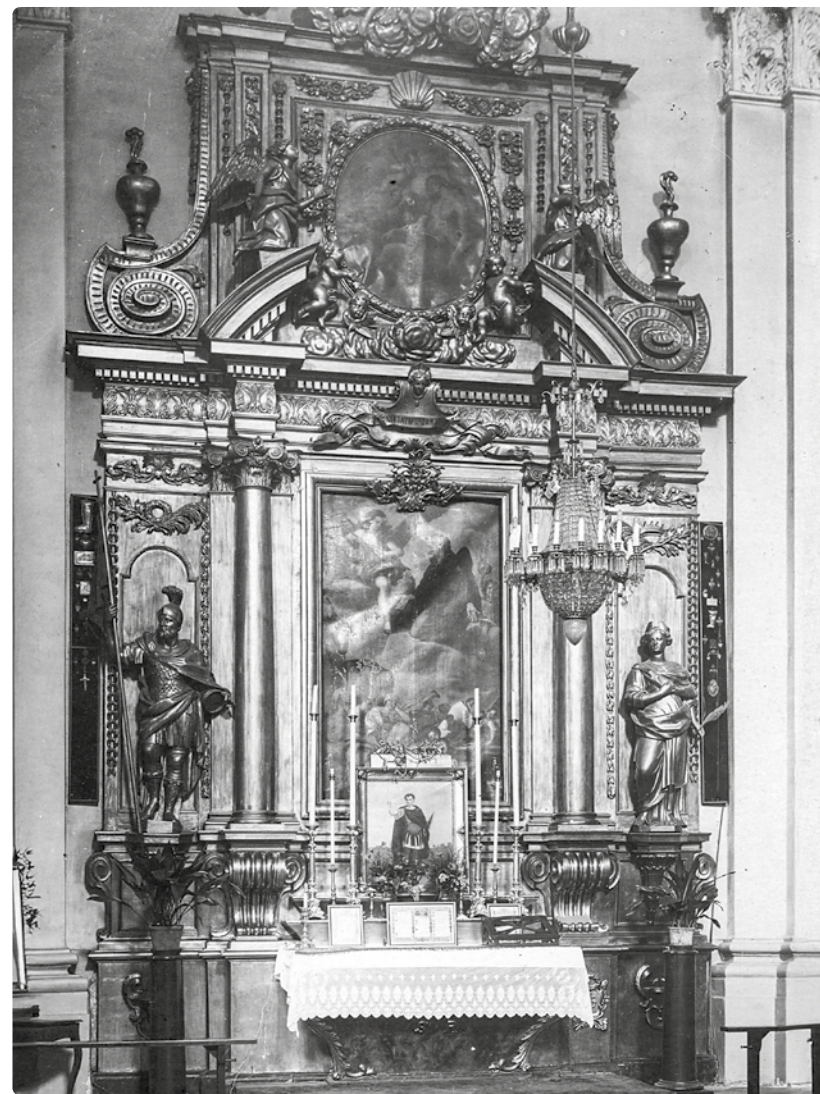
Jezu z warszawskiej katedry
Roku Nadziei, nigdy się nie kończący
Boże bezbronny i Wszechmogący
w powstaniu ukrywany i w swych
ranach nas ukrywający
ratowany i ratujący
śmiercią śmierć zwyciężający
Jezu pokryty ranami
zmiłuj się nad nami.

Modlitwa biskupa Michała Janochy

K. Traczyński

Pandemiczne wotum

Finał rekonstrukcji bocznego ołtarza św. św. Rocha, Sebastiana i Rozalii w kościele Świętego Krzyża

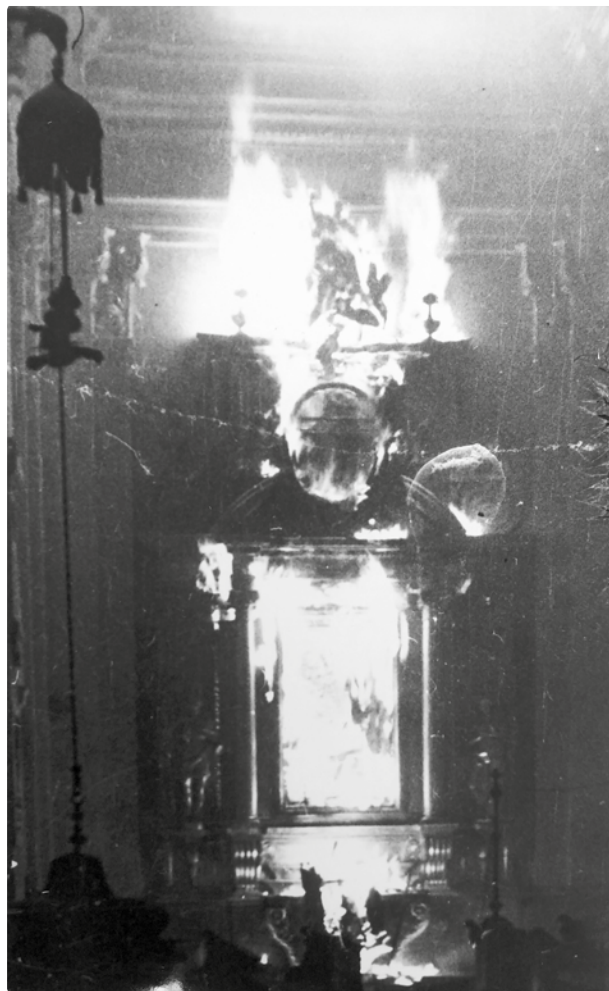


Kościół parafialny misjonarzy Krzyża Świętego, boczny ołtarz św. św. Rocha, Sebastiana i Rozalii, fotografia archiwalna sprzed 1929 r. / domena publiczna

Michał Wardzyński

Turystów i postronnych obserwatorów wędrujących po zabytkowych kościołach historycznego centrum Warszawy uderza surowość pustych, niemal pozbawionych wystroju większości z nich. Z wyjątkiem ocalałych po Powstaniu Warszawskim kościołów klasztornych przy wschodniej, kontrolowanej wtedy przez Niemców pierzei Krakowskiego Przedmieścia – Bernardynów św. Anny, Karmelitanek i Karmelitów Bosych oraz Wizytek – wszystkie pozostałe poniosły ogromne straty lub zniknęły z panoramy miasta.

Z perspektywy ponad 70 lat trudno uznać większość powojennych aranżacji za udane. W kręgach architektów i konserwatorów Biura Odbudowy Stolicy i Prymasowskiej Rady Kościołów Warszawy dominowały wizje purystycznych projektów modernizmu z akcentami relikwów oryginalnych obiektów małej architektury i rzeźby, postraktowanych jako „świadkowie historii” (archikatedra oraz kościoły: Augustianów, Dominikanów, Sakramentek i Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny na Nowym Mieście, a także Bonifratrów). Znacznie rzadziej podejmowano próby rekonstrukcji ➔



Kościół parafialny misjonarzy Krzyża Świętego, widok płonącego bocznego ołtarza św. św. Rocha, Sebastiana i Rozalii, fotografia archiwalna z 6 września 1944 r., zbiory Archiwum Akt Nowych / NAC

wyposażenia przyniosły bombardowania lotnicze w połowie września 1939 r., zaś katastrofą zakończyły się toczone w pierwszych dniach września 1944 r. walki w jego wnętrzu. Na początku niszczycielski pożar objął obie łóże kolatorskie po bokach prezbiterium (1757–1759) i sąsiednią kaplicę transeptową z ołtarzem Najświętszego Sakramentu / Trójcy Świętej (1720–1721). Runął wtedy snycerski ołtarz główny (1698–1699), uszkadzając dębowe stalle kapłańskie i seminaryjne (do 1705). Feralny okazał się czwartek, 6 września, kiedy z powodu eksplozji sterowanych przewodowo przez Niemców dwóch pojazdów – min samobieżnych typu Goliat – zawaliły się wieża północna i przyległa kaplica bracka św. św. Rocha, Sebastiana i Rozalii, a pozostałe nastawy zostały poważnie uszkodzone. Destrukcji uległa też część sklepień dolnego kościoła, wskutek czego osunęły się posadzki na głównym poziomie. Brak należytej opieki w zimie 1944/1945 r. spotęgował skalę zniszczeń. Mimo że zakonnicy przystąpili do porządkowania ruin i do remontu gmachu już w lecie 1945 r., kontynuując takie działania aż do 1969 r., części wyposażenia nie odtworzono.

Aż do lat 2004–2011 czekać musiała monumentalna nastawa boczna Najświętszego Sakramentu / Trójcy Świętej. Została zrekonstruowana z białomarmurową mensą, czarnomarmurowymi schodami i dwoma płótnami kultowymi pod nadzorem stołecznych służb konserwatorskich z funduszy parafii, miejscowej Fundacji „Sursum Corda”, licznych dotacji, wreszcie z wielu darowizn krajowych. W ramach tych samych subsydiów w latach 2010–2011 przeprowadzono kompleksowy remont wnętrza, w którego trakcie udało się też odtworzyć brakujące dotąd dwa dębowe balkony łóż lokatorskich (bez rokokowej ornamentyki oraz grupy obłoków z figurami aniołków z arma Christi) oraz elementy czarnomarmurowych nagrobków fundatorów: biskupa poznańskiego, misjonarza Bartłomieja Michała Tarły (zm. 1715, wyk. 1716) i prymasa Rzeczypospolitej Michała Stefana Radziejowskiego (zm. 1705, wyk. 1719–1721), a także odnowić stalle, konfesyjonały i ławki kościelne. Co więcej, w tej fazie udało się jeszcze zamówić trzy wielkoformatowe obrazy sztalugowe do nastaw bocznych św. św. Felicissimy i Genowefy oraz św. św. Rocha, Sebastiana i Rozalii. W 2022 r. kompleksowemu odnowieniu poddano oryginalny barokowy ołtarz boczny Michała Archanioła i Aniołów Stróżów (ok. 1705). Z kolei omawiana w niniejszym artykule nastawa bracka św. Rocha, której stolarska struktura z najważniejszymi detalami ornamentalnymi została odtworzona jako ostatnia

dopiero w latach 1982–1983 przez specjalistów z Przedsiębiorstwa Państwowego Pracowni Konserwacji Zabytków (PP PKZ), doczekała się pełnej rekonstrukcji dopiero w 2023 r. Warto wspomnieć, że jesienią 2024 r. rozpoczęto prace konserwatorskie przy zaprojektowanej przez tessyńskiego architekta Carla Antonia Baya parze późnobarokowych nastaw bocznych św. Józefa i św. Wincentego à Paulo (1723–1724 i ok. 1730), które mają objąć m.in. rekonstrukcję zaginionych po 1944 r. figurek anielskich, partii glorii oraz obrazów kultowych. Równolegle trwały prace inwentaryzacyjne przy liczącym kilkaset obiektów zbiorze szat i tekstylnych paramentów liturgicznych. Bilans ostatnich lat w zakresie konserwacji i rekonstrukcji zabytków w kościele Świętokrzyskim prezentuje się zatem imponująco.

Bractwo św. Rocha, mające zajmować się organizacją opieki charytatywnej wśród najuboższych i najciężej chorych, powstało najprawdopodobniej już w 1626 r., po wielkiej epidemii dżumy. Ukonstytuowało się przy parafii Świętego Krzyża dopiero w 1688 r., dzięki współpracy społeczności Warszawy z władzami domu zakonnego misjonarzy. Należy zaznaczyć, iż z tą konfraternią i miejscem wiąże się kolejno powstanie sławnego nabożeństwa pasyjnego Gorzkie żale (1707, autor ks. Wawrzyniec S. Benick CM) i założenie szpitala św. Rocha przy Krakowskim Przedmieściu (1707, 1710–1944, ob. kompleks Małego Dziedzińca Uniwersytetu Warszawskiego). Wedle zapisów z ksiąg bractwa i innych relacji z epoki wiadomo, że początkowo istniał w omawianej kaplicy najprostszy w formie ołtarz z murowaną mensą i obrazem patrona. Już w 1703 r. starszyzna podjęła uchwałę o gromadzeniu środków na budowę nowej nastawy, którą wzniesiono dwa lata później kosztem 1050 złp. Autorem projektu był najprawdopodobniej sławny stołeczny architekt Tylman van Gameren z Utrechtu (1632–1706), zatrudniony tutaj wcześniej przy kreacji planów najważniejszych ołtarzy. Wśród inspiracji dla nich wszystkich można wskazać barokowo-klasycyzujące ryciny paryżanina Jeana Le Pautre’a II z lat 50.–70. XVII w. Barokową, klasycyzującą strukturę, flamizujące rzeźby i dojrzałobarokowe ornamenty wykonał snycerz królewski Franciszek Gruszewicz (notowany 1703–1734), który wzorował się m.in. na dziełach figuralnych antwerpskiej pracowni Artusa Quellinusa I w ratuszu amsterdamskim

W OSTATNIEJ, KLUCZOWEJ FAZIE ODBUDOWY OŁTARZA Najświętszego Sakramentu i Trójcy Świętej (2010–2011), za przełożenia ks. prob. Marka Białkowskiego CM, projektem kompleksowego remontu wnętrza i elewacji bocznych świątyni kierował Kazimierz Sztarbałto, a jego realizację powierzono toruńskiej firmie Restauro Małgorzaty Dobrzyńskiej i Sławomira Musielów. W pracach przy samym ołtarzu Najświętszego Sakramentu wzięli udział kolejno art. kons. Tomasz Olszewski, Zygfryd Gross i Mateusz Makowiecki (konstrukcja i tablatura, ornamenty oraz rzeźby) oraz Robert Stpiczyński Rigamonti (obrazy sztalugowe). Prace przy obu marmurowych nagrobkach infułatów-fundatorów rozdzieliły między sobą pracownice akademickie prof. Marii Lubryczyńskiej (ASP Warszawa) i prof. Piotra Niemcewicza (WSP UMK w Toruniu); zniszczoną w 1944 r. tablicę inskrypcyjną w pomniku bpa Tarły wykonał z „czarnego marmuru” Grzegorz Cekiera z Dębnika. W 2022 r. odnowienia ołtarza Michała Archanioła i Aniołów Stróżów podjął się zespół dr art. kons. Elżbiety Pileckiej-Pietrusińskiej z Muzeum Narodowego w Warszawie. W prowadzonych obecnie pracach przy parze ołtarzy bocznych św. św. Wincentego à Paulo i Józefa biorą udział zespół dr Elżbiety Pileckiej-Pietrusińskiej, Pracownia Rzeźby Bieniewo Pawła Pietrusińskiego oraz art. kons. mal. Tadeusz Molga i Andrzej Lasek. Stolarska struktura nastawy brackiej św. św. Rocha, Sebastiana i Rozalii z najważniejszymi detalami ornamentalnymi została odtworzona w latach 1982–1983 przez specjalistów z Przedsiębiorstwa Państwowego Pracowni Konserwacji Zabytków (PP PKZ): rzeźbiarzy Władysława Dziadkiewicza i Tomasza Olszewskiego oraz zespół art. kons. Bożeny Wankrac i Stanisława Bednarskiego; górny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej wykonał art. mal. Jan Molga. Za koordynację projektu dokończenia w 2023 r. rekonstrukcji ołtarza brackiego św. św. Rocha, Sebastiana i Rozalii był odpowiedzialny art. kons. Andrzej Karolczak (firma Tektonika z Warszawy), rekonstrukcją elementów snycerskich zajął się art. kons. Paweł Pietrusiński ze współpracownikami, restaurację powłok pozłotniczych wykonała art. kons. Dorota Więckiewicz z zespołem, natomiast autorem obrazu Męczeństwo św. Sebastiana jest art. mal. kons. Andrzej Lasek. Opiekę merytoryczną z dziedziny historii sztuki zapewnili we wszystkich wymienionych pracach kolejno: prof. Maria Lubryczyńska i prof. Mariusz Karpowicz, dr hab. Jakub Sito prof. IS PAN, prof. dr hab. Zbigniew Michalczyk, Ireneusz Chmurzyński, Katarzyna Jarocińska (Wardzyńska) i piszący te słowa oraz wiele innych, życzliwych tym przedsięwzięciom osób.



Kościół parafialny misjonarzy Krzyża Świętego, boczny ołtarz św. św. Rocha, Sebastiana i Rozalii, stan po rekonstrukcji powojennej z lat 1982-1983 i z nowym obrazem głównym patrona, wyk. art. mal. kons. Oskar Rabenda, 2011 r.

(1648–1661) oraz rycinami reprodukującymi czołowe dzieła rzymskiego malarstwa sakralnego 2. poł. XVII w. Autorem dwóch obrazów patronów: Apoteoza św. Rocha i Męczeństwo św. Sebastiana został natomiast wykształcony w Rzymie utalentowany malarz nadworny Jana III Sobieskiego Jerzy Szymonowicz Eleuter Siemiginowski (1660–1711), uczeń sławnego Carla Maratty (1625–1713). W 1709 r. pozłotę nastawy wykonał za 1125 złp malarz z Księstwa Biskupiego Warmii Thomas Piper. Remontowano ją w trakcie kompleksowych restauracji kościoła w latach 1822, 1845 i 1869, zapewne także przed 1929 r.

Trudne doświadczenia pandemii covidu skłoniły pod koniec 2022 r. ks. prob. Bartosza Pikula CM do zwrócenia się do grupy prywatnych donatorów z prośbą o dokonanie rekonstrukcji omawianej nastawy. Z programu Polski Ład uzyskano środki finansowe pozwalające w ciągu 2023 r. odtworzyć wszystkie figury, brakującą część szaty ornamentalnej, odrestaurować i wykonać ich pozłotę oraz nowy obraz górny św. Sebastiana.

Z uwagi na ultrakrótki czas realizacji zadania (sierpień–grudzień 2023) zdecydowano się pozostawić dotychczasową strukturę z lat 80. XX w., jedynie poprawiając wyselekcjonowane detale. Kluczowe znaczenie miało szybkie przygotowanie wytycznych do programu prac konserwatorsko-rekonstrukcyjnych, zebranie ikonografii obiektu oraz rozpoznanie dorobku wymienionych twórców w celu identyfikacji ich dzieł bliźniaczych lub analogicznych – miały posłużyć jako wzorce formalno-stylistyczne w rekonstrukcji ołtarza warszawskiego. W przypadku słabo jeszcze rozpoznanego dorobku Franciszka Gruszewicza wybrano komisyjnie naprzeciwległą nastawę boczną Michała Archanioła oraz przypisywany mu ołtarz główny w kościele parafialnym w Przesmykach na Podlasiu drohickim, przeniesiony tam najprawdopodobniej z administrowanej przez misjonarzy fary w Siemiatyczach. Zachowane w Warszawie i Przesmykach figury św. Barbary, aniołków, grupy obłoków i liczne detale ornamentalne po zeskanowaniu 3D i wyskalowaniu posłużyły do stworzenia modeli elementów odtwarzanej nastawy, wygenerowanych następnie cyfrowo w atelier projektowym firmy Granity-Skwara w Słopsku koło Wyszki nad Bugiem. Technologia taką, rezerwowaną dotąd do wyrobów kamieniarsko-rzeźbiarskich, zastosowano tutaj po raz pierwszy w odniesieniu do snycerstwa. Za przygotowanie na podstawie

zdjęć i nowożytnych analogii włoskich i flamandzkich *modelli* gipsowych figur św. Floriana i grupy Apoteozy św. Rozalii do zwieńczenia był odpowiedzialny Paweł Pietrusiński. Po akceptacji *modelli* cyfrowych wstępną obróbkę bloczków z klejonki lipowej wykonano za pomocą obrabiarek 5D i 3D, najważniejsze elementy (twarze, dłonie i stopy) i detale dorzeźbiono ręcznie, przekazując następnie wszystkie do zagruntowania i pozłocenia z użyciem złota płatkowego, malarskiego i szlagmetal. Równolegle trwały prace nad rekonstrukcją obrazu górnego, do którego dobrano bogaty zestaw analogii z twórczości samego Siemiginowskiego, jego

M. Wardzyński

Kościół parafialny misjonarzy Krzyża Świętego, zrekonstruowany boczny ołtarz św. św. Rocha, Sebastiana i Rozalii, 2024 r.

rzymskiego nauczyciela Carla Maratty oraz inspirującego się tymi samymi wzorami barokowego malarstwa Wiecznego Miasta innego wybitnego słuchacza Accademia di San Luca – Szymona Czechowicza (1689–1775). Wskutek konieczności wprowadzenia drobnych poprawek niektórych elementów i zabezpieczenia warstw lakierniczych ukończony ołtarz odsłonięto uroczystie dla wiernych w końcu stycznia 2024 r. W grudniu 2024 r. antependium mensy ozdobiło jeszcze doprojektowanym specjalnie w stylistyce flamizującego baroku wiązanym monogramem SR z dwiema grupami atrybutów związanych ze świętym patronem konfraterni oraz muszlami pielgrzymimi z draperiami.

Omówiony projekt dokonania rekonstrukcji zniszczonego w 1944 r. boczno-oltarza brackiego w kościele Świętego Krzyża jest drugim po zrealizowanej w latach 2004–2011 analogicznej akcji odbudowy nastawy Najświętszego Sakramentu / Trójcy Świętej tak ambitnym przedsięwzięciem w stolicy. Zestawienie pogłębionej kwerendy archiwalnej i ikonograficznej oraz badań morfologicznych z pionierskimi technikami projektowania modeli cyfrowych oraz wstępnego rzeźbienia figur i ornamentów z użyciem obrabiarek 5D i 3D przyniosło nadspodziewanie dobre efekty i może posłużyć innym ekipom konserwatorskim za kanwę w podobnych przedsięwzięciach. Po 80 latach przywrócono kompletny wystrój ołtarzowy jednego z najpiękniejszych kościołów w stolicy i na historycznym Mazowszu. 🍷

LITERATURA:

S. Kalla, *Parafia i kościół św. Krzyża w Warszawie w r. 1825*, „Roczniki Obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego à Paulo”, 36: 1933, nr 4, s. 383; M. Karpowicz, *Wartości artystyczne kościoła św. Krzyża*, w: *Księga Pamiątkowa. Kościół świętego Krzyża w Warszawie w trzechsetną rocznicę konsekracji 1696-1996*, red. T. Chachulski, Warszawa, 1996, s. 127-158; *Serce miasta. Kościół Świętego Krzyża w Warszawie*, red. K. Sztarbałło i M. Wardzyński, Warszawa 2010 (wersja angielska pt. *Heart of the City. Church of the Holy Cross in Warsaw*, wyd. 2011); *Sztuka nowożytna na Mazowszu. Zarys problematyki*, w: *Dzieje Mazowsza*, t. 2: Lata 1527-1795, red. Jan Tyszkiewicz, Pułtusk 2015, s. 629-731; M. Symonowicz, *Opis kościoła parafialnego S. Krzyża XX Misjonarzy*, „Rozmaitości Warszawskie. Dodatek do Gazety Korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego”, 1: 1825, nr 3, s. 18; M. Wardzyński, *Szpital św. Rocha przy Krakowskim Przedmieściu i jego architektoniczne przemiany w XVIII-XX wieku*, „Almanach Warszawy”, 12: 2018, s. 189-216; M. Wardzyński, *Wilhelm Bartsch i Franciszek Gruszewicz – dwaj zapomniani rzeźbiarze nadworni Jana III Sobieskiego w Warszawie*, Warszawa 2021, https://www.wilanow-palac.pl/wilhelm_bartsch_i_franiszek_gruszewicz_dwaj_zapomniani_rzezbierze_nadworni_jana_iii_sobieskiego_w_warszawie.html



Sądy na Lesznie

Na granicy światów

Anna Kołodziejczyk

Uroczyste otwarcie budynku sądów grodzkich miało miejsce niespełna trzy miesiące przed wybuchem II wojny światowej. Budzący zachwyt nie tylko w kraju za sprawą nowoczesnej, modernistycznej bryły obiekt przetrwał w dobrym stanie sierpniową pożogę roku 1944. W latach okupacji stał na granicy światów – aryjskiego i żydowskiego, będąc dla wielu bramą ucieczki od śmierci w getcie

Gmach sądu pod adresem Leszno 53/55 – tylne wyjście znajdowało się od strony ul. Ogrodowej 14 – wzniesiono w latach 1935–1939. Inwestor, którym był Fundusz Kwaterunku Wojskowego, powierzył zaprojektowanie i realizację monumentalnego, modernistycznego budynku Bohdanowi Pniewskiemu.

Był to największy budynek sądu w ówczesnej Europie. Sama długość korytarzy miała przekraczać 15 km. Zadbano o najdrobniejsze detale wystroju wewnątrz i elewacji. Hol pod świetlikiem ozdobiła metaloplastyka (głównie okazałe żyrandole) w stylu art déco autorstwa

Henryka Grunwalda. Charakterystyczne brązowe godło wykonała Mennica Państwowa. Od strony ulicy Ogrodowej wjeżdżający na dziedziniec podsądni widzieli rzeźbę Mieczysława Lubelskiego przedstawiającą miecz z rękojeścią w kształcie głowy Temidy przebijającą monstrum, ozdobiony także wagą i napisem „Sprawiedliwość zwycięży”.

Uwagę przykuwały efektowne schody, nawiązujące do innych projektów tego samego architekta. Najważniejsze elementy umeblowania projektował osobiście Pniewski. Co znamienne – całość została wykonana przez Dział Pracy Więźniów.

Frontową elewację, wykonaną z licowanego piaskowca, ozdabia wykuty napis: „Sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej”. Inskrypcję, zawierającą parafrazę łacińskiej sentencji sformułowaną przez Andrzeja Frycza Modrzewskiego, zaprojektował początkujący architekt Stanisław Jankowski „Agaton”, późniejszy cichociemny. Wyboru cytatu dokonano w porozumieniu z ówczesnym szefem resortu sprawiedliwości. Elewację ozdobiono także rzeźbami liktorskimi, a przy wejściu, pod godłem, zamieszczono napis „SĄDY”. Oba te elementy przetrwały jedynie na zdjęciach.

Oficjalne otwarcie zgromadziło wielu oficjeli. Wstęgę przecinał minister sprawiedliwości Witold Grabowski. Wśród fetujących dygnitarzy nie zabrakło wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. 30 czerwca 1939 r. z wielką pompą oddano gmach do użytku i ulokowano w nim m.in. przeniesione z Pasażu Simonsa Sąd Apelacyjny i Sąd Najwyższy.

Polskie sądy funkcjonowały w tym gmachu nieprzerwanie w pierwszych tygodniach wojny. Po krótkiej przerwie spowodowanej nalotami niemieckimi otworzyło je na nowo – ale już pod okupacyjną kuratelą. W części budynku najeżdźcy urządzili szpital. Wyroki w sprawach niezastrzeżonych do jurysdykcji niemieckiej orzekali polscy sędziowie, jednak ich decyzje podlegały zatwierdzeniu przez Niemców.

Dostęp do instytucji nadal mieli także Żydzi. Kiedy w roku 1940 Niemcy utworzyli getto, gmach Sądów na Lesznie znalazł się na granicy dzielnicy aryjskiej i żydowskiej. W tym czasie w budynku mieściła się także administracja skarbowa. Dlatego, choć z pewnymi utrudnieniami, stosunkowo łatwy dostęp do niego mieli



Wejście do sądów w czasie okupacji

mieszkańcy obu części miasta. Otwierało to wyjątkowe możliwości transferu ludzi, żywności, leków i broni między obiema strefami.

Od strony ulicy Ogrodowej, po obu stronach wejścia, wybudowano mury biegnące przez chodnik i jezdnię, ciągnące się wzdłuż ówczesnej ulicy Białej aż do Chłodnej. Z tej strony wchodził aryjszczyzna. Drzwi od strony Leszna przeznaczone były dla mieszkańców getta. Wejścia zabezpieczono posterunkami żandarmerii. Z czasem, by wejść do gmachu, konieczne było okazanie wezwania na rozprawę lub do dokonania opłat podatkowych. Generowało to długie kolejki i niejeden faktyczny interesant spóźnił się na swoją rozprawę. Te swoiste posterunki graniczne często były świadkami wręczania łapówek strażnikom, którzy przymykali oko na brak potrzebnych dokumentów. Wejście kosztowało według różnych przekazów 5–10 złotych (oficjalna cena chleba w tym czasie wynosiła ok. 50 groszy, a czarnorynkowa ok. 10 razy więcej).

Jak informowała wydawana w tym czasie w Warszawie „Gazeta Żydowska”: „przy wchodzeniu do Sądów nie wolno mieć przy sobie żadnych paczek, a teczek mogą służyć do przechowywania koniecznych dokumentów”. Zdarzały się też rewizje i przeszukania, podczas których zabierano obecnym pieniądze i kosztowności w zamian za pokwitowania, które w praktyce nie miały żadnego faktycznego znaczenia i były jedynie listkiem figowym dokonywanych jawnie grabieży.

Mimo wszystkich trudności spotkania na sądowych korytarzach i handel trwały nieprzerwanie aż do likwidacji getta, a niejednokrotnie pośredniczyli w nich żołnierze niemieccy.

Sądy na Lesznie, lata 60. XX w.





Sądy na Lesznie, hol główny (od góry), korytarze (z prawej)

Budynek sądów nie wyszedł bez szwanku z nalotów lotnictwa radzieckiego, które na terenie Polski rozpoczęły się z chwilą wybuchu w 1941 r. wojny między III Rzeszą a ZSRR. Teoretycznie celami bomb miały być obiekty wojskowe, w praktyce zniszczono wiele budynków cywilnych, a liczba zabitych cywilów znacznie przewyższała straty po stronie żołnierzy. To w tym czasie powstała słynna „zakazana piosenka” ze słowami: *Siekiera, motyka, bimbru szklanka, w nocy nalot, w dzień łapanka*. Niemiecka policja i SS celowały w prowadzonych w biały dzień łapanek, natomiast nocne naloty były dziełem lotnictwa Armii Czerwonej. Warszawa ucierpiała w nich szczególnie na przełomie sierpnia i września 1942 r., kiedy bomby spadły także na Leszno. Informacje o radzieckich nalotach na Warszawę i inne polskie miasta były przemilczane w czasach PRL-u.

Przez całą okupację monumentalny budynek Sądów na Lesznie nie tylko był jednym z kluczowych punktów zaopatrzenia getta (choć w minimalnym zakresie) w niezbędne towary, lecz też dawał szansę na spotkania rozdzielonym rodzinom i przyjaciółom.

Zygmunt Millet, żydowski prawnik, w swej relacji dla podziemnego archiwum getta warszawskiego pisał o tym, jak w praktyce toczyło się życie na sądowych korytarzach: „Śmiało można powiedzieć, że właściwie interesantów sądowych czy do urzędów sądowych było zdecydowanie mniej niż tych, którzy przychodzili tu



dla spotkań towarzyskich, interesownych, handlowych, szmuglowych, a nawet – że tak powiem – miłosnych. Sam spotykałem niejednokrotnie na czwartym piętrze w sądzie parę młodą. On, chłopiec może dwudziesto-dwuletni, blondyn, z niebieskimi oczyma. Ona czarna, smukła, o typowej twarzy Judyty. Piękni oboje tym swoim dziwnym kochaniem, tą radością, która biła z ich młodości, i dziwnym smutkiem, podkreślającym ich tragiczne położenie. Bywały dni, że byłem codziennie w sądzie, zawsze ich spotykałem w tym samym miejscu. Zawsze ich twarze wyrażały rozpaczliwe pytanie CO DALEJ BĘDZIE?”.

Domena publiczna



▲ Biuro Obsługi Interesantów

Temida, rzeźba na dziedzińcu wewnętrznym ▶



Nie sposób przecenić roli tego miejsca w ratowaniu życia skazanych na zagładę mieszkańców getta. Dawało szansę przedostania się na aryjską stronę tym, którzy mogli znaleźć pracę, handlować i zdobywać pomoc dla bliskich pozostających za murami. Dlatego wiele osób, posługując się fałszywymi dokumentami lub bez nich, wielokrotnie przekraczało tę drogą granicę między dwoma światami.

Był wśród nich m.in. młody Henryk Braun. Przez długi czas przemieszczał się między obiema strefami na podstawie spreparowanych dokumentów. Otrzymał je dzięki protekcji znajomego związanego z Armią Krajową. Były wystawione na fikcyjne nazwisko. W trakcie jednej z wypraw stracił podrobione dokumenty. Aby przeżyć, szukał innych możliwości przechodzenia za mur. Niespodziewanie odkrył budynek sądów i korzystał z tej drogi wiele razy. Jak wspominał w swoich relacjach dla Shoa Foundations, nigdy nie napotkał trudności. W końcu, nie widząc szans na uratowanie się inaczej niż przez ucieczkę z dzielnicy żydowskiej, poinformował rodzinę o swoim zamiarze: „Powiedziałem rodzicom, że rozglądam się za pracą i miejscem życia na zewnątrz, bo nie chcę tu umierać, więc mamy mało czasu. Nigdy nie chodzili ze mną, kiedy przechodziłem przez Sądy, ale tym razem poszli, razem z moją małą siostrą Romą. Domyślali się, że mnie więcej nie zobaczą. Wyszedłem z budynku na aryjską stronę. Oni stali na chodniku i patrzyli. Ja nie mogłem się nawet odwrócić, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Jednak w końcu się obejrzałem i zobaczyłem ich ostatni raz. Pamiętam ich bardzo biedne, smutne twarze. Pomachałem im...”.

Także tą drogą wyprowadzała na aryjską stronę żydowskie dzieci Irena Sendlerowa. Zwłaszcza dla młodszych z nich, które nie mogły dostać się do brygad pracy i wyjść z nimi za mury, było to jedyne rozwiązanie. „Drogą konspiracyjną umożliwiano nam kontakt z dwoma woźnymi w sądzie. Ci zacni i nad wyraz odważni ludzie na umówiony znak otwierali nam drzwi po stronie getta. Tędy się z dzieckiem wchodziło. Wychodziło się pod opieką tego zaufanego woźnego na stronę Polską” – wspominała Sendlerowa.

W porównaniu z resztą zabudowy tej części miasta okazały gmach Sądów na Lesznie uległ stosunkowo niewielkim zniszczeniom w trakcie Powstania Warszawskiego i góruje nad okolicą na zachowanych zdjęciach lotniczych z tamtych czasów. Wnętrze spłonęło, piętra V i VI runęły, ale już w 1949 r. budynek oddano ponownie do użytku. Rok później przeniesiono do niego z tymczasowej siedziby w Łodzi Sąd Najwyższy.

Także w latach 80. XX wieku, kiedy ulica Leszno była już od dawna przemianowana na Karola Świerczewskiego, obiekt stał się areną ważnych wydarzeń. To tu został zarejestrowany Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”.

Dekadę później, po przełomie 1989 r., gmach znowu „zmienił adres” i od tej pory stoi przy al. Solidarności 127. Ale wielu warszawiaków nadal nazywa przedwojenną budynek Sądami na Lesznie. 🍷

Anna Kołodziejczyk – dokumentalistka i reportażystka, podcasterka, dziennikarka kulturalna, tworząca w materii audio i tekstu. Specjalizuje się w tematyce historycznej. Jest także animatorką kultury i edukatorką architektoniczną

Historia jednego hotelu.

Przedwojenny Hotel Rzymski

Do nowszych należały hotele Bawarski na rogu Dobrej i Bednarskiej oraz Dziekanka na Krakowskim Przedmieściu. Po wybudowaniu Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej hotele organizowano bliżej dworca. W latach 1851-1853 wybudowano Hotel Wiedeński na rogu ulic Marszałkowskiej i Widok, w 1860 r. Victorię przy ulicy Jasnej oraz hotel Maringe, nazwany później Francuskim, przy placu Zielonym (obecnie Dąbrowskiego). W latach 1855-1859 wybudowano największy w Warszawie hotel – Europejski – według projektu Henryka Marconiego przy Krakowskim Przedmieściu.

Na posesji nr hip. 634a na rogu dzisiejszej ulicy Moliera i Trębackiej, gdzie obecnie znajduje się zaplecze Teatru Wielkiego, pierwotnie stał pałac zbudowany przez prymasa Antoniego Kazimierza Ostrowskiego. W 1784 r., na krótko przed swą śmiercią, Ostrowski sprzedał rezydencję księciu Augustowi Sułkowskiemu, dziedzicowi Rydzyny w Wielkopolsce. Hipoteka tej nieruchomości była obciążona na rzecz krewnych prymasa i kolegiaty warszawskiej, z którymi spadkobierca księcia, bratanek Antoni Sułkowski, musiał się procesować. Urządził w nim dom zajezdny i nazwał go od swoich posiadłości Rydzyńską. Odbýwały się tu bale dla mieszczan, a niekiedy także przedstawienia teatralne. Znajdowała się tu także księgarnia Posera, a w latach 1782-1786 odbywały się posiedzenia loży masonskiej Wielki Wschód Polski.

Wskutek przymusowego wywłaszczenia Antoniego Sułowskiego pałac kupił w 1828 r. Brygitta z Zabokrzyckich Ostrowska na rzecz rodziny, a potem na licytacji nabył go w 1834 r. Paweł Jaworski, sędzia pokoju powiatu warszawskiego I wydziału. Zapłacił za budynek 71 160 zł. Następnie pożyzył z funduszu miejskiego dla nowo budujących się sumę 197 500 zł i przebudował Rydzyńską na Hotel Rzymski. O kolejnych rozbudowach świadczą oszacowania tej nieruchomości umieszczone w księgach

Maria Brodzka-Bestry

W związku z rozbudową miasta, wzrostem liczby przyjezdnych, a potem budową kolei w Warszawie w latach 40. i 50. XIX w. zbudowano wiele nowych hoteli. W 1844 r. można się było doliczyć 18 hoteli i 28 domów zajezdnych, zlokalizowanych głównie w centrum, w pobliżu opery i Krakowskiego Przedmieścia

hipotecznych: z 1837 r. na 25 711 rb. 82 kop., z 1840 r. na 53 711 rb. 87 kop., z 1857 r. na 76 854 rb., wszystkie wykonane przez arch. Alfonsa Ferdynanda Kropiwnickiego, oraz z 1864 r. na 94 062 rb. 42 kop. zrobione przez Ludwika Jabłońskiego.

Trzypiętrowy hotel znajdował się na narożnej, czworokątnej posesji zabudowanej w podkowę. Najpierw w 1837 r. postawiono na dziedzińcu po lewej stronie Rydzyny trzypiętrową oficynę murowaną z piwnicami, pokrytą dachem cynkowym. Mieściła ona wozownię. Między nią a budynkiem frontowym znajdowały się kloaki. Dziedziniec był częściowo wybrukowany kamieniem polnym. Następnie odnowiono budynek Rydzyny od strony ul. Trębackiej 8, pokryty dachówką holenderką, a od ul. Nowosenatorskiej 1 (obecnie Moliera, przed wojną Focha) wzniesiono nowe skrzydło z dachem cynkowym.

Siedmioosiowa elewacja od Trębackiej miała po bokach wydane ryzality, oś środkowa była zwieńczona trójkątnym szczytem. Narożnik na styku ulic był ścięty. Dziewięcioosiowa elewacja od ulicy Nowosenatorskiej podzielona gzymsami na cztery kondygnacje. Całość urozmaicały balkony na kamiennych wspornikach z balustradami z lanego żelaza.

Opis przebudowy i ceremonii otwarcia hotelu znajduje się w *Kurjerze Warszawskim* z 1840 r., w którym podano nazwisko projektanta obiektu. Był nim Alfons Ferdynand Kropiwnicki. W notatce z 11 października można przeczytać: „Hotel de Rome na Rydzyńskim onegdaj w religijnym obrzędzie został pobłogosławiony przez JWX Kotowskiego Dziekana Metropolitalnego, wobec Dostojnych Osób, znakomitych Urzędników i Obywateli. Później właściciel zaprosił szanownych Gości na wspaniałą ucztę w pięknej Sali przeznaczonej na restaurację, którą p. August



Pocztówka z ok. 1908 r. z holem Hotelu Rzymskiego / Polona

utrzymywać będzie; jego kuchnia dostarczała wszelkie potrawy, a ta pierwsza próba świadczyła, że i następnie odwiedzający będą zadowoleni. U stołu biesiadowało 40 osób. Jeden z obecnych sąsiadów, uzupełniając życzenia szanownych gości, zaimprovizował śpiewkę, której początek przytaczamy:

Masz sąsiadzie, przyjacielu,
Izb czterdzieści w twym hotelu,
I czterdzieści przy tym stole,
w znakomitym osób kole,
Miej, życzymy najgoręcej
Co rok czterdzieści tysięcy”.

W 1857 r. koszt wynajęcia jednego pokoju wynosił od 45 kop. (3 zł) do 3 rb. (20 zł). W 1873 r. w obiekcie było 50 pokoi. W 1932 r. Rzymski należał do hoteli pierwszorzędnych i miał 80 pokoi, w cenie od 7 zł za noc.

Na podstawie wspomnianych oszacowań dysponujemy wiadomościami o wnętrzach hotelu. W budynkach frontowych były po dwie klatki schodowe: jedna o schodach wspartych na węgach i druga o schodach wpuszczonych w ścianę z barierkami żelaznymi. W piwnicach znajdowała się łazienka z dwiema wannami oraz pralnia. Na trzecim piętrze umieszczono rezerwuuar zimnej wody doprowadzanej ze studni w podwórzu. Większość lokali była przykryta sufitem, ale niewielkie pomieszczenia miały też sklepienia. W salonie na parterze i w apartamentach znajdowała się posadzka, a gdzie indziej zwykła podłoga z desek. Wnętrza wyposażono w piec z białych kafli z drzwiczkami lub kominki szafaste, zainstalowano dzwonki. Na pierwszym piętrze od



Reklama hotelu Rzymskiego w: W. Gomulicki, I. Szmiderberg, *Ilustrowany przewodnik po Warszawie* z 1880 r.



Portret zbiorowy 12 architektów Królestwa Polskiego, członków Rady Ogólnej Budowniczej przy Wydziale Przemysłu, Handlu i Kunsztów Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji w Warszawie, pierwszy z lewej Alfons Ferdynand Kropiwnicki, fot. zakład fotograficzny Ferdynand Kloch i Melecjusz Dutkiewicz, 1867 r., zbiory Muzeum Narodowe w Warszawie / Cyfrowe MNW

ulicy Nowosenatorskiej w holu umieszczono dwa wielkie lustra i zegar w ścianie.

Prace przy wykańczaniu trwały do 1857 r. W 1864 r. wzniesiono nowy murowany budynek przy oficynie i urządzono w hotelu oświetlenie gazowe. W 1873 r. za 150 tys. rb. kupili hotel Helena z Bleszyńskich i Seweryn Wiemanowie, po czym w 1879 r. sprzedali go za 195 tys. rb. Aleksandrowi Bocquetowi. Ten ostatni prowadził w nim restaurację, ciesząc się dużą popularnością. W 1905 r. obiekt przeszedł na własność braci Przeworskich. Wnętrze eleganckiego holu ze stiukami na suficie widoczne jest na pocztówce z ok. 1908 r. W 1928 r. przebudowano wnętrza hotelu, instalując centralne ogrzewanie i łazienki z ciepłą wodą. Tak go wówczas reklamowano: „Najmodniejszym lokalem stolicy jest obecnie restauracja Hotelu Rzymskiego Nowosenatorska 1, tel. 49-39. Wykwintne obiady z winem 4 zł. Pierwszorzędny zespół muzyczny. Występy artystyczne pierwszorzędnych sił zagranicznych. Wieczorem przygrywa jazzband o wszechświatowej sławie. Gabinety”.

W okresie międzywojennym znajdowała się tu pierwsza siedziba poselstwa ZSRR w Polsce. Niedaleko, przy Ogrodzie Saskim, stał nowoczesny czterokondygnacyjny i również dobrze wyposażony Hotel Brühlowski. We wrześniu 1939 r. Hotel Rzymski został zniszczony, a w sierpniu 1944 r. całkowicie spalony. ☹



Kolumnada Pałacu Saskiego z Grobem Nieznanego Żołnierza, wizualizacja WXCA Group

Nim powstanie pałac

STOLICA zwróciła się do spółki Pałac Saski z pytaniami o szanse i terminy realizacji największej inwestycji w Warszawie. Odpowiedzi udzielił nam jej rzecznik prasowy Sławomir Kuliński. Rozmawiała Ewa Kielak Ciemniowska.

Zwykle proces przygotowawczy inwestycji trwa dłużej niż sama budowa. Czasem ciągnie się latami. A dlaczego w przypadku Pałacu Saskiego trwa to tak długo? Odpowiednie przygotowanie każdej inwestycji budowlanej jest kluczem do sukcesu na etapie końcowym, czyli kiedy budynek wreszcie zostaje oddany do użytku i zaczyna żyć własnym życiem. Prawie tak samo jest w przypadku Pałacu Saskiego. Prawie, bo w tym miejscu potrzebne jest uzupełnienie: w ramach prowadzonej odbudowy oprócz Pałacu Saskiego powróci

również bogato zdobiony dekoracją rzeźbiarską Pałac Brühla wraz z modernistycznym pawilonem Becka, który swym rozmiarem przywodzi na myśl raczej rozległą rezydencję, a dodatkowo jeszcze trzy kamienice od strony ul. Królewskiej i jedna mniejsza kamienica-łącznik między Pałacem Saskim a kamienicą Malhomme'a.

Kształt architektoniczny tych budynków będzie zgodny z ich wyglądem z przedednia wybuchu II wojny światowej, czyli 31 sierpnia 1939 r. Z tego okresu nie

zachowała się pełna dokumentacja archiwalna. Potrzebny był ogrom pracy włożony w pozyskanie zdjęć, rysunków, planów czy nawet rachunków świadczących o najdrobniejszych zmianach w wyglądzie budynków. Jak wspominają architekci spółki Pałac Saski, na początku była czysta kartka papieru. Później godzinami kreślili kolejne linie odwzorowujące obrys budynków, ich elewacji, ale też terenu wokół i przebiegających pod nim instalacji. Dziś projekt ma już postać wysoce zaawansowanego modelu przestrzennego inwestycji, znanego również jako model GIS. Model jest wciąż rozwijany, posłużył już do przygotowania koncepcji architektonicznej, a niebawem zostanie wykorzystany przy opracowaniu ostatecznego projektu budowlanego przez architektów pracowni WXCA, zwycięzcy międzynarodowego konkursu architektoniczno-urbanistycznego. W międzyczasie toczą się oczywiście prace w terenie: najpierw ogrodziliśmy część terenu inwestycji i pod nadzorem saperskim i archeologicznym odsłoniłmy pozostałości murów pałaców i kamienic. Część z nich, wpisana do rejestru zabytków, zyskała zadaszenie chroniące i tak już mocno nadgryzione zębem czasu mury przed wpływem warunków atmosferycznych. Inna część to już obszar prowadzonych przez archeologów eksploracji w głąb ziemi.

Co przyniosły badania archeologiczne? Czy wnoszą coś nowego do naszej wiedzy o czasach saskich i późniejszych?

Badania archeologiczne realizowane przy tego typu historycznych inwestycjach są arcyważnym etapem, który pozwala lepiej zrozumieć dzieje miejsca, ale przede wszystkim jest dosłowną kopalnią wiedzy dla architektów, budowniczych i artystów. Każdy wydobyty z ziemi fragment murów czy np. stolarki okiennej może rzucić nowe światło na tworzony projekt

Model GIS zachodniej pierzei pl. Piłsudskiego, mat. Pałac Saski sp. z o.o.



Sławomir Kuliński, rzecznik prasowy Pałacu Saskiego sp. z o.o.

budowlany, a każdy odnaleziony element dekoracji na pewno przysłuży się studentom i profesorom polskich uczelni artystycznych, którzy będą odpowiedzialni za rekonstrukcję rzeźb.

Pierwszy etap prac archeologicznych objął obszar ponad 40 arów, na którym niegdyś znajdowały się oficyny i kordegardy wraz z łącznikami, a także XIX-wieczna kamienica na rogu ul. Fredry i Wierzbowej. Przed nami wciąż badania terenu pod głównym korpusem Pałacu Brühla. Jednak już dotychczas odkryliśmy blisko 10 tys. artefaktów. Część z nich to obiekty ze szkła i ceramiki, prawie tysiąc fragmentów kafli, fragmenty okładziny kamiennej pawilonu Becka oraz bonie z elewacji. Mimo że wiele z nich to obiekty pochodzące z czasów po przebudowie pałacu według projektu Bohdana Pniewskiego w latach 30. ubiegłego wieku, przeprowadzone prace pozwoliły skonfrontować przekaz historyczny dotyczący również wcześniejszych przebudów, począwszy od przekroju budynku na podstawie XVII-wiecznego projektu Tylmana z Gameren. Co ciekawe, na terenie oficyny północnej Pałacu Brühla, czyli zabudowania właśnie z czasów Henryka Brühla, ➔

Fragment elewacji Zamku Królewskiego w Warszawie na wystawie *Skarby Pałacu Brühla*

udokumentowano XVIII-wieczne mury z łączonych zaprawą wapienną cegieł przekładanych kamieniami granitowymi i wapiennymi.

Gdzie trafiają odnalezione artefakty?

Wybrane znaleziska, w tym połowicznie zachowany pomnik kobiecy z podpisem „Chwała” na cokole, pochodzący z Ogrodu Saskiego, gdzie dziś znajduje się jego kopia, prezentujemy na ogólnodostępnej wystawie *Skarby Pałacu Brühla* w przeszklonym pawilonie na pl. Piłsudskiego. Do niedawna eksponowaliśmy tam jeszcze jeden bardzo ciekawy i z początku tajemniczy obiekt. To fragment kamiennej tablicy z łacińską inskrypcją, który wedle wstępnego rozeznania nijak się miał do elewacji odbudowywanych przez nas budynków. Jego publiczne wystawienie przyniosło nieoczekiwany skutek, otóż przechadzający się pewnego dnia po pl. Piłsudskiego dr hab. Jakub Sito, prof. Instytutu Sztuki PAN, zobaczył ów kawałek płyty i rozpoznał w nim brakujący element większej układanki. Okazało się, że to część tablicy fundacyjnej z elewacji saskiej (od strony Wisły) Zamku Królewskiego. Widoczne na fragmencie rzymskie litery uzupełniały oryginalną inskrypcję: AUGUSTUS.III.P.P.INSTAVRARI.ETORNARI.CURAVIT.MDCCXLVI (August III Ojciec Ojczyzny wznieść i ozdobić rozkazał 1746). Po tym odkryciu artefakt trafił do miejsca swego pochodzenia, podczas uroczystości w Sali Rycerskiej przekazaliśmy go Zamkowi Królewskiemu w Warszawie. Co z pozostałymi artefaktami? Znajdują się pod pieczęcią Państwowego Muzeum Archeologicznego. Należy też zakładać, że te najsilniej związane z historią zachodniej pierzei pl. Piłsudskiego zostaną tu na miejscu i będziemy mogli je oglądać, odwiedzając odbudowany Pałac Saski.

Czy w Pałacu Saskim planowana jest filia Muzeum Warszawy lub galeria prezentująca historię tego miejsca – placu i pałacu, a także kamienic?

Liczymy, że taką galerię uda się stworzyć, natomiast nie opracowano jeszcze szczegółowego wykazu instytucji, które miałyby znaleźć się w Pałacu Saskim. Jednocześnie jesteśmy świadomi, że etap prac projektowych, do którego się zbliżamy, to już moment, kiedy użytkownicy powinni być wstępnie określani, więc odpowiedź na to pytanie przyniosą najbliższe miesiące.

Czy w takim razie wiadomo, choćby w przybliżeniu, kto będzie gospodarzem w pałacach Saskim i Brühla, a kogo – jakiego rodzaju instytucje – pomieszczą kamienice?

Obecnie jesteśmy na etapie koncepcji architektonicznej, która przewiduje we wnętrzach Pałacu Saskiego przestrzeń dla instytucji prowadzących działalność kulturalną, m.in. przestrzeń wystawienniczą, w tym na wewnętrznych dziedzińcach pałacu. Koncepcja zakłada też stworzenie wielofunkcyjnej sali koncertowej wraz z częścią restauracyjną w półtundzie kamienicy Lessla (ul. Królewska 10/12). Wskazanie konkretnych użytkowników leży jednak – zgodnie z zapisami ustawy o odbudowie Pałacu Saskiego, Pałacu Brühla oraz kamienic przy ul. Królewskiej – w gestii ministra właściwego do spraw kultury i ochrony dziedzictwa narodowego. Mając na uwadze fakt, że wstępna koncepcja będzie w najbliższym czasie podstawą do opracowania ostatecznego projektu budowlanego, jest jeszcze chwila na dookreślenie funkcji przywracanego miejsca i jego użytkowników.

T. Tolbaczko, WXCA Group

Sala koncertowa w kamienicy Lessla, wizualizacja



Pałac Brühla, wizualizacja

Oczywiście gdy tylko zostaną wskazani, nie omieszkamy poinformować o tym czytelników STOLICY.

Przyszli gospodarze zawsze chcą wpływać na kształt inwestycji. Powinni być wybrani jak najszybciej. By przed ukończeniem stanu surowego mieć wpływ na kształt inwestycji i jej wykończenie.

Znany, bo określony ustawą, jest kształt zewnętrzny przywracanych gmachów: będą wyglądały tak jak 31 sierpnia 1939 r. Od strony realizacji inwestycji jest to jednocześnie jeden z najważniejszych punktów, musimy bowiem odtworzyć wygląd, zwracając uwagę na każdy szczegół. Szczególnie dobrze obrazuje to przykład Pałacu Brühla, którego elewacje były bogato zdobione dekoracją rzeźbiarską. Tak więc w kwestii wyglądu zewnętrznego przyszli gospodarze nie mają wpływu na kształt inwestycji. Jeśli chodzi o wnętrza, również wpływ ten będzie częściowo ograniczony, bo zgodnie z wymogami konkursu architektonicznego na opracowanie koncepcji odbudowy wewnętrzna struktura budynków musi odpowiadać docelowym podziałom elewacji i układowi okien i drzwi. Innymi słowy przegrody poziome i pionowe, schody czy wszelkiego rodzaju urządzenia nie mogą zostać wprowadzone w światło okien, drzwi i bram, których układ znamy de facto z przedednia wybuchu wojny. Pozostaje więc tak naprawdę kwestia zagospodarowania dość konkretnie już ukształtowanej przestrzeni. I do tego etapu krok po kroku będziemy zmierzać.

Jeśli będą tam urzędy, to pałace zostaną zamknięte dla warszawiaków i przechodniów, po godzinach urzędowania będą świeciły pustkami podobnie jak ich okolica. Jak w swoim czasie Służewiec Przemysłowy nazwany Mordorem.

Obok instytucji prowadzących działalność kulturalną, edukacyjną i społecznie użyteczną, które notabene też nie będą czynne całą dobę, urzędy są jedynie elementem całego zespołu pałaców i kamienic. O ile trudno porównać dość proste kształty strzelistych wieżowców na Mokotowie do historycznego kostiumu architektonicznego zachodniej pierzei pl. Piłsudskiego, o tyle faktycznie kwestia dosłownego świecenia pustkami, czyli po prostu kwestii użycia światła, była jednym z tematów warsztatów specjalistycznych, jakie przeprowadziliśmy w ostatnim czasie. W toku dyskusji specjaliści niemal jednogłośnie uznali, że tak reprezentacyjna przestrzeń jak budynki na styku placu Piłsudskiego i Ogrodu Saskiego będą wymagały iluminacji świetlnej niezależnej od godzin funkcjonowania instytucji wewnątrz. Jeśli chodzi z kolei o kwestię zamknięcia dostępu do pałaców, jest to co do zasady niemożliwe w tym miejscu: zarówno plac Piłsudskiego, jak i Ogród Saski są miejscami otwartymi i dostępnymi dla wszystkich. To ściśle centrum miasta, więc to do jego warunków, do potrzeb i funkcjonowania mieszkańców oraz stołecznych gości będą musiały dostosować się przyszłe instytucje, które będą tu działać.





Hol Pałacu Brühla, wizualizacja

Czy utrzyma się koncepcja odkrytych za szybą piwnic?

Ostateczne rozwiązania poznamy, gdy zostanie opracowany projekt budowlany oraz gdy takie rozwiązania zostaną zaopiniowane przez konserwatora zabytków. Na pewno jednak dołożymy wszelkich starań, aby zabytkowe piwnice zostały w miarę możliwości technicznych w jak największym stopniu udostępnione zwiedzającym. Gdyby udało się to w takiej formie, jaką zaproponowali architekci WXCA w koncepcji konkursowej, czyli dostępu do piwnic z poziomu kładki z możliwością zejścia schodami niżej, byłaby to niewątpliwie jedna z bardziej nietypowych atrakcji turystycznych w Warszawie.

Co zamierzacie zrobić, aby ożywić plac Piłsudskiego? Jak go wpieść w tkankę miejską – czy będą kawiarnie, sklepy, księgarnie, muzeum, kluby...? Aby plac żył, a nie był betonowym

wygonem jak teraz i żeby przecinały się na nim szlaki warszawiaków.

Plac Piłsudskiego i jego okolicę ożywiamy już dziś. Ogrodzenie terenu inwestycji od samego początku zaaranżowaliśmy jako miejską galerię sztuki, która co jakiś czas przybiera nowe oblicze. W podświetlonym, a więc dostępnym również po zmroku systemie wystawienniczym prezentujemy kolejne wystawy. Od historycznych z artefaktami z badań archeologicznych czy zdjęciami miasta z okresu Powstania Warszawskiego przez inwestycyjne z koncepcjami odbudowy biorącymi udział w konkursie architektonicznym po sztukę współczesną, której przykładem są już dwie odsłony Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie. Przed nami kolejna wystawa, którą będzie można zobaczyć już w końcówce października, czyli historia Grobu Nieznanego Żołnierza, a to z okazji setnej rocznicy odsłonięcia pomnika w arkadach kolumnady Pałacu Saskiego.

Co roku w ostatnią sobotę maja organizujemy Święto Ogrodu Saskiego, istny wehikuł czasu, który zabiera uczestników wydarzenia w podróż do dwudziestolecia międzywojennego, aby zobaczyć, jak niegdyś wyglądało życie w tej okolicy. Święto co roku przyciąga uwagę coraz większej grupy osób, coraz więcej ludzi zaczyna nas dopytywać o atrakcje podczas kolejnych edycji wydarzenia, czy znowu – tak jak w maju tego roku – nad placem Piłsudskiego wzniesie się balon. To pokazuje, że ta przestrzeń ma ogromny potencjał do rozwoju oferty kulturalnej i edukacyjnej, że ludzie nie chcą tędy tylko przechodzić, a chcą się tu na dłużej zatrzymać. Dlatego już teraz staramy się przyzwyczajać najbliższe otoczenie, że kulturalne centrum miasta się odradza, a w niedalekiej perspektywie instytucje prowadzące

WXCA Group

Pawilon Becka, wizualizacja



Historyczne piwnice Pałacu Saskiego, wizualizacja

działalność kulturalną i edukacyjną w odbudowanych pałacach i kamienicach, w tym wspomniana sala koncertowa, przyciągną jeszcze więcej zainteresowanych.

Kiedyś plac był salonem Warszawy, a może stać się drugim placem Centralnym – czyli *róbta, co chceta*. Jaką koncepcję wybieramy?

Zdecydowanie wybieramy koncepcję salonu Warszawy! Tym bardziej że o krok dalej jest Ogród Saski, zielony

Przestrzeń wystawiennicza, wizualizacja



salon Warszawy, miejsce o bogatej historii, choć wymagające już rewitalizacji. To z jednej strony miły zakątek do odpoczynku czy na kameralne spotkanie, z drugiej – idealny plener dla wydarzeń kulturalnych i artystycznych. Myślę, że ranga tego miejsca, szczególnie placu, wyklucza swawolne podejście do działań, mamy tutaj w końcu Grób Nieznanego Żołnierza, miejsce zadumy, chwały, pamięci, którego odwiedzenie jest elementem protokołu dyplomatycznego. Odbývają się tu uroczystości państwowe, obchody Święta Niepodległości, wspólne śpiewanie pieśni powstańczych 1 sierpnia, trudno byłoby w tej przestrzeni spodziewać się na przykład skateparku. Brakuje jeszcze tylko domknięcia utraconej kompozycji architektonicznej, czyli zachodniej pierzei placu, ale pracujemy, aby zmieniło się to jak najszybciej.

Sąsiedztwo Teatru Wielkiego i Teatru Narodowego – ich charakter jednak jest elitarny albo powiedzmy inaczej: narzucający pewną elegancję – będą miały czy mają wpływ na myślenie o przyszłych odbudowanych obiektach i ich otoczeniu?

Zdecydowanie miejsce, w którym trwa odbudowa pałaców Saskiego i Brühla (zwanego barokową perłą Warszawy) oraz kamienic to przestrzeń reprezentacyjna, i jak pani redaktor to ujęła, narzucająca elegancję. Jej wymiar był jeszcze pełniejszy przeszło osiem dekad temu, gdy zespół pałaców i kamienic jeszcze istniał. W okresie dwudziestolecia międzywojennego stanowił tło dla najważniejszych uroczystości państwowych, ale i innych wydarzeń, jak starty rajdów samochodowych czy słynny

koncert Jana Kiepury z okazji Dnia Morza. Realizowana dziś odbudowa tak naprawdę jest dopełnieniem tego podniesłego charakteru miejsca, pozwoli przyciągnąć uwagę jeszcze większej liczby osób, które będą mogły skorzystać z oferty kulturalnej instytucji działających w odbudowanych gmachach. Mamy też nadzieję, że kolejne miejsca

wokół terenu odbudowy również stopniowo będą re-witalizowane. Nowego życia wymaga przecież Ogród Saski, który przecinają splekane, asfaltowe alejki, na nowe czekamy również na placu Teatralnym, dziś pełnym samochodów i łaknącym zieleni.

Do redakcji docierają listy od czytelników, którzy uważają, że koszty odbudowy powinni ponieść Niemcy, bowiem to oni z premedytacją w sposób bestialski zburzyli po Powstaniu Warszawskim oba pałace.

Również do nas dochodzą takie opinie, jednak nie jesteśmy ich odpowiednim adresatem. Inwestycja odbudowy zachodniej pierzei placu Piłsudskiego w świetle ustawy przyjętej przez Sejm i Senat RP jest finansowana z budżetu państwa, a o wydatkowaniu tych środków każdorazowo decyduje minister właściwy do spraw kultury i ochrony dziedzictwa narodowego.

Koncert *Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki*, 1 sierpnia 2024 r.



T. Tołoczko



Międzynarodowe Biennale Plakatu w Warszawie, wystawa na pl. Piłsudskiego

Czy możemy czytelnikom STOLICY przedstawić aktualny harmonogram prac?

Za sobą mamy już częściowe odsłonięcie pozostałości murów pałaców i kamienic, pierwszy etap badań archeologicznych oraz przeprowadzenie międzynarodowego konkursu, w którym wyłoniono zwycięską koncepcję odbudowy. Niedawno rozpoczęliśmy negocjacje umowy na wykonanie projektu odbudowy z pracownią WXCA Group. Jeśli umowa zostanie podpisana, prace projektowe zgodnie z harmonogramem powinny się zakończyć w przyszłym roku. W terenie będzie to czas dalszych prac archeologicznych, tym razem na terenie korpusu głównego Pałacu Brühla oraz kamienic przy ul. Królewskiej. W kolejnym kroku zamierzamy przystąpić do procedury wyboru generalnego wykonawcy, co z kolei umożliwi rozpoczęcie właściwych prac budowlanych. Te powinny się zakończyć do 2030 r. 🏗️

Warszawa Jerzego Waldorffa

Elżbieta Ciborska

Charakterystyczna sylwetka, średni wzrost, po magnacku przycięta grzywka. Lekko utyka, więc podpiera się laską ze srebrną gałką. Zdradzając pasję kolekcjonera, dźwiga pod pachą spory obraz. Laski też zbiera. I stare meble, zegary, srebra, porcelanę... Kłaniając się uprzejmie znajomym, zmierza powolnym krokiem ku kamienicy w al. Przyjaciół 1. Tu mieszkał najdłużej. Jerzy Waldorff!

Waldorff zainteresował się pochodzeniem nazwy ulicy, czemu dał wyraz w swoich wspomnieniach. Już na początku XIX w. w położonym nieopodal pałacyku w Alejach Ujazdowskich 13 rezydowali Sobańscy rodem z Podola. Od strony zachodniej była alejka łącząca bramę wjazdową z rezydencją. Goście odwiedzający Sobańskich sadzili przy niej na pamiątkę małe kasztany. W ten sposób po latach powstała okazała zadrzewiona aleja, później rozparcelowana i zabudowana w latach 30. XX w. Listę lokatorów nowych posesji uwiecznił Jarosław Iwaszkiewicz w książce *Aleja Przyjaciół*. ➔



Grzegorz Gąbka



Współczesny widok pałacu Szustra od północy

Jerzy Waldorff – warszawiak z krwi i kości – ukochał stolicę energią niepokornego społecznika, obdarzonego w 1992 r. Honorowym Obywatelstwem Warszawy. Miał arystokratyczne koneksje. Powoływał się na nie wyjątkowo, nierzadko używając ostrego języka. Polemizując po 1989 r. z człowiekiem, który chciał prywatyzować Wilanów, powiedział: „Proszę pana, ja miałem taki dwór, utraciłem go i nie dopominam się zwrotu, a chcę panu powiedzieć, że jestem największym z polskich arystokratów, bo mam brwi Burbonów, nos Hohenzollernów, wargi Habsburgów i jajo Kolumba!”.

Ośrodkiem rodziny Preyssów, z której pochodził, pieczętującej się od 1240 r. herbem Nabram, były Kujawy. Właśnie tam bohater naszej opowieści spędził pierwsze lata życia. Ale urodził się – w 1910 r. – w Warszawie. Jego ojciec Witold Preyss (1856-1932), inżynier po politechnice w Zurychu, na prośbę swego profesora Williama Lindleya przyłożył rękę do budowy warszawskich Filtrów, potem współtworzył Kolej Wilanowską. Ostatecznie nabył w 1900 r. majątek w kujawskiej Kościelnej Wsi, dokąd przeniósł się z rodziną.

Wymancypowana matka Jerzego, Joanna z Wróblewskich (1878-1958), studiowała malarstwo w Paryżu w École des beaux-arts oraz słuchała wykładów na Sorbonie. Wyszła za Witolda w 1908 r., trzy lata po śmierci jego pierwszej żony, z którą miał czworo dzieci. Była wnuczką Franciszka Szustra (1810-1901). Tenże sprowadził się z Niemiec i w drugiej połowie XIX w. zbił fortunę jako słynny litograf, stając się w 1846 r. właścicielem prawie

całego Mokotowa wraz z pałacykiem *Mon Coteau* (Moje Wzgórze – stąd Mokotów) po księżnej marszałkowej Elżbiecie (bardziej znanej jako Izabela) z Czartoryskich Lubomirskiej, odtąd zwanym pałacem Szustra.

Pałac zbudował w 1772 r. architekt Ephraim Schröger (Efraim Schroeger, Szreger; 1727-1783) na gruzach zniszczonego w wojnach szwedzkich XVI-wiecznego dworu wójtów warszawskich Burbachów. Rezydencja zyskała sławę, kiedy Szymon Bogumił Zug (1733-1807) wyposażył park otaczający rezydencję w pawilony ogrodowe. Do naszych czasów dotrwała wieża z gołębnikiem i domek mauretański. Spalony w czasie walk 1944 r. obiekt, po odbudowie, na którą Jerzy Waldorff pozyskał fundusze od warszawskiego magistratu, służy od 5 września 1966 r. Warszawskiemu Towarzystwu Muzycznemu, którego Waldorff był wiceprezesem.

Franciszek kupił tytuł barona w Wiedniu. Jerzy Waldorff nie przywiązywał do tego wagi, ale... Mariusz Urbanek napisał o nim książkę pt. *Ostatni baron Peerelu* (Warszawa 2008).

Rodzina wiodła tymczasem żywot na wsi, co specjalnie nie cieszyło pani Joanny. Gospodarzenie przysparzało też sporo kłopotów panu Witoldowi i już w 1914 r. sprzedał majątek w Kościelnej Wsi. Nabył kilka kamienic przy ulicy Wilczej w Warszawie i sprowadził tam rodzinę. Zaraz po I wojnie Preyssowie wrócili jednak na wieś, do zakupionego wielkopolskiego dworku w Rękawczyni koło Trzemeszna. Tu matka uczyła syna francuskiego i gry na pianinie, a guwernantki uczyły go kolejnych języków.

W wakacje wyprawiał się z rodzicami do Belgii, Holandii i Francji. Ukochany dwór w Rękawczyni został w sercu Waldorffa perłą wspomnień do końca życia: „Rękawczyn to jest miejsce na ziemi do dziś dla mnie święte, jak dla chrześcijan Jerozolima i Nazaret”. Dwór nie dotrwał do naszych czasów.

Jerzy stopniowo poznawał także Warszawę. Od dzieciństwa odwiedzał tu swoją babcię po kądzieli Joannę z Krajewskich zwaną Asią, mieszkającą na rogu Brackiej i Nowogrodzkiej. Okazją były święta bądź kinderbale jej licznych wnuków. Po śmierci dziadka Adolfa spędzał w Warszawie jeszcze więcej czasu. Chętnie oglądał rodzinne albumy. W latach 20. towarzyszył babci w ostatniej drodze – od kościoła Świętego Krzyża przez Krakowskie Przedmieście, Trębacką, Wierzbową, plac Teatralny, Bielańską i Nalewki, dalej przez plac Muranowski i ulicę Muranowską, Dziką i Powązkowską, by dojść do Bramy św. Honoraty na Powązkach, których ratowanie stanie się potem dziełem jego życia.

Naukę gimnazjalną pobierał w Trzemesznie i Poznaniu. Z woli bliskich miał się poświęcić adwokaturze. Rodzice uważali, że najpierw trzeba zdobyć solidny fach, a potem oddawać się artystycznym fanaberiom. Dlatego w 1932 r. skończył wydział prawny na Uniwersytecie Poznańskim. Nie dokończył podjętego kursu w Konserwatorium Muzycznym w Poznaniu, ale muzyka stała się bardzo ważna w jego życiu. Często z zachwytem wracał też do muzycznych zamięłowań poznaniaków. Zetknął się w owym czasie z Arturem Rubinsteinem i śpiewał w chórze, z którym w 1929 r. brał udział w prawykonaniu *Stabat Mater* Karola Szymanowskiego. Wysoko cenił twórczość tego kompozytora, włączył się do batalii, zainicjowanej przez Zdzisława Sierpińskiego w „Życiu Warszawy”, mającej na celu wykupienie z rąk prywatnych na muzeum Szymanowskiego zakopiańskiej willi Atma, w której artysta zamieszkał w latach 30. w celu łagodzenia naporu gruźlicy. Jerzy Waldorff stał się w latach 1967-1976 twarzą kampanii, poprzez niezliczone wystąpienia i artykuły. Zbiórka pieniędzy na Atmę zakończyła się powodzeniem i 27 maja 1972 r. u zakopiańskiego notariusza podpisano akt nabycia willi na Muzeum Karola Szymanowskiego. Placówkę otwarto 6 marca 1976 r. z udziałem melomanów i wirtuozów z całej Polski i z zagranicy.

Po rocznej służbie wojskowej w szkole podchorążych 11 Pułku Ułanów w Grudziądzu (podkreślał z fanfaronadą: „Ja jestem szwoleżer, ja jestem ułan”) Jerzy Waldorff w 1934 r. przeniósł się do Warszawy. Z matką, która wydzierżawiła Rękawczyn, i młodszą o dwa lata siostrą Marią zamieszkali na pięttrze kamienicy przy ul. Pięknego 20 (w latach 1930-1948 ulica nosiła nazwę Piusa XI). Podczas III Konkursu Chopinowskiego, który miał miejsce w 1937 r., matka Jerzego przygotowała w tym mieszkaniu kolację dla zaprzyjaźnionej z Jerzym młodzieży. Przybyli



Tablica pamiątkowa poświęcona Jerzemu Waldorffowi na elewacji domu w al. Przyjaciół 1, gdzie mieszkał

m.in. dyrygent Grzegorz Fitelberg i Witold Małcużyński z młodą pianistką francuską Colette Gaveau, wkrótce żoną wirtuoza. Przyjaźnią z Małcużyńskim cieszył się Waldorff do końca życia wybitnego pianisty. Miejsce po zniszczonej w Powstaniu kamienicy było przez lata puste, dziś stoi tu biurowiec Urzędu Komisji Nadzoru Finansowego.

Na życzenie matki Jerzy Waldorff rozpoczął aplikanturę w kancelarii mecenas Włodzimierza Kozubskiego, który był zarazem profesorem prawa rzymskiego na Uniwersytecie Warszawskim. Pewnego dnia do owej kancelarii zgłosił się w charakterze klienta krawiec. Prócz talentu w szyciu miał także wzniosłą duszę – szył malarzom ubrania za obrazy, których zgromadził ponad setkę. Jeden z największych kiczków przekazał do renowacji, przy czym niedbała firma wraz z brudem zmyła z płótna część farby. To stało się źródłem sporu powierzonego do prowadzenia młodemu aplikantowi. Ten obejrzał fatalne dzieło. Widniała na nim martwa dziewczica na katafalku przystrojonym liliami. W powietrzu unosił się korowód spłakanych duchów. Obrońca krawca nie miał wątpliwości, że renowator, zniszczywszy kicz, przysłużył się kulturze ojczystej i winien być nagrodzony, a nie karany. Wziął się jednak do rzeczy z całą gorliwością, jakiej oczekiwał klient. W płomiennej mowie upewnił sąd, że oto na naszych oczach dopuszczono się zbrodni, niszcząc arcydzieło malarskie godne pędzla Rembrandta, za co nieutulonemu krawcowi trzeba przyznać najwyższe odszkodowanie. Sąd, niestety, uwierzył jego słowom! Krawiec zainkasował gotówkę, lecz jednocześnie Waldorff doznał takiego obrzydzenia do tego, co zrobił, że w 1938 r. zaniechał aplikatury, oddając się wyłącznie pisarstwu i muzyce, zwłaszcza że w międzyczasie został redaktorem. W 1935 r. ogłosił na łamach „Kuriera Porannego” pierwszy felieton pt. *Cisza w wielkim mieście*. Siedziba tej ważnej stołecznej gazety, przy ul. Marszałkowskiej 148, w bezpośrednim sąsiedztwie sklepu Hersego na narożniku z placem Dąbrowskiego (d. Zielonego), nie należała do szczególnie okazałych. Wprost z ulicy wchodziło się do podłużnego ciemnego holu, w którym za okienkiem urzędował kasjer, znający niedobory finansowe

redakcyjnych utracjuszy. W głównej sali redakcyjnej urzędował na podwyższeniu naczelny, lustrując okiem dziennikarski ul.

Jerzy Waldorff nie poprzestawał w „Kurierze” na felietonach – został krytykiem muzycznym. W 1936 r. awansował na kierownika działu muzycznego, a w następnym na redaktora dodatku literackiego, który zrewolucjonizował przy udziale mistrzów pióra, w tym Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Tadeusza Brezy czy Marii Jehanne Wielopolskiej. Był także związany z ruchem narodowo-demokratycznym – okazjonalnie współpracował z tygodnikiem „Jutro” Wojciecha Wasiutyńskiego, przedstawiciela Obozu Narodowo-Radykalnego „Falanga”.

W 1936 r. odbył wojaże po Francji, Holandii i Belgii. W 1937 r. uległ we Włoszech fascynacji postacią Benita Mussoliniego, czego emanacją była wydana w 1939 r. kontrowersyjna książka bohatera naszej opowieści pt. *Sztuka pod dyktando*. Będąc jednocześnie także współpracownikiem radykalnego pisma „Prosto z Mostu”, jesienią 1938 r. demonstracyjnie zerwał współpracę w proteście wobec antysemitów publikacji w tym tygodniku. W końcu lat 30. pisał felietony do umiarkowanej „Polityki” Jerzego Giedroycia.

Ostatnie sierpniowe wakacje redaktor Waldorff spędzał w Krynicy. W przededniu II wojny wrócił do Warszawy, ale do armii nie został wcielony. Był świeżo wyszkolonym podporucznikiem rezerwy 11 Pułku Ułanów. W ciżbie innych oficerów oblegał bezskutecznie Rejonową Komisję Uzupełnień (RKU) na Pradze, następnie na radiowy apel płk. Romana Umiastowskiego, wygłoszony 6 września tuż przed północą, udał się piechotą w stronę Bugu. Daremnie jednak szukał jednostki, która chciałaby go włączyć do swego szeregu, więc pod naciskiem okrażających zagonów niemieckich cofał się pospiesznie do Warszawy. W jej obronie mógł wziąć teraz udział tylko jako wolontariusz – jego pułk już dawno został rozbity, zapewne gdzieś na pruskiej granicy. Po kapitulacji miasta zbagatelizował wezwania niemieckiej komendy miasta o meldowanie się polskich oficerów. Dowiedział się, że rejestry RKU zostały na czas zniszczone, więc nie był zagrożony.

Wojenna rzeczywistość po wrześniu 1939 r. rysowała się kiepsko. Urwały się redakcyjne dochody, także te z kamienicy w Warszawie topniały wskutek inflacji. Rodzinny majątek w Poznańskim włączono do Rzeszy. Z komfortowego lokum przy Pięknej rodzina przeniosła się na tani Mokotów, daleko za

Królikarnią. Niebawem sytuacja bytowa stała się przynajmniej znośna – matka miała dochodowe place na Mokotowie po swoim dziadku Franciszku Szustrze. Wówczas przydała się aplikatura podjęta znów przez Waldorffa w tej samej kancelarii – mógł mieć wgląd do hipoteki i identyfikacji trzech parcel, z czego dwie sprzedano za możnemu młynarzowi.

Pieniądze z tego szły na utrzymanie rodziny. Matka wynajęła mieszkanie przy ul. Kredytowej 1, w luksusowej oficynie na tyłach gmachu obecnego Muzeum Etnograficznego, wówczas Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Starczyło też pozyskanych środków na pomoc innym, w tym rodzinie Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Listy z podziękowaniami Konstantego i innych wybitnych nadawców oraz rękopis swej autobiograficznej powieści pt. *Fidrek Waldorff* podarował Muzeum Literatury w Warszawie.

Kamienica przy ul. Pięknej 20 (z ukwieconym balkonem na I p.)



W nowym lokum zamieszkał Jerzy ze swym partnerem życiowym tancerzem Mieczysławem Jankowskim (1917-2005), z którym był związany od 1939 r. do końca życia. Nie afiszował się z tym, choć matka odniosła się życzliwie do takiego wyboru, mówiąc: *Witam drugiego syna*. Obok, w oficynie przy ul. Kredytowej 1, mieszkał z żoną i córką filmowiec Antoni Bohdziewicz, który wynajmował pokój również Czesławowi Miłoszowi i Jance Cękalskiej.

Waldorff zaangażował się w tajne prace o charakterze artystycznym. Z początku inicjował spotkania środowiska muzycznego, ale już od marca 1941 r. prowadził koncerty muzyki klasycznej w saloniku urządzonym przez matkę. W czwartą rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego niedzielnym południem zebrało się tu kilkadziesiąt osób, rozsadzonych w holu i jadalni. Prelekcję o kompozytorze wygłosił Roman Padlewski, sam uzdolniony kompozytor i pianista, poległy potem w Powstaniu, Ewa Bandrowska-Turska śpiewała *Pieśni kurpiowskie*, Eugenia Umińska odegrała na skrzypcach *Źródła Aretuzy*, a prof. Zbigniew Drzewiecki wykonał *Wariacje fortepianowe b-moll* z góralskim marszem żałobnym. Po koncertach odbywały się na Kredytowej małe przyjęcia z udziałem m.in. Miłosza, Andrzejewskiego, Iwaszkiewicza, Bohdziewicza, zakrapiane mocnym trunkiem przyrządzanym przez prof. Konstantego Régameya, kompozytora, poligloty i erudyty.

Jerzy Waldorff pracował społecznie w Komisji Programowej Rady Głównej Opiekuńczej, jedynej polskiej instytucji dopuszczonej przez Niemców do jawnej aktywności charytatywnej. Pod auspicjami tej Komisji poszukiwał stałej sali do organizowania koncertów. Ponownie skorzystał z pomocy Włodzimierza Kozubskiego, dodatkowo radcy prawnego Banku Komunalnego przy placu Napoleona (obecnie pl. Powstańców Warszawy). Poprzez jego kontakty uzyskał zgodę na koncerty w suterenie Domu Spółdzielczości Rolniczej im. Franciszka Stefczyka przy ul. Wareckiej 11a. Bezpłatne afisze tworzył i kolportował do chwili wybuchu Powstania Eryk Lipiński.

Od 1943 r. duże koncerty muzyczne, firmowane przez RGO, prowadził Waldorff w sali Konserwatorium Muzycznego przy ul. Okólnik 1. Uwijały się tam także ochotniczki, prowadząc wenty (kiemasze) i zbiórki, jak ich prababki czy babki po klęsce listopadowej, styczniowej, no i wrześniowej, z Marią Tarnowską (Marytką) na czele. Sprowadzała ona na koncerty ludzi z najznakomitszymi dochodami. U wejścia czekały programy malowane



Siedziba redakcji „Kuriera Porannego” przy ul. Marszałkowskiej 148; we wrześniu 1939 r. budynek spalił się, rażony bombą zapalającą

honorowo przez Eryka Lipińskiego, jego żonę Ha-Gę (Annę Gosławską) i Jerzego Srokowskiego. Ceny były według uznania... a w praktyce regulowane przez Marytkę. W przerwie koncertu na podeście pierwszego piętra ustawiano w podkowę dochodowe stoły z przekąskami i ciastami. Pozyskane środki służyły artystom i uwięzionym.

Gmach Konserwatorium Muzycznego, zbudowany w 1913 r., z dwupoziomową salą koncertową i organami, został zniszczony podczas Powstania i rozebrany w 1945 r. Jesienią 1943 r. Jerzy Waldorff poznał zakonspirowany salon literacki Kazimierzowej Morawskiej, wdowy po rektorze Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezesie Polskiej Akademii Umiejętności, położony w uroczym zakątku Warszawy we wgłębieniu ulicy Czackiego, zwanym Dowcipem. W tym salonie wygłaszał prelekcje o muzyce. A muzyka podczas okupacji pełniła rolę wybitnie terapeutyczną. Iwaszkiewicz użył metafory, że przykrywała kwiatami armaty.

Wybuch Powstania Warszawskiego zastał Jerzego z Mietkiem w Łomiankach pod Warszawą. W przeczuciu grozy zdążył ukryć w mieszkaniu przy Kredytowej rodzinne portrety w kominku. Czas wypełniało mu kończenie jedynej powieści pt. *Godzina policyjna*, wydanej po wojnie. Stąd obaj panowie trafili do Stawiska Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów. W listopadzie 1944 r. udali

się kilkanaście kilometrów dalej, do Ojrzanowa, gdzie przetrzymywali w majątku Dziewulskich.

Dwukrotnie Jerzy Waldorff przebiegał się w ekipie prof. Stanisława Lorentza do Warszawy, oficjalnie celem ratowania ksiąg handlowych firmy Wedla. Z domu Wedłów przy Szpitalnej, eskortowany przez przekupionego Niemca, Waldorff dotarł na ul. Kredytową 1. Kamienica ocalała, ale w miejscu jadalni był wielki lej po bombie. Z gdańskiego zegara została tylko pognieciona tarcza, wśród ksiąg zaginęły *Pisma Kochanowskiego* z 1611 r. i *Pan Tadeusz* z autografem autora. Jerzy zaczął w pośpiechu ładować w worek ocalałe tomy. Kiedy jednak zaczął wycinać z ram ukryte w głębi kominka portrety przodków, naraził się „opiekunowi” i nigdy nie był bliżej śmierci, gdy ten krzyknął: „Jesteś złodziejem, zaraz cię zastrzelę”. W przestrachu Waldorff przekonał go, że to portrety rodziny Wedła i jeśli dyrektor firmy ich nie otrzyma, to zaprzestanie fabrykować czekoladę dla Wehrmachtu. Później rodzinne portrety zdobiły obficie ściany w alei Przyjaciół.

Drugiego dnia po wyzwoleniu Warszawy 17 stycznia 1945 r. Waldorff szedł po ruinach i oto, co zapamiętał: „Pośrodku trójkąta, który był placem Zamkowym, natknąłem się na strzaskaną kolumnę i mosiężną postać króla, co poszczerbiony, bez ręki i miecza, tkwił wbitą głową w bruk. Im bliżej Świętojańskiej, tym posuwałem się oporniej, a tam zagroziło mi drogę wzgórze z odłamków muru, bloków kamiennych, wysterkających belek drewna osmalonego, ale były też rozmaicie połupane figury, jak gdyby spod zwalisk wychylały się głowy ludzkie i wyciągały ręce niemo wzywające ratunku, ówdzie jakaś noga z kamienia po świętym rozszarpanym ostatecznie. Bo to była Katedra, zaś wdrapywałem się na nią, żeby móc iść dalej, tak jak wspinać się trzeba na pomniejsze zbocza w Tatrach skalnych: z jednego głazu skok na inny, czepianie się dłońmi ostrych zrębów, izby – stojąc niepewnie na jednej – drugą nogą zmacać wyżej podporę i tak w górę aż na szczyt, po czym ostrożne zstępowanie, a gdym dotarł na skraj Rynku, miałem przed sobą widok inferalny” [cytat z *Wyboru pism* z 1993, t. 7: *Dolina szarej rzeki*, wyd. 3].

Wkrótce wyjechał do Łodzi, objął referat kultury. Już w marcu 1945 r. – po donosie do „Głosu Ludu”, że jest faszystą – ostrzeżony w przeddzień publikacji, uciekł z powrotem do Warszawy. Z pomówień został oczyszczony i przeproszony – Kolegium Wyjaśniające orzekło, że w czasie okupacji zachowywał się nadzwyczajnie. Zamieszkał ze swym partnerem w pokoju na Pradze, w kamienicy przy alei Waszyngtona. Matka przeprowadziła się do córki Marii do domu przy ul. Grottgera 5 w Poznaniu.

W końcu marca 1945 r. Jerzy podjął współpracę z Polskim Radiem, która przeciągnęła się na 30 lat. W latach 1945-1946 nadawał audycje radiowe z cyklu *50 lat polskiej piosenki* oraz zredagował wspomnienia przyjaciela z radia

pt. *Śmierć miasta. Pamiątniki Władysława Szpilmana* 1939-1945 (1946). W późniejszym czasie wydano tę książkę, opatrzoną tytułem *Pianista*, uzupełnioną o zdjęcia i watek niemieckiego oficera Hosenfelda, który udzielił pomocy Szpilmanowi. Pominęto jednakże wkład autorski Waldorffa. Sprawa otarła się o proces sądowy, do którego nie doszło, ponieważ powodowi wypłacono odszkodowanie. Książka doczekała się tłumaczeń, ekranizacji i Oskara za film *Pianista*.

Inną powojenną książką Jerzego Waldorffa była *Warszawska premiera* (1951), napisana po nakręceniu pierwszego po wojnie widowiskowego filmu muzycznego o tym tytule (1950) na temat walki o wystawienie 1 stycznia 1858 r. w Warszawie *Halki Moniuszki*. Waldorff był współautorem scenariusza do tego filmu. Kolejna jego książka to humoreski *Dwie armaty* (1955). Potem wydał liczne książki jako to zbiory felietonów, wspomnień i esejów, nieraz dublujących się w innym układzie i pod zmienionymi tytułami.

Powróćmy do radia przy ul. Targowej 63, gdzie była jego pierwsza siedziba po wyzwoleniu. Redaktor Waldorff chodził tam pieszo, ulicą Zieleniecką. Początki odrodzonej radiofonii, co warto zauważyć w stulecie Polskiego Radia, tak zapamiętał:

„Wszystkie redakcje artystyczne w jednym ongiś mieszkaniu, a jedyne studio urządzono w dawnym pokoju jadalnym, z narożnym oknem wychodzącym na podwórze. Pierwszy po wojnie, również na długie lata, dyrektor muzyczny, Roman Jasiński, mieszkał obok studia w łazience, sypiając w wannie. Pianista Władysław Szpilman, który cudem ocalał, doczekawszy wyzwolenia w opustoszałych gruzach Warszawy, teraz zaczynał nowe życie od spania w studiu pod fortepianem, a kiedy siadał do instrumentu, grał przede wszystkim i oczywiście Chopina. Skoro się pojawiłem, Szpilman przesunął się pod klawiaturę, a mnie ustąpił miejsca pod ogonem Bechsteina. Obok przy ścianie był mały stolik spikera, od początku z Tadeuszem Bocheńskim przed mikrofonie” [cytat z *Wyboru pism* z 1993, t. 4: *Wielka gra*, wyd. 3 uzup.].

W 1945 r. przeniósł się do Krakowa. Zamieszkał nad drukarnią „Przekroju” w mansardowym pokoiku, do którego wkrótce dołączył Jankowski. Był w latach 1945-1950 redaktorem działu kulturalnego tygodnika „Przekrój” (redagował ostatnią stronę) oraz publikował w czasopiśmie „Radio i Świat” oraz „Ruch Muzyczny”. Dorabiał też, pisząc teksty do programów Filharmonii Krakowskiej. Po powrocie do Warszawy wynajął z Jankowskim strych przy ulicy Szczuczynskiej na Saskiej Kępie. Potem zamieszkali przy Koszykowej, a w końcu przy al. Przyjaciół 1.

Po krótkim okresie biedowania został reporterem w „Expressie Wieczornym”. Przede wszystkim był jednak felietonistą muzycznym w Redakcji Muzycznej Polskiego Radia (1951-1976). Od 1952 r. przez kilka miesięcy pracował jako anonimowy kontroler audycji, później podjął cykl felietonów na temat instrumentów muzycznych,



Gmach Konserwatorium Muzycznego, ul. Okólnik 1

wydanych potem w ośmiu edycjach jako *Sekrety Polihymnii*. Stał się rozpoznawalnym głosem radia.

W 1953 r. przyjął bitewne zawołanie Waldorff za swe nazwisko, aczkolwiek w dokumentach figurował jako Waldorff-Preyss.

Przez 15 lat – od 1955 do 1970 r. – relacjonował w radiu przebieg Konkursów Chopinowskich. Będąc założycielem Sekcji Krytyków przy Stowarzyszeniu Polskich Artystów Muzyków, często spierał się z jurorami. Kiedy po drugim etapie VII konkursu w 1965 r. zwołano konferencję jury z krytykami, na której zapowiedziano, że krytycy mają prawo mówić na wszelkie możliwe tematy, ale nie o konkursie, zrezygnował z prowadzenia sekcji. W odpowiedzi na pytanie, jakimi kryteriami jury kierowało się przy punktacji, krytyk usłyszał, że Warszawa jest bardzo pięknym i gościnnym miastem. Poświęcił konkursom książkę *Wielka gra*. Skrzy się ona od anegdot! I tak np. podczas VI konkursu (1960) publiczność była bojowa i raz nawet sforsowała wejście do Filharmonii, gdzie przebiegał konkurs. Była zawiedziona, bo jej faworyt, Meksykanin Michel Bloch, otrzymał dopiero dziesiąte wyróżnienie. Sytuację uratował Artur Rubinstein, który dał Blochowi nadzwyczajną premię, *hors concours*. Że jednak rudzielec Bloch przypominał młodego Rubinsteina, warszawiacy ukuli plotkę, że jest on synem wybitnego pianisty z lewego łóża. Trzeba było dopiero upewnień małżonki, pani Neli Rubinstein – że zna wszystkie lewe łóża męża (!) – aby się uspokoiło.

Waldorff by także wziętym felietonistą tygodnika „Świat” (1955-1969, następnie ukazało się książkowe wydanie tych felietonów pt. *Ciach go smykami*), Telewizji Polskiej (od 1955), „Polityki” (1969-1999), gdzie należał do najbardziej popularnych autorów, zamieszczał cykle *Muzyka łagodzi obyczaje*; *Artyści wszystkich krajów*, *łącznie*

się!; *Uszy do góry*; *Okiem sępa* (w pierwotnej wersji *Z posępnego notatnika*). Ostatni i jedyne artykuły w „Polityce” napisany wspólnie z Jerzym Kisielewskim znamionował nowy cykl *Dwa Jerze i...*

Jako częsty autor „Życia Warszawy” przedstawiał się tamże w rozmowie ze wspomnianym Kisielewskim pod hasłem *Z Jerzym Waldorffem o wszystkim*.

W 1963 r. został wiceprzewodniczącym jury I Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Pamiętna była jego ostra kampania w obronie dyrektora Teatru Wielkiego Bohdana Wodiczki. Dyrygent był gotów do wejścia na scenę odbudowanej Opery, uroczyste otwieranej 19 listopada 1965 r., z repertuarem na najwyższym poziomie,

który podziwiała nawet prasa amerykańska, ale w ostatniej chwili został usunięty.

Podjął się radiowej akcji (1965-1977) gromadzenia darów dla Muzeum Teatralnego w Warszawie, w której zebrano ponad 2,5 tys. eksponatów. Współorganizował, otwierał i wspierał piórem Festiwal Pianistyki Polskiej rozpoczęty w 1967 r. w Słupsku. Pisał: „Są imprezy – festiwale, w których się uczestniczy, aby zaraz o nich zapomnieć. Są takie, które zapadają w pamięć i serce na zawsze. Słupska nie zapomnę nigdy!”

W 1977 r. wyjednał od poznańskich władz przeznaczenie kamienicy w rynku na Muzeum Instrumentów Muzycznych. Uzyskał także środki na odnowę pałacyku Radziwiłłów w Antoninie (w 1829 r. grał w nim Chopin), gdzie w 1981 r. zainicjował festiwal pn. *Chopin w barwach jesieni*. Doprowadził w 1985 r. do pochówku króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w Katedrze Warszawskiej i – wraz z prof. Stanisławem Lorentzem – do uratowania w tymże roku przeznaczonego na przepiękny postument Ignacego Jana Paderewskiego oraz usadowienie go w parku Ujazdowskim. Później włączył się w przygotowania do pochówku prochów Mistrza sprowadzonych z USA do Warszawy. Ze starań podjętych w 1992 r. o utworzenie w Podchorążówce w Łazienkach w Warszawie Muzeum I.J. Paderewskiego i Uchodźstwa Polskiego w Ameryce w dalszych latach nic nie wyszło, ponieważ Muzeum Narodowe i Łazienki Królewskie nie uzgodniły zasad funkcjonowania placówki i zamknięto już uruchomione wystawy. Obecnie staraniem Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego pod auspicjami marszałka województwa mazowieckiego trwają prace nad uruchomieniem prawdopodobnie w 2026 r. Muzeum I.J. Paderewskiego i Emigracji w willi Gabriela Narutowicza przy ul. Parkowej 23.

Pod koniec życia prowadził Letnie spotkania ze Sztuką w Radziejowicach pn. *Dźwięk-Słowo-Barwa*. Wybrany w 1995 r. „Warszawiankiem XX wieku” w plebiscycie Warszawskiego Ośrodka Telewizyjnego, Radia Wawa i „Expressu Wieczornego”, przeznaczył nagrodę na budowę pomnika Józefa Piłsudskiego przy Belwedrze, odsłoniętego 8 listopada 1998 r. z udziałem prezydenta RP. Mawiano o nim: „A liści mu nie brakuje” w aluzji do często używanej przezeń partykuły aliści – był bowiem sowicie obsypany laurami: Złotą Syrenką Warszawy (1965), telewizyjnymi splendorami: Wiktorem (1988), Złotym Victorem (1999), Złotym (1972) i Diamentowym Mikrofonem Polskiego Radia (1995), a także honorowym obywatelstwem Słupska (1975) i Zakopanego (1978). Był kawalerem Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Na koniec wątek STOLICY, wcześniej śladowo zaznaczony. W półwiecze podjętej kwesty na rzecz Powązek miesięcznik ten poświęcił w 2024 r. jej inicjatorowi osobną publikację. Z tygodnikiem STOLICA Waldorff współpracował w latach 1957-1978. Początkowo prowadził cykl *Szpalty poświęcone muzyce*. W pierwszym odcinku [nr 15(484) z 14.04.1957] pod tytułem *O swacie, haku i obłędzie* pisał o Edith Piaf. W jednym tylko 1957 r. zamieścił 19 artykułów, ostatni wspólnie ze Stefanią Grodzieńską. W kolejnych latach pisał do tygodnika z mniejszą częstotliwością.

Po wzięciu spraw Powązek w swoje ręce zamieszczał artykuły na ten temat. I tak w artykule *Warszawian wielka sprawa* [nr 42(1454) z 19.10.1975, bez podpisu, ale prawdopodobnie autorstwa J.W. – w tekście są zawarte osobiste wątki autora] dowiadujemy się, że: „Pierwszymi ofiarodawcami byli: Mira Zimińska – 1000 zł wpłata ind. i Cech Rzemiosł Budowlanych – 50 tys. zł – wpłata zbiorowa. Zaproszony na zebranie Cechu Krawców i Rzemiosł Włókienniczych red. Jerzy Waldorff otrzymał na zakończenie tace, aby dokonał kwesty wśród zebranych na sali; na tacy zebrało się 16 650 zł”.



Konserwatorium, ul. Okólnik

W kolejnym artykule pt. *Nasze ślady kamienne* (nr 47[1511] z 21.11.1976, s. 15) podsumował drugą kwestę na Powązkach, podczas której przez trzy dni zebrano ćwierć miliona złotych. Przypominał, że w 1975 r. rekordowe sumy zebrały aktorki o krańcowo różnym empoli: Maja Komorowska i Hanka Bielicka. W zakończeniu artykułu pisał: „Kwesta na Zaduszki przejdzie, mamy nadzieję, w jedną z trwałych i pięknych tradycji warszawskich: czulej opieki nad zabytkami przeszłości, aby na ich fundamencie budować przyszłość – różną i oby lepszą, ale zawsze tak samo żarliwie polską, jak losy narodu pojmowali spoczywający teraz na starych Powązkach nasi warszawscy antenaci”.

I wreszcie w artykule pt. *Powązki* (nr 44[1610] z 29.10.1978, s. 4-5] podkreślił, że wśród pięciu zespołów problemowych Społecznego Komitetu Opieki nad Cmentarzem Starych Powązek, powstałego w 1974 r., znalazł się Zespół Propagandy, którym kierował redaktor Eugeniusz Boczek ze STOLICY. W artykule znajdujemy także informację, że Mira Zimińska zamierzyła z własnej kiesy odnowić powązkowski nagrobek Kazimierza Władysława Wóycickiego, autora trytomowej monografii pt. *Cmentarz Powązkowski pod Warszawą* (lata 1855-1858). W tymże artykule przytoczone są słowa prof. Stanisława Lorentza: „Akcja [ratowania Powązek] po odbudowie Zamku Królewskiego winna odziedziczyć serca warszawiaków”. I kto by pomyślał, że ta idea przeobraziła się w trwałe dzieło – silniejsze od spiżu – wówczas, gdy Jerzy Waldorff zapytał wymieniowego właśnie profesora, co mógłby jeszcze zrobić dla Warszawy. Odpowiedź była krótka: „Tu, gdzie każdy kamień zbroczony jest krwią, trzeba zadbać o pamięć”.

Jerzy Waldorff odnosił się do siebie z dystansem. Potrafił z uśmiechem mówić o śmierci i oswajał się z nią. Zmarł 29 grudnia 1999 r. i spoczął w pobliżu katakumb na Powązkach. Jego imieniem w 2009 r. nazwano ulicę przy forcie Bema, przekształconym w trakt spacerowy. W 2018 r. przy tej ulicy oddano do użytku nowoczesne osiedle Awangarda. 🌸

ŹRÓDŁA:

„Stolica” z lat 1957-1978; Wybór pism Jerzego Waldorffa w edycji Iskier z lat 1993-1994 w tomach: 1. *Uszy do góry*; 2. *Ciernie i korona*; 3. *Diabły i anioły*; 4. *Wielka gra*; 5. *Reszta jest milczeniem*; 6. *Taniec życia ze śmiercią*; 7. *Dolina szarej rzeki*; 8. *Fidrek*; 9. *Moje lampki oliwne* (Warszawa 1999); M. Urbanek, Waldorff. *Ostatni baron Peerelu*, Warszawa 2008 (indeks); *Kto jest kim w Polsce*, wyd. 2, Warszawa 1989, s. 1044; J. Kurski, Aliści Waldorff, „Gazeta Świąteczna”, nr 18(3319) z 22.01.2000, s. 10-13; A. Mizikowska, Jerzy Waldorff, w: *Leksykon twórców Polskiego Radia*, red. R. Habielski, A. Sowa, G. Kietlińska-Rakowska, t. 1, Warszawa 2006, s. 189-191; S. Kisielewski, Jerzy Waldorff, w: *Abecadło Kisielewa*, Warszawa 1990, s. 89, 90, 117; A. Hulewicz-Feillowa, *Rodem z Kościanki*, Kraków 1988, s. 131; L.J. Kern, *Abecadłowo. Jerzy Waldorff*, „Przekrój”, nr 17(2861) z 23.04.2000; *Leksykon osobowości Zofii Czernickiej*, Jerzy Waldorff, „Kulisy”, nr 44(2239) z 2.11.2000; <https://genealodzy.pl/PNphpBB2-printview-t-118048-start-0.phtml> (dostęp: 28.01.2025); <https://www.slupsk.pl/ratusz/honorowi-obywatele/jerzy-waldorff> (dostęp: 28.01.2025).



Olga Boznańska, *Autoportret*, 1906 r.

Boznańska w Narodowym

W tym roku przypada 160-lecie urodzin i 85-lecie śmierci Olgi Boznańskiej (1865-1940). Dla uczczenia tych rocznic Sejm Rzeczypospolitej ogłosił malarkę patronką roku 2025, a Muzeum Narodowe w Warszawie w ramach ekspozycji stałej Galerii Sztuki XIX Wieku przygotowało wystawę trzydziestu prac malarki z własnej kolekcji.

Olga Boznańska zaliczana jest do grona najwybitniejszych artystek europejskich. Córką Francuzki i Polaka, urodziła się w Krakowie. Edukację artystyczną rozpoczęła w 1884 r. w rodzinnym mieście, na Wydziale Artystycznym Wyższych Kursów dla Kobiet im. Adriana Baranieckiego. W 1885 r. wyjechała do Monachium, gdzie zapisała się do pracowni Carla Kricheldorfa, uczęszczała również na zajęcia do Wilhelma Dürra. W Monachium prowadziła bogate życie towarzyskie, skupione wokół pracowni Józefa Brandta oraz artystów niemieckich. Od 1889 r. miała własne atelier. W 1898 r. została członkinią prestiżowego Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka”. Zachęcona powodzeniem, w tym samym roku osiadła w Paryżu. W czasach gdy kobiet nie przyjmowano na wyższe uczelnie artystyczne, Boznańska do perfekcji opanowała malarskie rzemiosło, wypracowała własny styl, aktywnie uczestniczyła w życiu wystawienniczym. Zdobyła powszechne uznanie jako portrecistka, z upodobaniem podejmowała także temat martwej natury. Jej prace w MNW będą eksponowane do końca roku. Kuratorką wystawy jest Renata Higersberger. **Do 5 lipca 2026 r.** ●

Przyszłość Warszawy w karykaturze

Jak wyobrażano sobie dzisiejszą Warszawę 100 lat temu? Jak widzimy Warszawę dziś? Jaka będzie Warszawa przyszłości? Dokładnie 100 lat temu Benedykt Hertz i Aleksander Świdwiński stworzyli komiks *Warszawa w roku 2025*. Z okazji okrągłej rocznicy Muzeum Karykatury przypomina tę historię, konfrontując ją z przedstawieniami stolicy w twórczości współczesnych artystów komiksu, rysunku satyrycznego i ilustracji.

Obok prac z kolekcji Muzeum Karykatury, których autorami są tacy artyści jak Andrzej Czeczot, Karol Ferster, Ha-Ga czy Szymon Kobyliński, prezentowane są oryginały twórców średniego i młodego pokolenia, w tym m.in. Edyty Kranc, Krzysztofa Gawronkiewicza, Jacka Świdzińskiego, Jakuba Topora, Beaty Pytko, Marcina Podolca czy Anny Krztoń. Kuratorem wystawy jest Michał Olech, autorem aranżacji wystawy Michał Rzecznik, a oprawę graficzną i projekt plakatu wykonał Paweł Osiał. **Do 12 października br.** ●

Warszawa w roku 2025, Henryk Jerzy Chmielewski, Muzeum Karykatury ►



♦ Muzeum Sportu i Turystyki zaprasza na wyjątkowy 32. Festiwal Filmowy im. Wandy Rutkiewicz. Wydarzenie odbędzie się w dniach 24-26 października br. w siedzibie muzeum przy ul. Wybrzeże Gdynskie 4.

♦ Powołano Towarzystwo Przyjaciół Toru Służewiec (TPTS), które zajmie się promocją wyścigów, hodowli koni pełnej krwi angielskiej, propagowaniem jeździectwa oraz dokumentowaniem i popularyzacją historii obiektu. TPTS zaprasza do współpracy podmioty powiązane z hodowlą koni, tradycją kawalerii, konia w sztuce i sporcie. Formuła nawiązuje do ugruntowanych praktyk w innych krajach europejskich (np. Ascot Racecourse Supports działające przy torze Ascot w Anglii lub Verein zur Förderung des Berliner Rennsports przy torze Hoppegarten w Brandenburgii).

♦ Muzeum POLIN prezentuje wystawę rzeźb *Głos(ki)* Aliny Szapocznikow – *Samogłoskę i Spółgłoskę* z 1962 r. Pokaz w galerii Dziedzictwo uzupełnia prezentacja filmów o artystce. Zakup *Samogłoski* był możliwy dzięki dofinansowaniu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. **Do 9 marca 2026 r.**

♦ Od 18 do 25 października Ursynowskie Centrum Kultury Alternatywy po raz czwarty zaprasza na Festiwal Nowe Oświecenie – unikatowe przedsięwzięcie łączące humanistykę, sztukę, naukę i debatę publiczną. To osiem dni rozmów, koncertów, wystaw, spektakli i spotkań, podczas których uczestnicy wspólnie będą szukać odpowiedzi na pytanie: „Czym jest polskość?”. Publiczność spotka się z postaciami polskiej i europejskiej kultury, m.in. z: Krzysztofem Zanussi, Jerzym Bralczykiem, Andą Rottenberg, Adamem Zamoy-skim, Tomaszem Bocheńskim, Agatą Dudą-Gracz, Przemysławem Czaplińskim, Konstantym Gebertem.



Sala Salomona w Pałacu Łazienkowskim w Warszawie, obraz Ludomira Franciszka Dymitrowicza (1844-1923)

Zamiast Salomona heliogramy

Ściany i sklepienie Sali Salomona, jednego z największych pomieszczeń Pałacu na Wyspie, w XVIII w. zostały ozdobione przez królewskiego portrecistę Marcella Bacciarellego. Na wielkoformatowych malowidłach na polecenie króla Stanisława Augusta malarz ukazał sceny z życia biblijnego władcy Salomona, które miały symbolizować mądre i sprawiedliwe rządy. Oryginalne dekoracje całkowicie spłonęły w 1944 r., gdy wycofujący się z Warszawy Niemcy podpalili pałac. Od czasu powojennej odbudowy wnętrze to zdołały jedynie puste złocene ramy, a malowidła były szeroko znane jedynie z obrazu L.F. Dymitrowicza z 1892 r. Muzeum Łazienki Królewskie zaprosiło współczesnych twórców, by podjęli próbę odkrywania na nowo artystycznych oraz ideowych wizji Stanisława Augusta. Jako pierwszy swoje dzieła zaprezentuje tu Nicolas Gropierre, którego projekty często łączą fotografię z elementami architektury, instalacji i konceptualnego myślenia o sztuce. Wystawa *Heliogramy w Sali Salomona*. W *poszukiwaniu światła* otwiera nowy rozdział w historii Pałacu na Wyspie, łącząc tradycję i historię z twórczością współczesną. **Do 30 sierpnia 2026 r.** ♦



Sala Salomona z heliogramami, 2025

Sztuka i obietnica

Kolejna bardzo ciekawa wystawa w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej – Adam Kossowski (1905-1986). *Sztuka i obietnica*. Pierwsza w Polsce wystawa poświęcona zapomnianemu mistrzowi, artyście żyjącemu i tworzącemu w Anglii, została zorganizowana z okazji 120. rocznicy urodzin artysty i prezentuje najcenniejsze



z liczącej blisko 750 prac jego kolekcji – obrazów, rysunków, rzeźb ceramicznych i projektów do wnętrz sakralnych. Kolekcja Kossowskiego powstała dzięki niezwykle hojności Stefani Kossowskiej, wdowy po artyście, która przekazała Muzeum Archidiecezji Warszawskiej bezcenny zbiór prac męża. Adam Kossowski urodził się w Nowym Sączu, kształcił na Politechnice Warszawskiej (1923), w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych (1925) oraz w warszawskiej ASP, którą ukończył w 1931 r. Los artysty radykalnie zmienił się we wrześniu 1939 r., kiedy został pojmany przez Armię Czerwoną i osadzo-



ny w łagrze nad Peczorą. W 1942 r. na mocy amnestii wstąpił do Armii Polskiej gen. Andersa. Przez Iran dotarł do Palestyny, skąd ze względu na stan zdrowia został przetransportowany do Wielkiej Brytanii. Wystawa prezentuje pełne spektrum twórczości artysty – od wczesnych prac studenckich przez dramatyczne obrazy z okresu łagrowego aż po monumentalne projekty sakralne. **Do 1 marca 2026 r.** ♦

Różne oblicza karnawału

Muzeum Narodowe w Warszawie zaprasza na nową wystawę czasową, która powstała we współpracy z muzeami belgijskimi. Ekspozycja pt. *Czarny karnawał*. *Ensor/Wojtkiewicz* konfrontuje twórczość dwóch artystów przełomu XIX i XX w. poruszających problematykę maskarady, teatru i cyrku, sennych marzeń, erotyki i śmierci. Ensor przypomina tradycje sztuki niderlandzkiej z jej rubasznym poczuciem humoru, przewrotnością i moralizatorstwem oraz ludowy teatr jarmarczny i żywy we Flandrii uliczny karnawał. Wojtkiewicz, zanurzony w świecie baśni i somnambulicznych wizji, odkrywa świat kabaretu, teatrzyku Zielony Balonik, krakowskiej szopki. Pojęcie karnawału pełni tu rolę metafory życia-widowiska, świata na opak, szaleństwa, anarchii, chaosu, wolności od norm i konwencji. W tej atmosferze mieszczą się dzieła Jacka Malczewskiego, Wojciecha Weiss, Olgi Boznańskiej, Leona Wyczółkowskiego, a także kukiełki, stroje karnawałowe i maski również prezentowane na tej wystawie. **Do 11 stycznia 2026 r.** ♦

♦ Muzeum Woli w ramach 17. edycji festiwalu Warszawa w Budowie zaprasza na wystawę pt. *Starsze miasto* poświęconą doświadczeniu starzenia się i miejscu osób starszych w życiu miasta. Przez temat starości w kontekście miasta przeprowadzą odwiedzających artystki i artyści. Będzie można zobaczyć dzieła takich twórców jak: Władysław Hasior, Zbigniew Libera, Monika Mamzeta, Roman Opałka czy Agata Zbylut. Specjalnie na wystawę nowe prace przygotowali Janusz Byszewski i Mariusz Libel, Ewa Cieniak, Magda Mosiewicz, Franciszek Orłowski i Liliana Zeic.

♦ Tadeusz Skoczek, dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, oraz Leszek Ruszczyk, dyrektor Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, zapraszają na wystawę *Nihil Novi. 1505–1525. 520 rocznica uchwalenia konstytucji Nihil Novi*. Wystawa w pałacu Przebendowskich/Radziwiłłów, al. Solidarności 62, przygotowana przez radomskie muzeum, przybliży kontekst historyczny oraz znaczenie tego fundamentalnego aktu dla dziejów Polski. Wcześniej prezentowana była m.in. w Sejmie Rzeczypospolitej Polskiej.

♦ W warszawskich kinach Muranów, Kinoteka, Kinomuzeum (MSN) od 12 do 19 listopada będzie można oglądać filmy w ramach Festiwalu Pięciu Smaków. W programie znajdują się co najmniej 42 filmy pełnometrażowe, 30 z nich będzie prezentowanych także na festiwalowej platformie wideo.

♦ W Muzeum Wojska Polskiego otwarto wystawę ponad 50 dzieł Zdzisława Beksińskiego. Na ekspozycję *Beksiński na Cytadeli Warszawskiej*. *Nieznane oblicze mistrza* złożyły się obrazy, rysunki i zdjęcia, które zjechały z różnych muzeów w Polsce, wiele z nich jest po raz pierwszy prezentowane w Warszawie. **Do 31 stycznia 2026 r.** ♦

Pierwsza opera o Warszawie

Ewa Kielak-Ciemniewska

Najlepsze miasto świata. *Opera o Warszawie* została uznana za jedno z największych wydarzeń rozpoczętego sezonu. Prapremiera dzieła powstałego na zamówienie, która się odbyła 19 września 2025 r., wpisała się w program stołecznych obchodów 80-lecia rozpoczęcia odbudowy Warszawy po zniszczeniach wojennych.

Widownia spektaklu, na którym byłam, wykupiona została niemal w całości przez magazyn „Vogue”. Tego wieczoru w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej dominowała młodość – kolorowa, różnorodna i modnoelegancka (wszak byli to goście „Vogue’a”) – nie drugie, ale już trzecie pokolenie urodzonych po wojnie. Dla urodzonych i edukowanych w XXI wieku lata okupacji i powojenne to już tylko historia. Zapewne jedynie część tych młodych ludzi miała okazję dowiedzieć się czegoś więcej, niż niósł podręcznik, od dziadków, którzy jeszcze na własne oczy widzieli ruiny, a doświadczenia okupacyjne warszawiaków znali ze wspomnień swoich rodziców. I właśnie

do takiej młodej publiczności odwoływali się twórcy tego przedstawienia w wywiadach przedpremierowych. Odniosłam jednak wrażenie, iż publiczność tego wieczoru do przedstawienia odniosła się z pewną rezerwą.

Sceniczny kształt „Najlepszego miasta świata” godzin jest wielu pochwał. Twórcy tej opery wykreowali

monumentalne, multimedialne widowisko z zastosowaniem elektroniki, wideo, projekcji, efektów świetlnoscenograficznych i wszelkich możliwości techniki teatralnej TW-ON, z ponad setką artystów chóru i baletu w scenach zbiorowych. Największe uznanie budzi muzyka Cezarego Duchnowskiego – jej wieloaspektowe szerokie spektrum brzmieniowe łączące orkiestrę z waltorami dźwiękowymi elektroniki dało nadzwyczajne efekty, budujące emocje i dramaturgię całości dzieła scenicznego. Tym razem opowieści w żaden sposób niekorelującej z naszymi przyzwyczajeniami do tradycyjnych librett operowych. Libretto opery *Najlepsze miasto świata* oparte zostało na motywach książki Grzegorza Piątka o tym samym tytule z podtytułem *Warszawa w odbudowie 1944-1949*. Książki nie fabularnej, ale historycznej monografii. Zamierzenie nieomal karkołomne.

Bohaterką tej opery jest Warszawa. To bardzo dobitnie i przejmująco pokazane jest w pierwszej części. Od

Teatr Wielki – Opera Narodowa, K. Bielński



zburzenia miasta po powrót warszawiaków do ruin i ich wysiłki w utrzymaniu się przy życiu w tych nieludzkich warunkach. W drugiej części librecista Benjamin M. Bukowski wprowadza na plan pierwszy dwie bohaterki, postaci autentyczne – Helenę Syrkus – architektkę, przed wojną projektującą modernistyczne osiedla, m.in. WSM, zaangażowaną społecznie, po wojnie pracującą przy odbudowie Warszawy w BOS, oraz dziennikarkę Annę Louise Strong, Amerykankę, która uwierzyła w komunizm, podróżowała po Związku Radzieckim, a do Polski przybyła z Armią Czerwoną pod koniec wojny.

W rzeczywistości panie nigdy się nie spotkały. Na scenie odkrywają różne aspekty nowego powojennego świata. A więc z jednej strony spontaniczne zaangażowanie urbanistów i architektów, ale też mieszkańców miasta w budowanie nowego wspaniałego miasta marzeń, z drugiej – nadzór nad odbudową władz, narastający terror polityczny, biedę. Obecność tych bohaterek jak gdyby tłumaczył w jednym z wywiadów autor libretta wprowadzeniem przez kompozytora do partytury dwóch kobiecych sopranów. Joanna Freszel jako dziennikarka i Agata Zubel jako architektka są

znakomite, zwłaszcza Zubel pokazuje skalę swoich wspaniałych wokalnych możliwości, choć nie ma szansy wybronić tak wymyślonej przez librecistę bohaterki z jej trochę wydumany dylematem etycznym i wyrzutami sumienia za przedwojenne marzenia o zburzeniu niefunkcjonalnego miasta. Trochę to zgrzyta z wagą zamierzenia i emocjonalnym przesłaniem, niewolnym zresztą momentami od patosu. Ale warto przyznać, że scena z udziałem Chóru Dziecięcego ARTOS im. Wł. Skoraczewskiego i rysowaniem przez dziewczynkę domu rodzinnego, jaki zapamiętała, należy do najbardziej poruszających w całej operze.

Jak wiadomo, zniszczenie Warszawy i jej odbudowa zawsze były ważnymi tematami dla warszawiaków. Opera wzbudziła ogromne zainteresowanie. Szkoda, że jej pokazywanie jest tak rzadkie w zapowiadanych repertuarach TW-ON. Prosimy o więcej. 🍷

Cezary Duchnowski, *Najlepsze miasto świata*. *Opera o Warszawie*, opera w 16 scenach, libretto: Benjamin M. Bukowski, dyrygent: Bassem Akiki, reżyseria – Barbara Wiśniewska, scenografia – Natalia Kitamikado, choreografia – Maćko Prusak, koprodukcja – Sinfonia Varsovia Teatr Wielki – Opera Narodowa, prapremiera 19 września 2025 r.

Joanna Freszel jako dziennikarka i Agata Zubel jako architektka



Warszawa na nowo

Przyjęto, że odbudowa Warszawy rozpoczęła się wraz z utworzeniem Biura Odbudowy Stolicy 14 lutego 1945 roku i wydaniem majowego dekretu Krajowej Rady Narodowej o odbudowie m.st. Warszawy. Po osiemdziesięciu latach na wezwanie Rady Warszawy cały rok 2025 jest rokiem jubileuszowym. Instytucje kultury przygotowały na tę okazję wiele wydarzeń – konferencje, koncerty, spotkania autorskie, projekcje filmów, wystawy...

Dom Spotkań z Historią zaprasza na wystawę zdjęć pt. *Warszawa na nowo* dokumentujących odradzające się życie w powojennej stolicy. Wystawa składa się z kilkudziesięciu warszawskich fotografii z drugiej połowy lat 40. Ich autorami są młodzi fotoreporterzy z różnych



Święto Odrodzenia Polski, zabawa u zbiegu alei 3 Maja (obecnie Aleje Jerozolimskie) i ulicy Nowy Świat. Zrujnowane kamienice przy alei 3 Maja (obecnie skwer Stanisława Wisłockiego), 22 lipca 1947, fot. PAP/ Stanisław Dąbrowiecki



Zdjęcie wykonane z istniejącej wciąż kamienicy przy ulicy Grażyny 3. Przez wyrwę w murze widać ulicę Puławską i domy obok obecnego parku Morskie Oko, 1945, fot. PAP/Karol Szczeciński

agencji fotograficznych działających tuż po wojnie – Jerzy Baranowski, Stanisław Dąbrowiecki, Wojciech Kondracki, Jan Tyimiński, Stanisław Urbanowicz, Zdzisław Wdowiński, a także operatorzy Wiktor Janik i Karol Szczeciński. Niestety, nie przy wszystkich fotografiach zachowały się nazwiska autorów. Kuratorkami wystawy są **Anna Brzezińska i Katarzyna Madoń-Mitzner**. Zdjęcia pochodzą z archiwum Polskiej Agencji Prasowej, która wraz z Teatrem Wielkim – Operą Narodową jest partnerem projektu. Ekspozycja jest częścią programu BUDUJEMY NOWY DOM, przygotowanego przez DSH w ramach obchodów 80. rocznicy rozpoczęcia odbudowy stolicy. Autorem warszawianistycznych opisów do zdjęć jest **Ryszard Mączewski**, projekt wystawy stworzyła **Katarzyna Godyń-Skoczylas**, zaś autorem identyfikacji wizualnej wystawy jest **Kuba Maria Mazurkiewicz**. Po obejrzeniu prezentowanych zdjęć można w Księgarni XX wieku nabyć album. ●

Gdzie góralek sześć

Warszawskim ZOO przyszło na świat sześć góralek skalnych – trzy samice i trzy samce. To bardzo samodzielne zwierzęta, które już kilka godzin po narodzinach potrafią sprawnie poruszać się po skałkach, chować w zakamarkach i bronić swojego terytorium. Choć wyglądem przypominają gryzonie, góraliki skalne są blisko spokrewnione ze... słoniami. Świadczy o tym m.in. budowa stóp oraz uzębienie, które z wiekiem staje się ich skuteczną bronią. W naturze góraliki żyją w stadach w Azji i Afryce, nie kopią nor, ale chętnie korzystają z wykopanych przez inne zwierzęta. Prowadzą osiadły tryb życia i trochę przypominają kawię domową (do 2015 r. nazywaną świnką morską), są jednak od niej znacznie większe – dorosły osobnik mierzy 40–60 cm, ma niewielki ogon i krótkie uszy. Gratulujemy warszawskiemu ZOO przyrostu naturalnego, ponieważ swoją rodzinę o sześć maleństw powiększyły również surykatki. ●



Miejski Ogród Zoologiczny w Warszawie

Ocalić od zapomnienia

List otwarty do Prezydenta m.st. Warszawy Rafała Trzaskowskiego

Szanowny Panie Prezydencie,

właśnie minęła zupełnie niezauważona 85. rocznica pierwszego transportu warszawiaków do Auschwitz. Zgłaszam postulat, aby UROCZYŚCIE PRZYPOMINAĆ, ŻE TO TEŻ ROCZNICA PIERWSZEGO „SPOTKANIA” STOLICY Z KL AUSCHWITZ. Wywieziono ich 14 sierpnia 1940 r., w obozie byli od 15...

Jestem uparty. Jak ONI. Oni to władcy Warszawy. Kolejni. Nie reagują na apele, pisma, więc... Jestem uparty. Może „temat” przedrże się jednak przez sekretariaty oraz niepamięć historyczną i pan Rafał Trzaskowski zrobi wreszcie to, o czym zapominali dotychczasowi prezydenci stolicy.

Pierwszy transport warszawiaków do obozu cierpienia i kaźni! Prawnicy – bo okupant gromadnym aresztowaniem postanowił ukarać środowisko, które uznał za groźne. I samorządowcy, harcerze, duchowni, oficerowie – „wzięci z list”. I Ci z pierwszej w Warszawie masowej łapanki, Ci ze Skaryszewskiej, gdzie zatrzymanych w łapance zgromadzono, i Owi „z list” – z Pawiaka, a wielu wcześniej przeszło przez katownię na Szucha.

Warszawa miała być zastraszona! Obezwładniona represją i niejako uprzedzona, jaki będzie jej los, jeśli spróbuje stanąć do walki. Jednakże zbrodnica intencja nie dała się spleść z wolą miasta... Ono krwawiło, ale się nie poddało... A wielu z pierwszego transportu do KL zostało tam na zawsze...

Osobiście traktuję ten fragment sierpnia (1940) jako jeden z symboli. Walki, oporu i ofiary. A symbole powinny być trwale świeże. Także – przez przypominanie. Ale wcześniejsze apele – w sieci oraz na łamach – pozostawały bez reakcji, zapewne nie przechodziły nawet „przez sekretariaty” warszawsko-prezydenckie...

Zgłaszam też pretensję na adres IPN (ze stołecznym na czele), historyków różnych środowisk, że są jakoś mało aktywne w szukaniu szczegółów. Duża część dokumentów pewnie spłonęła z powstańczą Warszawą. Ci, którzy przeżyli KL i mogli być wykorzystani jako źródło, odeszli, wspomnienia pożółkły (np. na łamach „Palestry”), książki – owszem, są, ale historycznie dziurawe – jak pamięć. Sprawcy ślady zacierali, a myśmy – zapominając, im w tym pomagali.

Ten wpis ma podstawę wielu prób poszukiwań rodzinnych, m.in. w niemieckim archiwum w Arolsen, które ma – jak donosi – wielomilionowe zbiory. I oto ostatnia odpowiedź na pytanie o Tatę, prawnika, który był w pierwszym transporcie i... na wieczność został w KL Auschwitz. Odpowiedź: „Szanowny Panie Lewandowski, dziękujemy za przesłane zapytanie. W odpowiedzi na przesłany wniosek informujemy, że bazując na przedstawionych danych, przeprowadziliśmy wnikliwą kwerendę zasobów Arolsen Archives. Niestety, nie odnaleźliśmy żadnych informacji odnośnie wyżej wymienionej osoby. W związku z tym chcielibyśmy wyjaśnić, że zgromadzone w tutaj archiwum dokumenty są fragmentaryczne. Znaczna część dokumentów i akt zaginęła bądź też została celowo zniszczona pod koniec wojny. Możemy jedynie wskazać, że nazwisko Tadeusz Mikołaj Lewandowski pojawia się w książce *Pawiak Wieczne Gestapo Kronika 1939-1944* pod redakcją Reginy Domańskiej...”. I odesłanie do stron cytowanego z błędem dzieła (*Pawiak, więzienie Gestapo*)! Jest historyczne i faktycznie bezcenne, lecz spodziewałem się, iż niemiecka kwerenda opowie więcej. Liczyłem, że jeśli zniszczono ślady obozowe, zachowały się jednak jakieś akta gestapo – z listami „do zaarrestowania”, jakieś protokoły z Szucha, notatka z przesłuchań itp.

Polski adres zawiera więcej wiedzy niż sławny ośrodek niemiecki, więc dla przypomnienia WARSZAWIE zacytuje: „Z Pawiaka wywieziono 513 więźniów; Do przetransportowania ich na rampę kolejową przy ul. Żelaznej użyto siedmiu samochodów ciężarowych... W transporcie znaleźli się m.in. członkowie RKS „Skra”, szereg adwokatów, lekarzy, oficerów WP, działacze społecznych, politycznych, księży... Wraz z więźniami Pawiaka wywieziono 1153 mężczyzn schwytanych w łapankach ulicznych... Więźniowie przybyli do obozu 15 sierpnia i otrzymali numery obozowe 1513-1899 i 1901-3179”...

Panie Prezydencie Rafale, może wreszcie uda się STOLICY odświeżyć pamięć!

Z poważaniem
Andrzej Lewandowski



Na zdjęciach
Tadeusz Mikołaj
Lewandowski i jego
żona Halina

AdobeStock: Archiwum A. Lewandowskiego



Szlak orlich gniazd

Paweł Dunin-Wąsowicz

Paweł Dunin-Wąsowicz śledzi literackie relikty nadwiślańskich piwiarni i tamtejszej koegzystencji inteligencji z lumpenproletariatem

Od której strony zacząć? Pójść z biegiem Wisły czy pod prąd? „Z gmachu polonistyki schodziliśmy Obozną, przecinaliśmy – nomen omen – Browarną, by potem krótkim odcinkiem Tamki dotrzeć do Itaki” – tak do klasycznej *Odysei* nawiązując, wspominał na progu swojej czterdziestki Jarosław Klejnocki w autobiograficznej powieści z 2002 r. studenckie wyprawy nad rzekę. „To jest do jednej z pijalni piwa, które hojnie usadowiły się nad rzeką, na szerokim pasie zieleni oddzielającym dwie wiecznie huczące jezdnie Wisłostrady. Moja ekipa ruszała dalej, po pierwszym kufelku, ku następnej oazie, zaliczając

cały «szlak orlich gniazd» (pijalnie nazywały się odpowiednio Rybitwa, Mewa etc.) aż do baru Pod Rurą, który usadowił się w podcieniach Mostu Gdańskiego. Niekiedy eskapada kończyła się podobno aż na Kępie Potockiej, już na Żoliborzu” – snuł ten habilitowany później uczony, poeta, autor kryminałów i wieloletni dyrektor Muzeum Literatury. Dla odmiany wspominający swą młodość na przełomie lat 80. i 90., a debiutujący po pięćdziesiątce autor wydanej w zeszłym roku powieści *Wychowany na Marymoncie* Marcin Hawryszko rozpoczyna opis szlaku od północnego krańca – budki tuż na skraju Lasu Biełańskiego przy pętli Gwiazdista – i pisze tylko o tych

wzdłuż Kępy Potockiej, do mostu Gdańskiego od północy nie docierając. „Przez krótką chwilę w Rybitwie lub w Mewie spotykała się przy piwku młoda polska inteligencja z młodym polskim proletariatem i lumpenproletariatem” – określa w swej książce fenomen Klejnocki, który cytowaną książkę zatytułował wręcz *Jak nie zostałem menelem*. Przyjrzyjmy się, ile pozostało po szlaku śladów w prozie i poezji ostatniego półwiecza.

Esbeckie szaszłyki

Pisarz, który zasłynął jako znawca i piewca lumpenproletariatu – Marek Nowakowski (1935-2014) – w tekście *Szaszłykarnie* z trzeciego zbioru swoich *Powidoków* pt. *Warszawiak pilnie poszukiwany* z 1998 r. wspomina o tępiących budki z piwem kampaniach, które doprowadziły w latach 70. do oczyszczenia z nich centrum. Zastępowały je agencyjne placówki wymuszające od pragnących pokrzepienia się browarem obowiązkową „konsumpcję”, czyli zakup tytułowych szaszłyków albo kielbasy. Według autora powierzane były często byłym agentom bezpieczeństwa jako swoisty bonus za wierną służbę. O wyżywaniu się przez jednego z nich na kliencie poprzez odmowę sprzedania kolejnych piw Nowakowski pisał jeszcze w czasach PRL-u w jednym ze swoich opowiadań, pozostawiając dawną profesję złośliwego ajenta domysłowi czytelnika.

Wypchnięte z centrum piwiarnie skupiły się nad Wisłą – również na Pradze, gdzie bywał mieszkający na rogu Jagiellońskiej i Trasy W-Z Jerzy Andrzejewski (1909-1983), który relacjonował wizyty w nich w swym dzienniku drukowanym na bieżąco w tygodniku „Kultura” (pośmiertnie przedrukowane w zbiorach *Z dnia na dzień* i *Gra z cieniem*). Zapewne bywał i z Nowakowskim, bo autor *Popiołu* i *diamentu* opisywał wycieczkę z nim do pobliskiego zoo. Jednak właściwy „szlak orlich gniazd” znajdował się na lewym brzegu. Zaczniemy od Mewy na wysokości pomnika Syreny – niewątpliwie były też piwiarnie na południe od niej, nie uwieczniła ich jednak literatura.

Od Mewy do Rybitwy

Pisarzy często po latach zawodzi pamięć i mylą nazwy, tak jak w przypadku pierwszoosobowego narratora pierwszej powieści Andrzeja Stasiuka (ur. 1960) *Biały krak* z 1995 r., który wspominał: „jeśli to było lato, to prawdopodobnie ruszaliśmy Świętokrzyską, żeby [...] opuścić się Tamką nad Wisłę do Syrenki [chodzi o Mewę – przyp. PDW], odstać swoje, wypić po butelce i potem samym brzegiem, po betonowych płytach, do Albatrosa na kolejny kufel pomiędzy brudasami, łazikami, pomiędzy żołnierzami, wśród obiboków i żuli”.

Idąc „samym brzegiem”, Stasiuk pomija w naturalny sposób Rybitwę, która znajdowała się między ówczesnymi jezdniami Wisłostrady obok wylotu Lipowej – na



wysokości tablicy z kilometrażem rzeki – 513. Jak wynika z kontekstu bliskości Uniwersytetu, nie wymieniając jej nazwy, pierwszy pisał o Rybitwie autor najstarszych literackich świadectw szlaku Michał Łukaszewicz (1948-2007) w tytułowym opowiadaniu ze zbioru *Pieśń żarłocznej szarańczy*, wydanego w 1980 r. Jego narrator pije plenerowo alkohol z dawnym znajomym z akademika – poetą Pawłem – z którym rozmawia o literaturze, a potem wspominają dzieciństwo w piwiarni ze śmierzdzącymi kiełbaskami: „Żelazne blaty lepią się do rąk. Bardzo ordynarnie. Z blaszanego kubła wysypują się żółte, ciężkie od tłuszczu tacki. [...] Tu właśnie nasze miejsce, kolego! Tu, nie w Śródmieściu. Piliśmy spoglądając na rzekę”. Pożyczwszy pieniądze od znajomej na Uniwersytecie, kupują wino, by wypić je w ruinie garaży – wcześniej panoramy i teatru – w rotundzie przy Oboźnej. Następnie ponownie udają się do piwiarni nad rzekę, skąd muszą uciekać przed wyzywającymi ich od kurew i hipisów wyraźnie chętnymi do bójki bywalcami, którymi tak fascynował się poeta Paweł („Widzisz te blizny, sznyty, okaleczenia jak u niektórych ludów pierwotnych. Rozejrzyj się, dla mnie to ciekawsze od tych różowych twarzy ze Śródmieścia”).



Krzysztof Varga (ur. 1968) wspominał o Rybitwie w swej pierwszej powieści *Chłopaki nie płaczą* z 1995 r.: „na dziwnych zasadach współżyli ze sobą menele i studenci wydziałów humanistycznych w garniturach oblewający egzaminy”. Piotr Giedrowicz (ur. 1968) w powieści *Bessa~lala* z 2005 r. opisuje, jak do pamiętnej z czasów studenckich Rybitwy kierują się ku niej już po transformacji dawni koledzy Berti i Sebolo: „Rybitwa, słynąca z wyśmienitego halibuta i grzanego piwa, z jej cenami rzędu czterech złotych za sto gramów ryby i trzema złotymi za piwo, była dobrym rozwiązaniem. [...] Olewiński z wyraźną dezaprobatą przebiegł oczyma łuszczący się



◀ Bar zwany *U Araba* – oficjalnie *Kępa Potocka* ▶

napis «Kto nie pije, ten kapuje»”. Berti jest jednak zdziwiony skasowaniem ich przez prowadzącą lokal panią Halinkę – w rzeczywistości Teresę, którą później widywano w Pasiece przy Freta – aż na 50 zł: „Czyżbyśmy zjedli pół kilo halibuta?”.

Dwa rozdziały z *Rybitwą* w tytule znaleźć można w powieści autorstwa znanego komentatora politycznego Piotra Zaremby (ur. 1963) *Romans licealny* z 2009 r. Wiosną 1989 r. nad Wisłą inauguruje tam sezon z dawnym kumplem ze studiów młody nauczyciel – licealny polonista Paweł Zakrzewski. Pozdrowia ich znakiem victorii i słowami „czołem studenty!” niski menel w Rybitwie, obok której siedzą na pieńku obserwowani przez siedzących na trawie pijaczków („Zawsze można w ostateczności zejść z kuflami nad Wisłę. Ale nie ma potrzeby. Żyli tu przecież obok siebie zawsze”). Natomiast jego uczniowie, trzecioklasiści korzystający ze zwolnienia klasy w dzień matur pisemnych, rozpoczynają swe plenerowe piwne doświadczenia Pod Rurą przy moście Gdańskim („picie pod taką prawdziwą rurą oznaczało dorosłość”), biegają do tamtejszego „obskurnego kłopa”, by po dwóch kolejkach wyruszyć dalej „w kierunku Poniatoszczaka”. Zaliczają Mewę – „też zwykłą budę w okolicach Starego Miasta” (autorowi nie dopisywała po 20 latach pamięć – była tam nie Mewa, lecz Albatros), by dotarłszy do Rybitwy, wdać się w sprzeczkę z bufetową o niedolewanie piwa do końca, zakończoną pobiciem

P. Dunin-Wąsowicz

licealistów przez lokalnych meneli przypadkowo obłanych browarem.

Funkcjonujący u wylotu Mostowej, a raczej ulicy Bolesław Albatros cierpi wyraźnie na niedoreprezentowanie w literaturze, aczkolwiek Dawid Bieńkowski (ur. 1963) w powieści *Jest* z 2001 r. o punkowym koncercie w 1981 r. w Starej Prochowni pisze, że miarą jego głośności jest to, że słysząc go nawet w Albatrosie.

Syrena czy Syrenka

Bar z widokiem na rurę pod mostem kolejowym, którą płynie na lewy brzeg gorąca woda z żerańskiej elektrociepłowni, to co innego. Załapał się jeszcze na milicyjny kryminał z serii *Ewa wzywa 07* – nowelę Wojciecha Piotra Kwiatka (1951-2020) *Za żadne pieniądze* z 1987 r. Jego narrator, porucznik Rafał Ryski, który przed wstąpieniem do milicji studiował polonistykę na UW, prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa krytyka literackiego Pawła Niewczasa. Spotkawszy się w związku z tym ze skacowanym dawnym kolegą ze studiów Piotrem Olgierdem Ellmanem, na jego prośbę zatrzymuje auto zaraz po minięciu mostu Gdańskiego: „Wysiadł i nieco chwiejnym krokiem skierował się w stronę szklanego pawilonu z ogródkiem i parasolami, nad którymi dostrzegłem szyld – Bar «Syrenka»”. Choć Ryski kolejkę przy nim określa jako „niewąską”, nie mija więcej niż

pięć minut, gdy widzi Ellmana powracającego z sześcioma butelkami. Przyznaje kumplowi talent: „normalnie to ci czekający we kolejce chłopcy obiliby ci mordę”, Ellman zaś tłumaczył się kolejkowiczom tak: „ten pan, co siedzi za kierownicą, to porucznik, który mnie właśnie zjął i pozwolił tylko zaleczyć kaca na poczekaniu”.

Schyłek PRL-u zapisał Jacek Podsiadło (ur. 1964), z czasem jeden z czołowych poetów „brulionu”, w wierszu *Pijalnia piwa* z 1988 r. Pisząc, że w dniu wyborów do rad narodowych nie ma w sprzedaży napojów o zawartości alkoholu powyżej czterech i pół procent, stwierdza: „Dokonałem wyboru: pijalnia piwa «Syrena» przy Wsiostradzie była najbliższej. Alkoholicy wylegli na brzeg śmierzdzącej rzeki. Jest gorąco. Słońce stoi w zenicie jak ognisty fallus”. Zapewne ten sam bar miał na myśli także mieszkający przy cytadeli Piotr Bratkowski (1955-2021), rozpoczynając datowany na 1982 r. wiersz *Rzeczy, których już od dawna nie robię* ze swego najważniejszego zbioru *Nauka strzelania* z 1990 r. wersem: „pić z Pawłem piwo nad ciemnożółtą rzeką”.

A w ogóle to Syrena czy Syrenka? Jest i trzecie wyjście – we wspomnianym już *Białym kuku* Stasiuk pisze: „Blaszany barak nie miał żadnego szyldu. Mówiło się «za rurę»”. Wspomina, że piwiarnię odwiedzali robotnicy z FSO, niedobitki pierwszej zmiany: „Fabryka samochodów zabytkowych na drugim brzegu odżywiała

W *Białym kuku* Stasiuk pisze: „Blaszany barak nie miał żadnego szyldu. Mówiło się «za rurę»”





Bar „Pod Rurą” pojawia się także w powieści pt. *Kolysanka dla mordercy* z 2011 r. autorstwa profesora kulturoznawstwa uniwersytetu SWPS Mariusza Czubaja

się ich ciałami. [...] Przed podjęciem drogi powrotnej zbierali się właśnie tutaj. Ci, co szli na drugą szychotę, kradli tu ostatnie minuty. To byli prawdziwi mężczyźni. Ojciec Gąsiora, ojciec Małego, mój ojciec”.

Ponownie w kryminalnym kontekście bar Pod Rurą pojawia się w powieści autorstwa profesora kulturoznawstwa uniwersytetu SWPS Mariusza Czubaja (ur. 1969) pt. *Kolysanka dla mordercy* z 2011 r. Komisarze Maciejewski i Heinz spotykają się tam z Superszczurem albo Szrekiem, nazywanym królem kanałów, w sprawie zamordowanych kłoszardów – ten rozpoznaje tylko jednego z czterech okazanych na fotografiach. Heinz wspomina: „Jedna ze stacji pijackiej drogi krzyżowej, szlaku orlich gniazd [...]”. W studenckich czasach przesiadywał tam długie godziny, wysłuchując kibiców rozprawiających o wydarzeniach ostatniej kolejki ligowej. Jak w hipnotycznym transie wpatrywał się w gigantyczną zieloną rurę podwieszoną do mostu. A może, kilka razy zadał sobie takie pytanie w stanie upodlenia, to Gdański podwieszony był do rury?”. Heinz odnotowuje rowery przypięte przy wejściu: „Za jego czasów cyklisci tu nie bywali”.

Ciepło ubrani w chłodny dzień rowerzyści mijają narratora powieści Łukasza Gołębińskiego (ur. 1971) *Melanże z Żyletką*, z 2008 r., który udaje się tam, gdzie „przy moście Gdańskim od lat stoi blaszana buda z piwem, kielbaskami, kaszanką i telewizorem. Fajne miejsce, tyle że w budzie nakopcone i nigdy nie ma wolnego stolika. Można jednak wziąć piwo w plastikowym kubku

i pójść na trawę, cóż z tego, że mokrą i zimną, skoro nas cieszy dziś wiosna i to, że piątek. Puszczam kaczki i myślę o tych miesiącach z Żyletką”. Bywają tam też podobni narratorzy innych punkowych powieści tego autora: *Xenna moja miłość* z 2007 r. i *Disorder i ja* z 2009.

Arab czyli Afgańczyk

Bohatera tej ostatniej po wygranej w lotto znowu było stać, „żeby czasami pójść do knajpy – do Żagielka albo Araba na Kępie Potockiej”. Te same „bary nad kanałkiem”, następne na szlaku przypomina sobie inspektor Europolu Wiktor Wolski, bohater kryminału Nikodema Pałasza (ur. 1974) *Sam na sam ze śmiercią* z 2015 r., po sekretnym spotkaniu – dla uniknięcia podsłuchu – na pustych trybunach podupadającego stadionu RKS Marymont. Żagielek alias Żagiel znajduje się także w wyliczance Marcina Hawryszki, który o wiele więcej uwagi poświęca jednak lokalowi zwanemu powszechnie U Araba – oficjalnie Kępa Potocka – aczkolwiek zapamiętany w nazwie mąż dawnej agentki z czasów PRL-u w rzeczywistości był Afgańczykiem (ujawniła to ostatnio przewodnicząca komisji kultury rady dzielnicy Żoliborz Donata Rapacka podczas poświęconego „kanałkowi” wiosennego spotkania w forcie Sokolnickiego). Bohater powieści *Wychowany na Marymoncie* Artur kilkakrotnie obronił niegdyś U Araba „nieprzytomne od pobicia ofiary przed wrzuceniem ich do kanałku”. Początkowo agresja objawiała się pod wpływem alkoholu, z czasem także sterydów i narkotyków.

Później „sama piwiarnia ewoluowała w przyjazne miejsce przeznaczone do rodzinnego biesiadowania, lecz jej ściany, ziemia i drzewa wokół pamiętają ten lokal jako spelunę, w której działały się dantejskie sceny”. W wierszu *Żoliborz – pięćdziesiąty drugi równoleżnik*, drukowanym w antologii *Ż jak Żoliborz* z 2012 r., zbierającej plony lokalnego konkursu na wiersze o dzielnicy, Joanna Waliszewska (rzeźbiarka, matka malarki Aleksandry) pisze:

Zrób sobie nocną wycieczkę nad «kanałek» [...] od Araba wyjdą ostatni podpici dresiarze.

Jaskółka czy Joasia

Przed urządzeniem ronda przy skrzyżowaniu Potockiej i Gwiaździstej do początku lat 90. działała obok niego kolejna piwiarnia. Porucznik Michał Mazurek z żoliborskiej komendy dzielnicowej milicji w kryminale Alberta Wojta (pseudonim literacki lokalnego prokuratora) pt. *Szafirowe kolczyki* z 1988 r. prowadzi śledztwo w sprawie rabunku biżuterii i zabójstwa właścicielki wili przy Dygańskiego. Na Kępie Potockiej przygląda się piwoszom z samochodu zaparkowanego 50 m od lokalu: „Niewielki pawilonik, a może raczej kiosk z piwem zwany Jaskółką, stał u zbiegu Gwiaździstej i Potockiej. Tłumek amatorów «małego jasnego» obsiadł żelazne stoliczki i niski murek z białej cegły. Mniej liczni woleli rozsiąść się wprost na trawie, nad pobliskim kanałkiem”. Po dłuższym oczekiwaniu widzi, jak do podejrzanego Lebiody dołącza znany paser Bieliński.

Wojt podawał nazwę funkcjonującej wówczas piwiarni, ale dziś Hawryszko w *Wychowanym na Marymoncie* uparcie nazywa ten od dawna nieistniejący bar Joasią (Artur miał tam pokonać w siłowaniu się na rękę szefa gitów, którzy rozwalili parę lat wcześniej perkusję jego punkowej kapeli), nazwę Jaskółka zachowując dla ostatniego – a dla niego pierwszego – na szlaku, znajdującego się na północ od Podleśnej, „przy pętli autobusowej, na początku Łachy Potockiej, znanej powszechnie jako kanałek. Piwiarnia nazywała się Jaskółka, ale dla miejscowej młodzieży była to po prostu Pętelka”. Hawryszko pisze: „Można powiedzieć, że te piwiarnie w pewnym sensie wyznaczały terytorium, które marymoncka młodzież uważała za swoje. Szczególnie Joasia i U Araba pełniły takie funkcje mateczników”.

Stażysta w dziale miejskim codziennej gazety z powieści wspomnianego już przy okazji Rybitwy Michała Łukaszewicza *Małecki*, wydanej w 1986 r., w pierwszej połowie lat 70. odbywa spacer po dawnym przedmiejskim Marymoncie w czasach jego rozbiórki i rozpoczęcia budowy blokowiska Ruda. Ale nie wiadomo, czy dociera do Joasi czy Jaskółki – a tym bardziej, która piwiarnia była którą: „Był szczęśliwy. Zaszedł do małego pawilonu przy ulicy Gwiaździstej, stanął spokojnie w kolejce, słuchał, jak skwierczy piekąc się na rożnie kielbasa, i w skrytości ducha zalewał się łzami”.

Też możemy zapłakać – Rybitwa i Albatros zamknęły się w 2005 r. jako ostatnie „ptasie” gniazda, nie wytrzymując nagle, kilkakrotnej podwyżki czynszu. Kończący szlak pawilon przy Gwiaździstej widać ostatni raz na zdjęciach satelitarnych z 2016 r., wykonanych już po przeniesieniu pętli o 100 m na północ. Przetrwwały tylko rozbudowane U Araba z eleganckim grillem oraz Pod Rurą – obecnie od 10 lat jako Wild Beef z burgerami

Rowery przy barze „Pod Rurą”



i kanapkami z pastrami, kuszący rowerzystów czeskim piwem o obniżonym procentażu. Na nowych bulwarach Powiśla zamożniejsi zamawiają drogie piwo na barkach, biedniejsi licealiści sączą na nielegalu cztery razy tańszy browar z puszek kupionych w sklepie, jak w piosence Maty Schodki. 🍷

Na rynku pojawiła się książka Andrzeja Rogińskiego pt. *Tajemnice Mokotowa*. Składają się na nią 34 rozdziały, pogrupowane w części: *II Rzeczpospolita; Armia Krajowa – Powstanie Warszawskie; Obiekty; Wydarzenia; Kultura; Osiedla mieszkaniowe; Varia*. Treści osadzone są w głównej mierze w XX w., aczkolwiek nie brak odniesień do czasów wcześniejszych i XXI stulecia. Towarzyszą im ilustracje, w tym unikatowe. Wierność prawdzie historycznej opiera się na blisko 180 źródłach bibliograficznych oraz wypowiedziach świadków. Poniżej prezentujemy kilka fragmentów mokotowskich ciekawostek zawartych w książce.

Mokotowskie ciekawostki

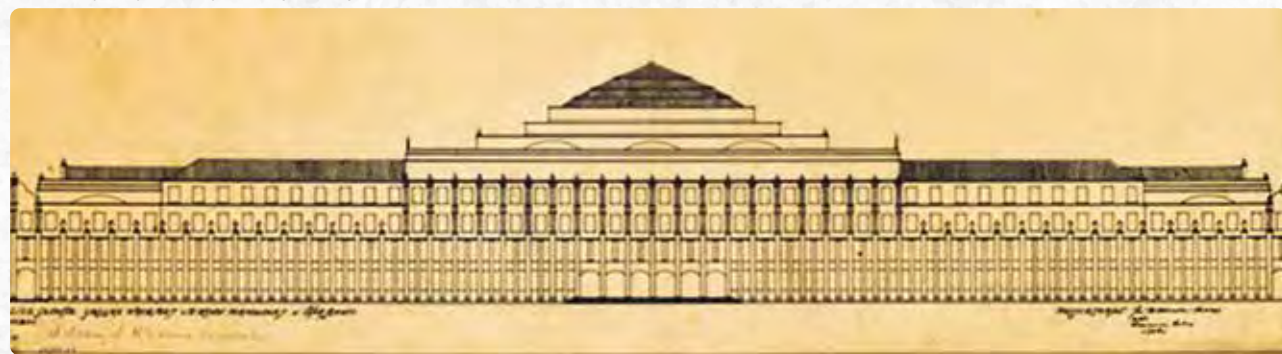
Andrzej Rogiński

SGH

Plac, który 3 grudnia 1923 r. przeznaczono na potrzeby Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie przez Okręgową Dyрекję Robót Publicznych, był wcześniej częścią dawnego obozu letniego wojsk rosyjskich. Dochodziły do niego wodociąg i kanalizacja oraz boczna kolejki grójeckiej. Z pobliskiego lotniska na Polu Mokotowskim można było doprowadzić szeroki tor dla transportu materiałów budowlanych. Według planu regulacyjnego miasta, który współcześnie nazwalibyśmy planem zagospodarowania przestrzennego, budynek miał być usytuowany frontem do projektowanej głównej arterii N-S, dzisiaj alei Niepodległości, od południa ograniczony ulicą Rakowiecką, a od północy projektowaną ulicą Batorego.

Architekt Jan Koszczyc-Witkiewicz zamieszkał na terenie budowy i kierował realizacją gmachów A i B. Roboty ziemne i przygotowawcze budynku A rozpoczęto 15 listopada 1924 r. Kamień węgielny poświęcił 14 czerwca 1925 r. ks. Karol Bliziński, proboszcz parafii św. Michała na Mokotowie. Odbiór budynku nastąpił 24 listopada 1926 r., ale wykłady dla studentów rozpoczęły się już

Pierwotny projekt budynku G głównego SGH



1 września 1926 r. Po upadku Powstania Warszawskiego Niemcy zdewastowali i spalili budynek A.

Kanały

5 sierpnia 1944 r. do sztabu ppłk. Stanisława Kamińskiego „Daniela”, dowódcy pułku AK „Baszta” operującego na obszarze Mokotowa, zgłosił się inż. Aleksander Chrzanowski. Oświadczył, że istnieje możliwość przedostania się kanałami z Mokotowa do Śródmieścia. Został doradcą technicznym formującej się kompanii saperów. Przedostał się na Sadybę, gdzie od inż. Olgierda Przewłockiego otrzymał komplet planów sieci z 1936 r. Po analizie inż. Aleksander Chrzanowski doszedł do wniosku, że najodpowiedniejszą trasą przedostania się do Śródmieścia będzie burzowiec mokotowski „M”, o płaskim dnie i wysokości 2 m. Jego włązy miały mocne zamknięcia na śruby nietypowe dla kanalizacji. Utrudniało to Niemcom rozeznanie, do jakich urządzeń prowadzą.



Sieć kanałów, rys. O. Hryniewicz

Podziemna trasa wybrana przez inż. Chrzanowskiego burzowcem „M” prowadziła od Puławskiej pod ulicą Dworkową, Łazienkami, a następnie pod ulicą Wronskiego do skrzyżowania z Górnośląską. Stamtąd w górę kanałem pod ulicą Piusa XI do kolektora „C” biegnącego pod Alejami Ujazdowskimi. Patrol Jana Godlewskiego „Stemira” przebył tę trasę 9 sierpnia w ciągu sześciu godzin. Przy wejściu do burzowca i przy wyjściu z niego zainstalowano liny, aby uchronić przechodzących przed poślizgnięciem się.

Matejko

Pierwszy raz Matejko przyjechał do Warszawy 24 września 1877 r. Tego dnia wieczorem na Dworzec Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej u zbiegu Alej Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej przyjechał pociąg z Mistrzem. Witwały go tłumy, wśród nich Henryk Siemiradzki (*Pochodnie Nerona*, kurtyny teatrów Słowackiego w Krakowie i Wielkiego we Lwowie) i Ludwik Jenike (redaktor „Tygodnika Ilustrowanego”). Kiedy Matejko wsiadał do powozu przed dworcem, rozentuzjasmowani młodzi warszawiacy wypręgli konie i ciągnęli powóz aż do Hotelu Europejskiego. 30 września w resursie kupieckiej „gro- no obywatelstwa oraz inteligencji wyprawilo mistrzowi składkową biesiadę”. W obiedzie uczestniczyły 273 osoby. W imieniu Towarzystwa Sztuk Pięknych głos zabrał Wojciech Gerson. Toast wzniósł także Henryk Struve, profesor Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego.

Wielu krakowian nie mogło darować prof. Marianowi Koniecznemu autorstwa pomnika Lenina w Nowej Hucie. Chciał ofiarować Krakowowi pomnik Matejki,



Makieta pomnika Matejki

ale władze miasta się nie zgodziły. Artysta trafił do Jana Rutkiewicza, burmistrza Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy. Zaproponował usytuowanie pomnika przy ulicy Matejki, która biegnie od zabudowań sejmu do Ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie. Ale Jan Rutkiewicz się nie zgodził.

Dopiero Waldemar Siemiński, przewodniczący Rady Dzielnicy Mokotów, zaakceptował lokalizację pomnika Matejki przy ulicy Puławskiej. Akt erekcyjny wmurowano 28 grudnia 1993 r., a więc w roku setnej rocznicy śmierci Jana Matejki. Pomnik stanął na cokole 6 stycznia 1994 r., a uroczyste odsłonięcie odbyło się 3 maja 1994 r. Obiekt ważył ponad półtorej tony. Odlany został z brązu i sztucznie spatinowany w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych. To była druga wizyta Matejki w Warszawie. Trzy lata później do pomnika został „doklejony” Stańczyk. Ale z tej okazji nie było już uroczystości.

Władcy Rosji i Francji na Mokotowie

Pod koniec września 1610 r. wojska polskie wkroczyły do Moskwy, a 13 czerwca 1611 r. zdobyły Smoleńsk. Już 29 października 1611 r. miał miejsce triumfalny przejazd hetmana polnego koronnego Stanisława Żółkiewskiego przez ulice stolicy. Hołd przed królem polskim Zygmuntem III Wazą złożyli były car Wasyl IV Szujski oraz jego bracia Iwan i Dymitr. Po tej ceremonii więz- niom zgolono głowy, a następnie przewieziono ich do strzeżonego dworu kupca Jerzego Burbacha na Moko- towie. W grudniu 1611 r. dwór został strawiony przez

pożar. Szujscy wyszli z niego bez szwanku. Zostali przewiezieni do Gostynina. Cerkiew prawosławna twierdziła, że był to zamach zorganizowany przez jezuitów. Prawdopodobnie na fundamentach dworu Burbacha wybudowano pałac Szustra. Być może nazwa ulicy Dworkowej wywodzi się od tego dworu.

W 1805 r. w Domku Mauretańskim zamieszkał następca tronu i przyszły król Francji Ludwik XVIII z żoną Marią Józefiną. Książęca para przebywała na banicji – uciekała przed rewolucją francuską i Napoleonem.

Kotwica

Eugeniusz Ajewski „Kotwa” był plutonowym podchorążym, zastępcą dowódcy kompanii 02 (grupa Withala) batalionu Olza pułku AK Baszta. Walczył w Powstaniu Warszawskim, został odznaczony Orderem Virtuti Militari. To jego pomysłem było, by na wzniesieniu zwanym od 2004 r. Kopcem Powstania Warszawskiego postawić pomnik w formie kotwicy, a więc znaku Polski Walczącej. Sam zaprojektował pomnik i zorganizował jego postawienie. Zrobił to nielegalnie, bez pozwolenia władz architektonicznych. Postawił wszystkich przed faktem dokonanym. Kotwica ustawiona została na dwóch stalowych słupach jako obiekt tymczasowy. Była bardzo dobrze widoczna, miała wysokość 8 m, stała na 45-metrowej wysokości Kopcu. Po kilku latach pomnik odnowiono i wykonano betonowy cokół.

Poprzedni wygląd pomnika Polski Walczącej



Budowa osiedla Służew nad Dolinką w systemie ramy H

Kotwica PW na Kopcu miała być zniszczona i przeznaczona na złom. W tej sprawie do Marcina Świąckiego, prezydenta Warszawy w latach 1994–1999, zwróciła się grupa powstańców wraz z Eugeniuszem Ajewskim. Przyszli z alarmem, ponieważ główny architekt Warszawy wydał nakaz demontażu Kotwicy jako samowolki budowlanej. Prezydent nie dopuścił do demontażu. W ciągu kilku lat przy pomocy władz Mokotowa i firmy Faelbet pomnik został odnowiony, a Kopiec uporządkowany.

Nocą z 2 na 3 maja 1949 r. Eugeniusz Ajewski wszedł na ruinę Prudentialu przy placu Wareckim, dziś placu Powstańców Warszawy, i zawiesił białą-czerwoną flagę w miejsce czerwonej. Następnie czarną farbą wymalował na gzymsie budynku ze wszystkich czterech stron napisy: NIECH ŻYJE 3 MAJA NIECH ŻYJE POLSKA oraz znak Polski Walczącej – kotwicę. Napisy były widoczne przez kilka lat.

Rama H

Budowa osiedla Służew nad Doliną rozpoczęła się w 1972 r. Inwestorem była SM „Mokotów”. Autorami projektu byli: architekci Janusz Nowak, Piotr Sembrat, Jerzy Kuźmienko, technik budowlany Jerzy Leszczyński; konstrukcja: dr inż. Tadeusz Perzyński i inż. Władysław Bryndza-Nacki. Zastosowali oni, jako jedni z pierwszych w Polsce, nową konstrukcję budynku zwaną ramą H. Nazwa pochodzi od kształtu tej konstrukcji – rozciągniętej w poziomie litery H. Składa się ona z prefabrykowanych słupów i belek żelbetowych. Na słupach i poziomych belkach można położyć płyty

stropowe. Brak ścian nośnych stanowi dość dużą zaletę, dzięki temu można aranżować lokale wedle własnych potrzeb. Konstrukcję nośną budynku wypełnia się ceglami lub pustakami. Dzięki zastosowaniu ramy H możliwe stało się przyspieszenie procesu budowy i uzyskanie większych powierzchni mieszkań od standardowych, bez tzw. ślepych kuchni.

Srebrniki pozytywnie wydane

Instytut Mokotowski Moralnej Poprawy Dzieci funkcjonował podczas okupacji niemieckiej. W czerwcu 1942 r. kierownik instytutu Władysław Sala otrzymał zgodę na zatrudnienie w przyzakładowej farmie Ksawerów 20 osób oraz uzyskał przepustkę do getta. Codziennie przewoził kilkudziesięciu ludzi z getta. Formalnie kwitował odbiór tylko 20 i tylu odwoził. Za każdego oficjalnie niezarejestrowanego płacił tzw. srebrnikami Piłsudskiego.

Srebrna moneta z podobizną Piłsudskiego o nominalnej wartości 10 zł dzisiaj, tj. w marcu 2025 r., ma wartość numizmatyczną wahającą się od 164 do 449 zł w zależności od roku wybicia. Do getta wjeżdżało 20 osób, a wyjeżdżało 40, większej liczby osób konna platforma nie mogła pomieścić. Akcja trwała 75 dni. Żydzi byli następnie lokowani w kryjówkach. W akcji tej z narażeniem życia uczestniczyli: Władysław Sala, ogrodnik Karol Skowroński, fernal Ludwik Pawłowski, dozorca Włodzimierz Żaruk. Do uratowanych miał „dołączyć Janusz Korczak, ale w ostatniej chwili zrezygnował, bo nie miał pewności, czy [uratuje się] razem ze wszystkimi jego wychowankami” – wspomniał Sala, który został wyróżniony medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata i tytułem Honorowego Obywatela Izraela.

Ekskluzywne kamienice Wedla Puławska 26 i 26A



Archiwum, A. Rogiński



Tu była willa Starzyńskiego

Willa Starzyńskiego

18 lutego 1935 r. „Kurier Warszawski” doniósł, że padający bez przerwy deszcz oraz gwałtownie topniejący śnieg zalały ulice pozbawione kanalizacji. Woda zalała m.in. dom, w którym mieszkał prezydent miasta. 16 marca 1945 r. zapadł wyrok na willę przy ul. Szustra 72. Inżynier Wiśniewski z Biura Odbudowy Stolicy stwierdził brak jednej ściany, strop i dach zniszczone. Odnotował, że „nie nadaje się do odbudowy”, „do rozbiórki na gruz”. Ostatecznie willa została odbudowana.

Lex E. Wedel

Emil Wedel, ojciec Jana, kupił tereny w obrębie dzisiejszych ulic: Puławska, Narbutta, Sandomierska i Madalińskiego. Były to naonczas tereny pozawarszawskie, bez infrastruktury technicznej, a więc tanie. Kiedy ruszyła budowa domów, w narożniku ulic Puławskiej i Madalińskiego znajdował się spory staw. Ulica Madalińskiego, wcześniej zwana Grodzką, łączyła się z Puławską wąską dróżką, łukiem okalającą staw. Aby poprowadzić tam jezdnię, trzeba było zasypać staw – czego zażądały władze miasta. Strony udały się do sądu, miasto zapłaciło za grunt pod ulicę, a staw zasypało wspólnie. Jan Wedel umiał się targować. Świetnie prowadzony biznes dawał znaczące zyski, które król czekolady lokował w nieruchomościach. Władze państwa wprowadziły program, którego celem było zwiększenie liczby budynków mieszkalnych. Koszt nowo wybudowanych domów można było odpisać od dochodu, ponadto domy te zwolnione były z podatku na 10–15 lat. Oplacało się budować jak najbardziej luksusowe kamienice, by więcej zarobić na wynajmie. Wedel – jak wówczas niektórzy mówili – lobbował w sejmie za przepisami sprzyjającymi luksusowemu budownictwu, które nazywano Lex E. Wedel. 🍷



Komiksowe niesamowitości

Seria Wydział VII o specjalnej jednostce PRL-owskiej Służby Bezpieczeństwa doszła już do 18 zeszytowych odcinków rysowanych przez różnych artystów do scenariuszy Tomasza Kontnego, gdy przyszedł czas na grubszy, 80-stronicowy album u nowego wydawcy. Akcja Medium, gdzie Cyganka Helena i boginka Kalina stają wobec plagi opętanych i upiornych objawień, została umieszczona w Warszawie końca lat 60. Rzecz wpisuje się w modny trend nawiązań do słowiańskiej mitologii, z której pochodzące siły mają konkurować niejako z esbecją. Autorzy skupiają się wyraźnie na postaciach, ich strojach i mimice z pewnym przechylem w stronę ekspresjonizmu w smakowitych rysunkach Antoniego Serkowskiego – gdyby nie ledwie rozpoznawalne na dwóch dosłownie kadrach Hala Mirowska i Grand Hotel, można by pomyśleć, że jesteśmy w dowolnym mieście, a nie w stolicy Polski Ludowej. Olbrzymia większość plansz rozgrywa się we wnętrzach albo w ciemnościach krzaczorów Puszczy Kampinoskiej, dokąd zawozi dziewczyny starą trójreflektorową tatrą lokaj Szaweł. Choć z opowieści dowiadujemy się, że oryginalne niesamowitości mają swoje źródła w tragedii z Powstania Warszawskiego i powiązane są z historią oddziału małałatów przebijającego się do lasu z Żoliborza, nie wykorzystano tej okazji do graficznej retrospekcji. Skądinąd ciekawe, kiedy któryś z wydawców szarpnie się wreszcie na wyróżnienie w druku buzujących fantastycznych elementów dodatkową farbą metaliczną lub fluorescencyjną – Medium aż się o to prosi. ●



Tomasz Kontny
(scenariusz),
Antoni Serkowski
(rysunki),
Medium,
wyd. Kultura Gniewu,
Warszawa 2025

Tobiasz Piątkowski
(scenariusz),
Przemysław Kłosin,
Marek Oleksicki,
Wiesław Skupniewicz
(rysunki),
*Pałac wszystkich
przyszłości 2*,
wyd. Egmont Polska
oraz
Pałac Saski Sp. z o.o.,
Warszawa 2025



Drugi tom *Pałacu wszystkich przyszłości* to natomiast trzy 14-planszowe dalsze ciągi trzech historii alternatywnych scenarzysty Tobiasza Piątkowskiego realizowanych przez trzech rysowników, podczepione pod długoletnią ministerialną dotację chyba jeszcze poprzedniej ekipy rządowej, bo intensywnie promującej komiksem odbudowę Pałacu Saskiego. Tym razem zabytek ten się pojawia na obrazkach, w odróżnieniu od kuriozalnego względem spełniania misji zesłorocznego pierwszego albumu, gdzie go raczej nie było. Opowieści łączy wątek cudownego wynalazku. Na tle współczesnej produkcji komiksowej wyróżniają się pełne ciepła, spod widocznie ludzkiej ręki wychodzące twarze i kamienna postać „kontrybutora” w osadzonej w późnym PRL-u historii rysowanej przez Przemysława Kłosina (przywodzą na myśl jugo-francuską gwiazdę gatunku Enkiego Bilala w jego wczesnym pracach). Komputerowość graficzna opowieści dwóch pozostałych plastyków – o superbohaterze z mocarstwowej Polski z lat 40. oraz romantycznych XIX-wiecznych upiornych z wątkiem wieszczki Deotymy – jest zbyt podobna do kanciastej komputerowości aż za wielu innych twórców. Z kolei niezbyt przekonują próby rozkładów kompozycji i u Kłosina, i u Skupniewicza, to znaczy odzwierciedlenie głębi oraz perspektywy na większych planszach. Ale może intencją artystów było właśnie wprowadzenie zaburzeń postrzegania przestrzeni u czytelników? ●

[PDW]



Nie żyję przeszłością

Z Grażyną Barszczewską rozmawia Rafał Dajbor

Jacek Poremba

Urodziła się pani w Warszawie w dwa lata po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Tak się złożyło, sporo czasu minęło... Urodziłam się w dużym piętrowym domu zbudowanym wiele lat przed wojną, przy ulicy Modlińskiej. W domu, który po wojnie przygarnął resztę naszej okaleczonej rodziny, babcie, ciocie, kuzynów. Było ludno i gwaro. No cóż, nie ma już domu na Żeraniu, z którego warszawską ciuchcią jeździłam do przedszkola. Przestronne podwórza, ogrody, łąki, przez które biegaliśmy nad Wisłę, zmieniły się w osiedla wysokich domów.

Pani najwcześniejszy zapamiętany z dzieciństwa widok Warszawy to...

Obrazy mojego wczesnego dzieciństwa to jakby prze-rażająca teatralna scenografia. Zapisały się w mojej pamięci na zawsze. Zawieszone w powietrzu sakralne fragmenty zburzonego kościoła, szkielet rozciętego w połowie okazałego niegdyś gmachu, wypalone ruiny... Fasada naszego domu także podziurawiona była kulami. Ale pamiętam też nowo powstały Pałac Kultury i Nauki oraz huczne otwarcie mostu Śląsko-Dąbrowskiego, po którym paradowaliśmy z kolorowymi kwiatami z krepiny. Prawobrzeżna Warszawa była moją małą ojczyzną dzieciństwa. Żerań, potem Grochów, liceum, szkoła muzyczna na Pradze, Bazar Różyckiego, gdzie kupowało się i flaki, i ciuchy. Po lewej stronie Wisły zadomowiłam się dopiero po studiach w Krakowie.

Właśnie – dlaczego w Krakowie? Dlaczego rodowita warszawianka zdecydowała się studiować aktorstwo w szkole krakowskiej?

Hmm... to chyba nie ja zdecydowałam, lecz... los? A może siła mojej determinacji, by po porażce w warszawskiej szkole teatralnej, z której zostałam relegowana po pierwszym roku studiów, spróbować sprawdzić się w Krakowie? Nie rozdzielając włosa na czworo, powtórzę tylko to, o czym wiele razy mówiłam – tej życiowej porażce, która mnie przecież boleśnie dotknęła, bardzo wiele zawdzięczam. Ta przegrana, ta klęska zbudowała w rezultacie mój artystyczny zyciorys.

Zdumiewa mnie fakt, że warszawscy pedagodzy nie poznali się na pani talencie, bo z tego, co wiem, studia w Krakowie były dla pani czasem studenckich sukcesów...

...będących efektem ciężkiej pracy, co tu dużo mówić. Rzeczywiście, już na drugim roku studiów otrzymałam stypendium naukowe, na trzecim roku zagrałam epizod u Jerzego Jarockiego w Teatrze Starym, zdobyłam tytuł najmilszej studentki PWST w Krakowie (tak, w tamtych czasach były takie „wybory”), a na czwartym roku studiów...

Wiem, prawdziwy debiut teatralny, w dodatku rolamarzenie każdej aktorki: Nina Zariieczna w *Czajce Cechowa* w reżyserii Ireny Byrskiej w Teatrze Ludowym w Krakowie-Nowej Hucie.

Dopisywało mi szczęście. Ważny element w tej profesji! Te bardzo intensywne krakowskie lata zrobiły ze mnie trochę krakowiankę. Mam na plantach krakowskich nawet swój pomnik!

???

To oczywiście pomnik mickiewiczowskiej Grażyny! Pod tym pomnikiem – to był ładny żart realizatora! – wiele lat później w telewizyjnym widowisku, którego byłam bohaterką, zaśpiewałam jedną z piosenek.

Po udanym debiucie została pani na dwa lata w Teatrze Ludowym w Krakowie-Nowej Hucie, gdzie praktycznie nie schodziła pani ze sceny, a następnie wróciła do Warszawy. Czy powrót do stolicy był planem od początku aktorskiej pracy?

Nie planowałam zmiany. W Krakowie było mi bardzo dobrze. Grałam duże, ważne role, debiutowałam w filmie, w telewizji. Moje koleżanki, koledzy z warszawskiego roku zazdrościli mi takiego „urobku”.

Skoro wspomniała pani o debiucie w filmie, który przypadł na pani krakowskie czasy, to powiedzmy od razu kilka słów na ten temat, bo ów debiut to sławny film *Trzecia część nocy* w reżyserii „wielkiego szaleńca” kina Andrzeja Żuławskiego, który zrobił potem międzynarodową karierę jako wybitny reżyser. Jaki był wtedy, u początku swojej artystycznej drogi?

W *Trzeciej części nocy* zagrałam niewielką rolę, którą Żuławski planował rozszerzyć. Ja jednak byłam tuż przed kolejną premierą w teatrze, nie mogłam więc czasu spędzić na planie. Z podobnych powodów musiałam z wielkim żalem odmówić udziału w *Sanatorium pod klepsydrą* Wojciecha Jerzego Hasa. A wracając do Żuławskiego, był wobec mnie, speszonej i nieśmiałej debutantki (w szkole teatralnej nie było żadnych zajęć uczących pracy z kamerą) bardzo przyjazny. Pamiętam jego cierpliwe i pomocne uwagi wobec mojej tremy i nieporadności.

Wróćmy tymczasem do teatru. Choć – jak sama pani mówi – nie planowała zmiany miasta, to jednak znalazła pani angaż w Teatrze Ateneum w Warszawie, czyli na scenie cieszącej się wtedy wielką renomą. Jak to się stało?

Przypadek. Szczęśliwy. Dyrektor Janusz Warmiński będąc w Krakowie zobaczył mnie w *Czechowie* i zaproponował angaż. Myślę, że główną kartą przetargową tego kontraktu były moje bardzo młodzieńcze warunki fizyczne. Znalazłam się w gronie wielkich gwiazd, takich jak Aleksandra Śląska, Jan Świdorski, Hanna



Grażyna Barszczewska

Skarżanka, Ignacy Machowski, Marian Kociniak, Roman Wilhelmi. Stali się oni moimi kolegami. Dziesięć owocnych lat spędziłam w Ateneum i, jak pan wie, do tej pory współpracuję z tą sceną.

Znów musimy zrobić dygresję. Skoro bowiem padło nazwisko Romana Wilhelmi, to nie mogę nie zapytać o *Karierę Nikodema Dyźmy*, nieustannie powtarzaną w różnych kanałach TVP – w kontekście warszawianistycznym. Akcja tego serialu dzieje się w znaczącej części w Warszawie. Czy także w Warszawie powstały zdjęcia?

Sporo planów filmowych do *Kariery*... realizowaliśmy w Warszawie. Sceny na wyścigach konnych oczywiście na Służewcu, niektóre ujęcia w Alejach Ujazdowskich, tuż obok SPATiF-u, czy w Wytwórni Filmowej przy Chełmskiej. Większość moich scen – jako Niny Poni-mirskiej – kręciliśmy w pałacu w Zaborowie i jego otoczeniu. To Zaborów „zagrał” moje Koborowo, niecznie przejęte przez Kunickiego...

...czyli pani filmowego męża, którego zagrał Bronisław Pawlik. W fabule był fatalnym mężem, hochsztaplerem, który trzymał grana przez panią Ninę przy sobie z pomocą finansowego szantażu. A jaki był na planie Bronisław Pawlik? Jak się pani z nim pracowało?

Nie miałam żadnych konfliktów z Bronkiem. To był niesamowicie wszechstronny, wielkiego talentu aktor! Od estrady i kabaretu poprzez komedie aż po dramatyczne role w filmach i na scenie. Jeszcze jako licealistka chodziłam do teatru i oglądałam go na scenie, między innymi w Teatrze Polskim, w którym do dziś sama pracuję. Przed *Karierą Nikodema Dyźmy* spotykałam się z Bronkiem Pawlikiem kilkakrotnie, w Teatrze Telewizji i Teatrze Polskiego Radia. Praca z nim była szalenie profesjonalna, choć wymagająca czasem dużej cierpliwości... Był raptusem. Ale utalentowanym – wiele wybaczam. W *Karierze*... grał także inny mój serdeczny kolega z Ateneum – Lolek Pietraszak, którego pożegnaliśmy nie tak dawno.

Dodajmy, że w *Karierze Nikodema Dyźmy* zagrał pułkownika Warede. Dlaczego w 1983 r. przeszła pani z Ateneum do Teatru Polskiego?

To kolejny przypadek. Choć podobno, jak twierdzą filozofowie, przypadek to bliżej nieznaną nam konieczność... Grałam z Romanem Wilhelmem w Ateneum *Dwoje na huśtawce* w reżyserii Kazimierza Kutza (dodam, że choć oboje z Romkiem byliśmy aktorami Ateneum, to ten akurat spektakl graliśmy tam gościnnie, było to bowiem przedstawienie teatru Scena na Piętrze w Poznaniu). Kazimierz Dejmek, wielka



postać polskiego teatru i ówczesny dyrektor Teatru Polskiego, przyszedł na nasze przedstawienie, a potem... do mojej garderoby i powiedział: „A może byś aśka zagrała wreszcie jakąś rolę z wielkiego repertuaru, z Szekspira?” I tak się stało, przyjąłem zaszczytną propozycję angażu, choć nie było mi łatwo rozstać się z Ateneum. Za namową Aleksandry Ślaskiej przyrzekłam nawet dyrektorowi Warmińskiemu, że zagram Szekspira, Wyspiańskiego w Polskim na Karasia i za dwa lata wrócę na Jaracza.

I...?

I w Teatrze Polskim gram już od 40 lat. Nie miałam i nie mam powodu, żeby na stałe zmieniać teatr.

A skąd wzięła się w Pani teatralnej karierze dwuletnia „ucieczka” do Teatru Współczesnego we Wrocławiu, w którym grała pani w latach 1995-1997?

To był taki mały „transfer”. Teatr Współczesny we Wrocławiu zaproponował mi dwie piękne role: siostrę Ratched w *Locie nad kukułczym gniazdem* i Lubow Ranieńską w *Wiśniowym sadzie* Czechowa. Czy można było odmówić? Przez cały ten czas byłam jednak w zespole Teatru Polskiego w Warszawie, choć na urlopie.

Teatr Polski przez lata uchodził za ostoję tradycjonalizmu. A jednak to właśnie tam miała pani okazję pracować z Moniką Strzępką, uchodzącą za przedstawicielkę progresywnego nurtu w teatrze.

Przygoda teatralna z Moniką Strzępką była ważna i wyjątkowa. Wyreżyserowała w naszym teatrze dwa spektakle: *MG* i znakomite, wybitne przedstawienie *Króla* wg Szczepana Twardocha, w którym zagrałam Ryfkę z Palestyny. Z bardzo różną i twórczą optyką na teatr stykam się w naszym teatrze na szczęście od wielu lat. Jest u nas i awangarda, i teatr środka. Reżyserują m.in. Anna Smolar, Antoni Libera, Maciej Wojtyśko, Michał Walczak, Krystyna Janda, Grzegorz Jarzyna, Magda Umer, Dan Jemmet. Widzowie to doceniają. Teatr Polski już od co najmniej kilkunastu lat nie jest tzw. bastionem tradycjonalizmu. Muszę jednak stanąć w obronie Teatru Polskiego sprzed lat, za czasów dyrekcji Dejmka, postrzeganego wtedy siłą rozpędu jako „teatr lektur szkolnych”.

Jak więc wg pani doszło do tego, że Teatr Polski miał taką opinię?

Było kilka przyczyn, które sprawiły, że do Teatru Polskiego przylgnęła ta – nie tylko moim zdaniem – niezasłużona, krzywdząca opinia. Owszem, były spektakle słabe, chybione, mało twórcze, tzw. obrazki z przeszłości. Sama kilka razy ziewałam z nudów, siedząc na widowni. Ale zaistniały też na tej scenie, szczególnie właśnie za dyrekcji Kazimierza Dejmka,

przedstawienia twórcze, mądre, mocno rezonujące z naszą rzeczywistością, z wielkimi kreacjami aktorskimi, w kilku przypadkach spektakle wybitne. Niektórzy teatromani pamiętają na szczęście wielkie sukcesy tej sceny z tamtych czasów, jak np. niektóre staropolskie inscenizacje Dejmka, sztuki Mrożka, Fredry, klasykę niewpisującą się w modne trendy zmieniające sens przekazu wielkich autorów... „Bo można – jak mówił mój rektor, Eugeniusz Fulde – zagrać Hamleta nago i w pokrzywach, tylko po co?”... Szekspira nie trzeba poprawiać, trzeba go tylko z talentem zrealizować i można nawet bardzo nowocześnie! Za Dejmka np. zagrałam Porcję w *Kupcu weneckim* w reż. Tadeusza Minca, w świetnym spektaklu docenionym nawet przez londyński Teatr Globe. Oni zachwycili się tym przedstawieniem, a nasze modne ówczesne elity... średnio. Poza tym Dejmek służył z dosadnego języka i szczerości. Parę razy publicznie obnażył nieuctwo krytyków, nieuczciwe, nieetyczne, koniunkturalne zachowania niektórych opiniotwórczych dziennikarzy. Nie mogło się to podobać...

Nie pożegnała się pani na stałe z teatrem Ateneum. Po spektaklu autorskim *Kobieta...*, który pani wyreżyserowała i zagrała w 2000 r., w 2011 wróciła pani raz jeszcze, by wystawić *Sceny niemalże małżeńskie* Stefanii Grodzieńskiej z panią i Grzegorzem Damięckim w rolach głównych. Co Panią skłoniło, by z pisarstwa Grodzieńskiej zrobić muzyczny spektakl teatralny, a potem telewizyjny?

Impulsem była niezgoda, złość (żeby nie powiedzieć ostrzeżenie) na to „niepoczucie humoru”, z którym stykałam się w wielu rozrywkowych produkcjach telewizyjnych czy kabaretowych. Niezgoda na taki prostactki, gruby żart dla niewybrednych. Stefania Grodzieńska i jej „kawałki”, jak nazywała swoją twórczość, to klasa, finezja, groteska, poczucie humoru, pod którym podpisuję się obiema rękami! A nawet abstrakcyjny żart, kiedy np. porzucona przez mężczyznę, zapłakana, śpiewam do świątecznego karpia pływającego w wannie, przebój Jerzego Jurandota: *Nikt mnie nie rozumie tak jak ty...* *Sceny niemalże małżeńskie* Stefanii Grodzieńskiej gramy nieprzerwanie od 14 lat! Mamy widzów, którzy byli na tym przedstawieniu już kilkanaście razy.

W 1987 r. zagrała pani w filmie, który osobiście uważam za nieodkryte arcydzieło polskiego kina – mam na myśli *Anioła w szafie* Stanisława Różewicza, w którym partnerowaliście sobie jako małżeństwo z Jerzym Trelą. To także film bardzo warszawski, nakręcony w dużej części w stolicy.

Ta opinia, panie Rafale, nieodosobniona zresztą, to miód na moje serce. Stanisław Różewicz to wybitny, wyjątkowy twórca, niezwykle dla mnie ważny.

Nawiasem mówiąc, mimo że od śmierci pana Stanisława minęło sporo lat, to ciągle jestem w serdecznym kontakcie z jego synem. Kiedy Stanisław Różewicz zaczął pisać scenariusz do *Anioła w szafie*, poprosił mnie o spotkanie. Najpierw jedno, potem kolejne. I nie były to zdjęcia próbne, tylko rozmowy. Poznawał mnie, czerpał ze mnie, tworząc moją postać. To była piękna współpraca z Niezwykłym Reżyserem i Niezwykłym Człowiekiem. Do dziś mówię o Stanisławie Różewiczu, że był to reżyser „nic na sprzedaż”. Był kimś całkiem osobnym i zawsze wiernym samemu sobie, niezwykle prawym.

Na pani filmowej drodze znalazł się także gwiazdor światowego kina, człowiek, którego samobójcza śmierć pokazała, że choć rozśmieszał miliony, sam borykał się z najstraszniejszymi demonami. Mam oczywiście na myśli Robina Williamsa, z którym grała pani w filmie *Jakub kłamał* z 1999 r.

Zagrałam w oscarowej, filmowej obsadzie, np. moim filmowym mężem był Alan Arkin. A Robin był..., niestety był..., wspomniałbym artystą i świetnym kolegą. Wielokrotnie na planie filmowym i po zdjęciach i ja, i mój syn, który był jego asystentem, doświadczyliśmy jego absolutnie niegwiazdorskich zachowań, wielkiej serdeczności. Śmierć Robina przeżyłam bardzo osobiście.

Zaczęliśmy od Warszawy i na Warszawie będziemy kończyć. Od jak dawna jest pani mieszkanką Ursynowa? Całe moje dorosłe życie to południe Warszawy. Stegny, Mokotów i od przeszło dwudziestu lat Zielony Ursynów. Ta zieloność bardzo mnie cieszy, bo to przecież nie tylko mój własny komfort, ale i więcej ptasiego śpiewu i lepszego powietrza w całym naszym mieście.

A czy coś w stolicy panią irytuje? Ma pani teraz okazję publicznie to zgłosić na łamach STOLICY!

Spodziewałabym się (i apeluję o to!) więcej zdecydowanych działań odpowiednich służb na ogłuszające rykiem silników pseudowysięgi motocykli i samochodów na naszych ulicach. Popisujący się, bezkarni motoryzacyjni terroryści niszczą nasze zdrowie!

I tu już chciałem pani podziękować za rozmowę, ale to byłby z mojej strony gruby nietakt! Jest pani przecież aktorką wciąż rozchwytywaną. Ba, nawet na chwilę przed włączeniem dyktafonu poprosiła pani o sprawne i szybkie napisanie niniejszego wywiadu, bo już za



Grażyna Barszczewska w spektaklu Wiesława Myślińskiego *Kochany, najukochańszy...*, Teatr Polski 2024

chwilę będzie pani bardzo zajęta. Jakie więc są pani najbliższe artystyczne plany?

Nie żyję przeszłością, szkoda na to czasu. Mam właśnie przed sobą kilka pięknych, dużych projektów. Co z nich wyniknie? Zobaczymy. Aktualnie gram kilka niemałych ról w Teatrze Polskim. Już po raz drugi – po Wrocławiu – Lubow Ranieńską w *Wiśniowym sadzie* w reżyserii Krystyny Jandy, monodram *Kochany, najukochańszy...* w reżyserii Magdy Umer, według *Ostatniego rozdania* Wiesława Myślińskiego, bardzo ważnego dla mnie twórcy i przyjaciela, Eugenię w *Tangu* Mrożka w reżyserii Wawrzyńca Kostrzewskiego i ciągle, gościnnie, *Sceny niemalże małżeńskie...* w Ateneum. Zapraszam! Wciąż cieszą mnie te niezwykle spotkania z publicznością. Każdego wieczoru czekam na ten wyjątkowy dialog z widzami, na ich wstrzymany oddech, wzruszenie, śmiech, na to niezwykle COŚ, co nas łączy, a co jest sensem uprawiania przeze mnie tego zawodu. Otrzymuję sygnały od widzów świadczące, że moja sztuka nie jest im obojętna.

Listy, mejle, rozmowy za kulisami, czasem przypadkowy uśmiech czy kilka zdań na ulicy, w urzędzie – to wszystko utwierdza mnie w przekonaniu, by póki zdrowie i siły mi dopisują – nie schodzić im, widzom, z oczu. 🍷

Zapomniany niebotyk

Jerzy S. Majewski

O kamienicy przy ul. Hożej 62 prawie nikt nie pisze. Łatwo ją przegapić. Częściowo zniszczona w czasie II wojny światowej, a w trakcie odbudowy znacznie przekształcona, obniżona i pozbawiona wyrazu, nie przyciąga uwagi. Trudno też odnaleźć dziś w budynku ślady dawnego luksusu

Nie zawsze jednak tak było. Kiedy w 1922 r. Mieczysław Orłowicz pisał swój przewodnik po Warszawie, wspominał budynek. Musiał wywierać na nim wrażenie zarówno skalą, jak i nowoczesnością. Projektantem domu był Edward Eber, który przed 1914 r. lubił sięgać po nowe rozwiązania techniczne i oszczędny detal architektoniczny.

Niebotyk, jakim była kamienica przy ul. Hożej 62, miał wysokość ograniczoną ciśnieniem wody w sieci miejskiej. Aby w budynku upchnąć jak najwięcej mieszkań, przy bocznej ulicy, gdzie ruch nie był wielki, bardziej się kalkulowało pogрузić sklepy do połowy wysokości pod ziemią i dodać dzięki temu jedno piętro mieszkalne więcej. Podobnie było np. w kamienicy przy ul. Hożej 39, o której jeszcze wspomnimy. Sklepy w suterenach miały efektownie opracowane witryny. Nic z tego nie przetrwało.

Eber zbudował tę wczesnomodernistyczną kamienicę w latach 1912-1913 na zlecenie małżeństwa Bielców (Biele

i Maksa Seydenbeuthla. Była to kolejna realizacja architekta dla rodziny spowinowaconego z nim spekulanta budowlanego. Kamienica dziś ma sześć pięter, pierwotnie była o piętro wyższa. Ma podwórko studnię. Stojąc na dół i zadzierając głowę, nadal czujemy, jak jest głębokie.

Z nielicznych zachowanych fotografii, znajdujących się m.in. w archiwum BOS, można się przekonać, że elewacja domu, choć oszczędna, była bardzo efektowna. Ożywiały ją dwa wielopiętrowe wykusze. Wystrój architektoniczny odwoływał się do przetworzonych w duchu wczesnego modernizmu form klasycyzmu. Do dziś zachowały się pozostałości detalu w rodzaju perełek zdobiących kroksztyn wykusza czy dekoracje niektórych balustrad balkonowych od strony podwórka. Najlepiej zachowanym elementem pierwotnego wystroju są metalowe balustrady schodów paradowej klatki schodowej. Zdobí je charakterystyczny dla twórczości Ebera późnosedecyjny, geometryzujący detal z motywem rombów i owali.

Trudno cokolwiek powiedzieć na temat wystroju przejazdu bramnego, z wyeksponowanym wejściem na główną klatkę schodową. Można wysnuć pewne analogie do wyglądu znacznie szerszego, zachowanego przejazdu bramnego w kamienicy przy ul. Nowogrodzkiej 40, także projektu Ebera. Być może ściany i sufit przejazdu dekorowane były sztukaterią, na posadzce leżały płytki bramowe, zaś ściany do pewnej wysokości wyłożone były kamiennymi płytami. Po wojnie z paradowej klatki schodowej znikły pierwotne drzwi prowadzące do mieszkań, a z dwóch ogromnych mieszkań na każdym piętrze w części frontowej zrobiło się aż po siedem małych.

W końcu 1912 r. budynek musiał być już wzniesiony, choć jeszcze nie był wykończony. Późną jesienią 1912 r. doszło w nim do tragicznego wypadku. Robotnik pracujący przy montażu windy, 14-letni Stefan Piwnicki, spadł do szybu. Lokatorzy zaczęli wprowadzać się w 1913 r. Jesienią 1913 r. na łamach „Kuriera Warszawskiego” cyklicznie ukazywały się ogłoszenia z ofertą mieszkań w kamienicy: 4-, 5- i 6-pokojowych, z wszelkimi wygodami, czyli gazem, elektrycznością, windami, odkurzacami, lodownikami, kasetkami, zmywakami i umywalniami. W kamienicy zastosowano też centralne ogrzewanie, co oznacza, że zamiast pieców w mieszkaniach były kaloryfery.

W budynku, być może w lokalach w suterenie, rozsiadły się przedsiębiorstwa związane z budownictwem. Działało tu m.in. biuro techniczno-budowlane Maksa Seydenbeuthla, a w latach 30. biuro przedsiębiorstwa budowlanego braci Marka, Jakuba i Edwarda Lichtenbaumów. Przedsiębiorstwo powstało już w 1904 r. Jego rozwój został przyhamowany przez wybuch rewolucji 1905 r., ale kilka lat później, po 1909 r., firma radziła sobie na tyle dobrze, że Lichtenbaumów stać było na budowę luksusowej kamienicy przy ul. Hożej 39, kupionej później przez prymadonę operetki warszawskiej Wiktorię Kawecką. Z czasem firma przeprowadziła się pod nowy adres – właśnie na ul. Hożą 62. W końcu lat 30. XX w. przedsiębiorstwo prowadziło prace przy wielu nowoczesnych kamienicach. Właściciel Marek Lichtenbaum, z wykształcenia inżynier budowlany, w międzywojniu był ważną postacią żydowskiej społeczności stolicy. Kiedy władze sanacyjne w 1937 r., w okresie najsilniejszej nagonki na społeczność żydowską w Polsce, podjęły decyzję o rozwiązaniu Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w stolicy, obok ośmiu innych



Przejazd bramny, podwórze studnia i wnętrze klatki schodowej kamienicy przy ul. Hożej 62



działaczy został on zaproszony do Tymczasowej Rady Przybocznej przy Maurycym Mayzlu – nowym, komisarycznym prezesie Gminy. Innym z członków Rady został Adam Czerniaków. Kiedy jesienią 1939 r. zaczęła się okupacja, Rada – stanowiąca tymczasowy zarząd Gminy – stała się zarządem Judenratu utworzonego przez Niemców. Na czele 24-osobowej Rady stanął Adam Czerniaków, zaś Marek Lichtenbaum został jego następcą. Był jedną z najważniejszych postaci w getcie. Nie był lubiany. Uchodził za aroganckiego i warcholę, choć jednocześnie miał opinię dobrego, twardego organizatora. Nie lubiano też jego dwóch synów, mających opinię zdemoralizowanych przedstawicieli złotej młodzieży. Kiedy 23 lipca 1942 r. Czerniaków popełnił samobójstwo, na zwołanym pilnie nocnym posiedzeniu radców Gminy Lichtenbaum objął kierowanie Judenratem. Praktycznie nie miał już wtedy władzy wykonawczej. W trakcie ostatecznej likwidacji getta w kwietniu 1943 r. został rozstrzelany przez Niemców na Umschlagplatzu wraz z kilkoma radcami z Judenratu, a ich zwłoki zostały przez morderców wyrzucone na śmietnik.

W 1944 r. budynek przy ul. Hożej 62 miał zdewastowane ostatnie piętra, ale przetrwał niemal cały wystrój fasady. 12 stycznia 1946 r. wydział Pogotowia Budowlanego BOS wydał zlecenie rozbioru ścian ostatnich kondygnacji. Miejscami dokonano rozbioru do wysokości trzeciego piętra. Jarosław Zieliński pisał w swoim *Atlasie dawnej architektury ulic i placów Warszawy*, że odbudowę przeprowadzono dopiero w 1971 r., zakładając stropy ogniotrwałe w miejscu drewnianych. Zapewne wówczas dokonano radykalnego usunięcia detalu, przebudowy witryn w przyziemiu oraz wnętrza sieni i klatek schodowych. Najpewniej też wtedy przebito dziesiątki wąskich i wysokich okien w ścianach szczytowych kamienicy. ❧

W 1944 r. budynek przy ul. Hożej 62 miał zdewastowane ostatnie piętra, ale przetrwał niemal cały wystrój fasady. 12 stycznia 1946 r. wydział Pogotowia Budowlanego BOS wydał zlecenie rozbioru ścian ostatnich kondygnacji. Miejscami dokonano rozbioru do wysokości trzeciego piętra. Jarosław Zieliński pisał w swoim *Atlasie dawnej architektury ulic i placów Warszawy*, że odbudowę przeprowadzono dopiero w 1971 r., zakładając stropy ogniotrwałe w miejscu drewnianych. Zapewne wówczas dokonano radykalnego usunięcia detalu, przebudowy witryn w przyziemiu oraz wnętrza sieni i klatek schodowych. Najpewniej też wtedy przebito dziesiątki wąskich i wysokich okien w ścianach szczytowych kamienicy. ❧



Zdjęcie legalnych papierosów

SZWARCÓWKI

Jarosław Górski

Młode polskie państwo po odzyskaniu niepodległości desperacko poszukiwało dochodów. Dlatego też ustanowiono monopol państwowy na wiele towarów konsumpcyjnych i wprowadzono drakońskie kary za jego łamanie

S pore zyski mógł przynosić Państwowy Monopol Zapalczany, ten jednak... wydzierżawiono Spółce Akcyjnej dla Eksploatacji Państwowego Monopoli Zapalczanego w Polsce kontrolowanej przez szwedzkiego potentata zapalczanego i aferzystę Ivara Kreugera w zamian za paskarsko oprocentowaną pożyczkę. Towarami monopolowymi, których produkcja i sprzedaż była pilnie kontrolowana, a cenę podnosiła bardzo wysoka opłata akcyzowa, były drożdże winiarskie, piwne i piekarnicze, ocet, sól i cukier, a że były one także niezbędnymi surowcami do wyrobu produktów żywnościowych, przyczyniały się do wzrostu cen tychże. Oczywiście wielkich kwot dostarczał budżetowi państwa monopol spirytusowy. Jednak nawet on nie był tak

intratny jak Polski Monopol Tytoniowy, który zapewniał około 14 proc. wpływów skarbowych. Nic więc dziwnego, że palacze – a i pijący – uważali się za elitę narodu, dzięki której z takim trudem odzyskana polska państwowość może istnieć i się rozwijać.

W międzywojennej Warszawie palić można było wszędzie: w urzędach, na poczcie, na kinowej i teatralnej widowni. Nikogo nie dziwił lekarz przyjmujący pacjentów z papierosem w ustach czy dyrektor gimnazjum zaciągający się dymem przy wygłaszaniu przemowy do uczniów. Panie niepalące uważane były w najlepszym wypadku za tradycjonalistki, bojące się równouprawnienia i nowoczesności. W wojsku jedną z najczęściej wydawanych komend było „Spocznij! Wolno palić!”.

W jednym z dwóch wagonów każdego tramwaju palacze cieszyli się nieskrępowaną wolnością obcowania ze swoim nałogiem. Scenkę z takiego wagonu, znakomicie ilustrującą hegemonię palaczy w międzywojennej Warszawie, nakreślił w felietonie *Wagon dla palących* z 1933 r. Wiech:

– Pfu! Wytrzymać nie można w tym tramwaju. Co za ohy-da! Udusić się można. Istna wędzarnia – narzekała głośno w przyczepnym wagonie tramwaju nr 16 jakaś pani w modnym futrze *agneau rasé*. Uwagom tym towarzyszyły wymowne spojrzenia kierowane w stronę dwóch palących panów siedzących wprost niej.

Namiętni palacze nie reagowali na te docinki, tym skwapliwiej otaczając się kłębam dymu.

– W dodatku nie rozumiem, jak można palić taką ohydę. To chyba tarta słomianka.

– W każdym bądź razie nie spod paninych drzwi. A w ogólności nie wyrażają się pani o państwowym wyrobie, nie obrażają tureckiego tytoniu w rocznicę odsieczy Wiednia, bo to i nieładnie, i pretokólik można zestawić, na trzy miesiące więzienia z zamianą na pięć tysięcy złotych grzywny – odparł jeden z palaczy.

– Armiejskie kadzidło pójdziemy dla pani szanownej palić, tak? – poparł go drugi nałogowiec.

– Jednak mógłby pan puszczać dym w bok, a nie tak dmuchać komuś prosto w twarz.

– Wypuścić dym z boku? Którędy, się zapytam? Za wybryka natury, za indiańskiego fakira, co go się dymi z ucha, się zostanie, tak? Dlaczego? Dlatego, że jednej pani się tak spodobało? To ja jeszcze nie mogę.

– Kto lubi świeże powietrze, powinien wierzchem na koniu jeździć, a nie w tramwaju – dodał pierwszy pan.

Czy panowie rzeczywiście palili papierosy państwowej produkcji z tureckiego tytoniu? Można wątpić. Te były drogie i dla pasażerów tramwajów posługujących się gwarą warszawską raczej niedostępne.

Produkowane z tureckiego – czyli wytarzanego na terenie dawnego imperium osmańskiego, także w Egipcie czy Bułgarii – tytoniu papierosy Egipskie Specjalne kosztowały w detalu 20 gr za sztukę, Triumf 16, Złota Pani i Sfinks po 12. W papierosach Dames i Kairo, po 11 gr za sztukę, Ariston za 9, Pani (już nie Złota) i Egipskich zwykłych po 8 gr były tylko domieszki importowanego tytoniu. Marki tanie, jak Ergo po 6 gr za sztukę, Fervor, Grand Prix i Sport po 5 gr, Damskie i Avanti po 4 gr, Aromatika, Wisła, Sokoły i Wanda po 2 gr, produkowano z tytoniu krajowego, którego aromaty faktycznie mogły rozżłoscić niepalącą pasażerkę. Papierosy można było sprzedawać wyłącznie w oryginalnych pudełkach po 10 lub 20 sztuk. Sprzedaż pojedynczych groziła sprzedawcy odebraniem koncesji i bardzo wysoką grzywną, choć oczywiście miała miejsce bardzo często, bo nierzadko zdarzało się, że nałogowcy potrzebowali zapalić, a nie stać ich było na całą paczkę najtańszych papierosów.

Obraz Henryka Grombeckiego sprzed 1933 r.



Możemy też podejrzewać, że dowcipni pasażerowie tramwaju nr 16 palili tzw. szwarcówki, czyli papierosy produkowane nielegalnie i sprzedawane przez niezliczonych niekoncesjonowanych sprzedawców. Nazwa szwarcówki pierwotnie oznaczała papierosy z przemytu (od szwarcować, czyli przemycać), jednak rozszerzyła się na wszystkie papierosy produkowane i sprzedawane nielegalnie.

Warszawskie wytwórnie szwarcówek pracowały na różną skalę, choć przeważnie były to małe warsztaczki mieszczące się w prywatnych mieszkaniach, piwnicach i na strychach. Bibułki zazwyczaj pochodziły z przemytu, zaś tytoń rzadko. Przeważnie kupowano go od rodzimych nielegalnych plantatorów lub złodziei okradających legalne uprawy z Lubelszczyzny i Wołynia. Policjanci z tych regionów byli szkoleni z rozpoznawania roślin tytoniu, tajne uprawy musiały być więc dobrze ukryte, co było tym trudniejsze, że tytoń wymaga jak największego nasłonecznienia. Po gorszej jakości tytoń oraz machorkę wyprawiano się na ziemie dawnego zaboru niemieckiego, na Śląsk i Kaszuby, gdzie istniała silna tradycja uprawiania go na własne potrzeby w przydomowych ogródkach, na co policja przysmykała oko. Tak pozyskany surowiec często suszono i fermentowano już w Warszawie na strychach domów, co nie

sprzyjało jego smakowi i zapachowi. Potem krojono ostrymi nożami na paseczki i ręcznie lub przy pomocy specjalnych maszynek zawijano w bibułki. Do tytoniu dodawano nierzadko domieszki mające jeszcze obniżyć koszt produkcji, wśród których mogła się zdarzyć i tarta słomianka. Podobne dodatki uzupełniały tytoń w papierosach produkowanych w sposób, o jakim wspominał w swoim Rozkazie Dziennym z 22 sierpnia 1919 r. Mieczysław Szaciński, naczelnik warszawskiej policji: „Polecam zwracać baczną uwagę na handlarzy ulicznych papierosami, którzy wykupują papierosy monopolowe t. zw. o całym paleniu i z jednego monopolowego papierosa wyrabiają od 3-ch do 4-ch «szwarcówek», które sprzedają po 40-50 f. za sztukę”.

Namiętni palacze kupowali także szwarcówki oraz tytoń od przedsiębiorców takich jak Kamil Kurant, bohater autobiograficznej powieści Zbigniewa Uniłowskiego *Dwadzieścia lat życia*. Dziewięcioletni Kamil wraz z rówieśnikiem Markiem swoją fabryczkę urządził jeszcze za niemieckiej pierwszowojennej okupacji na podwórzu jednej z kamienic Powiśla:

„Fabryka mieściła się na podwórku, we wnęce, między ścianą budynku i jedną z trzech ścian domu, okalających podwórko. Był to kąt zaciszny, przesłonięty daszkiem z rozmaitych gratów, stała tam gruba decha na dwu starych beczkach, na desce leżał czysty i gładki kamień, przy desce mogło stanąć obok siebie dwóch robotników i pracować zupełnie swobodnie. Na razie Kamil pracował ze swym wspólnikiem, Markiem. Marek miał dział tytoniu, Kamil dział pestek. Po mieście chodzili agenci, poszukujący surowca. Dochód z całego dnia dzielony był w połowie między obu wspólników, pozostałe pięćdziesiąt procent przeznaczone były na wypłatę dla dostawców towaru. [...] Kamil tłukł pestki od śliwek na kamieniu i jądra odkładał do torby, Marek wydobywał tytoń z niedopałków, odrzucał nadpalone cząstki i czysty produkt pakował w małe, papierowe kostki. [...] Dochody nie były wielkie, ale dawały możliwość kilku chłopcom kupienia sobie czegoś do jedzenia: bułek, nieco masła, nawet wody sodowej czy tanich cukierków. Paczuszki z tytoniem kupowali, płacąc po kilkanaście fenigów, robotnicy nad Wisłą, piaskarze, czeladnicy szewscy z małych warsztatów. Natomiast oczyszczone z łupin pestki od śliwek kupowały apteki, nieźle nawet płacąc, dla jakichś tam swoich, leczniczych celów. Pestki i niedopałki zbierali chłopcy z sąsiednich domów, włócząc się po ulicach i ogrodach. Dostawali oni wynagrodzenie, zależnie od ilości dostarczonego towaru, na oko”.

Niedopałki na szwarcówki były surowcem cennym i nikogo w stolicy nie dziwiły dzieci zbierające je na ulicach i w parkach, a nawet wdzierające się do kawiarni i opróżniające popielniczki. Uliczni zbieracze szukali także wyrzuconych pudełek po papierosach do powtórnego użycia. Felietonista „Kurjera

Warszawskiego” (1933, nr 143) oburzał się, że w Warszawie, inaczej niż w innych europejskich stolicach, „nawet papierosy kupuje się «szmuglem», cichcem, od podejrzanych indywiduów, syczących konspiracyjnie: «Papierossy... Papierossy...». Te indywidua sprzedają «szwarcówki», papierosy domowego wyrobu, albo w otwartych, a potem na powrót sklepanych pudełkach monopolowych, papierosy zagadkowego pochodzenia... Dlaczego tak jest?”.

Niektórzy producenci szwarcówek zamawiali nawet pudełka z nadrukiem własnej nazwy i znaku graficznego, jednak sprzedaż najczęściej odbywała się na sztuki. Palacze doskonale wiedzieli, jaką ulicą powinni się przejść, aby spotkać sprzedawcę. Wielu zresztą miało stałych zaufanych dostawców, którzy dostarczali towar do mieszkania. Po groszu za sztukę, przy zakupie większej liczby papierosów można było jeszcze negocjować ceny.

Władze robiły co mogły, aby proceder produkcji i sprzedaży szwarcówek ukrócić. Widok policjantów rewidujących na ulicy osobnika podejrzanego o sprzedawanie niemonopolowych papierosów nie był rzadkością. Fabrykanci szwarcówek na większą skalę musieli się liczyć nie tylko z karą więzienia, lecz i koniecznością zapłacenia rujnującej opłaty akcyzowej naliczonej przez urzędników po uważaniu.

Starano się oddziaływać także na nabywców, w czym władze państwowe wspierała prasa. „Wielkie zyski – pisał „Kurjer Poranny” (1932, nr 272) – osiąga państwo nasze z Monopolu Tytoniowego, mając wyłączność fabrykacji i handlu produktami tytoniowymi. Kto więc pali papierosy «szwarcowane», popiera tem samem pokątny handel papierosami, przynoszący znaczne szkody państwu. Czy taki palacz «szwarcówek» zasługuje na miano dobrego obywatela i patrioty? Chyba nie. Gdybyż jeszcze te «szwarcówki» lepsze były od wyrobów monopolowych. Ale gdzie tam. Ani ich porównać. Po co więc przynosić stratę państwu i narażać swoje dobre imię?”.

Powszechnie pisano także o tragicznych warunkach sanitarnych, w jakich powstają szwarcówki. Podkreślano, że o ile monopolowe papierosy są nieszkodliwe



Uliczna sprzedaż papierosów, 1927 r.

Reklama papierosów zdrowotnych, 1933 r.



dla zdrowia (niektórzy lekarze nawet zalecali umiarkowane palenie... gruźlikom, gdyż miało ono ułatwiać odkrztuszanie płwociny). Tygodnik „Wiarus” pouczał oficerów Wojska Polskiego: „Jest rzeczą zasadniczą, by to, co bierzemy do ust, było naprawdę czyste, lecz czyż może być czysty gdzieś pokątnie w ukryciu i w najgorszych warunkach higienicznych wyrabiany papieros, który przeszedł przez dziesiątki rąk, często zakażonych, wydmuchiwany ustami, przechowywany Bóg wie gdzie. Papierosy takie nazywamy popularnie «szwarcówkami». Należy się ich wystrzegać. Tanie, praktyczne i zdrowe są tylko papierosy monopolowe”.

A jednak palacze niechętni przepłacać to nie zniechęcało. Szwarcówki przetrwały wojnę i tużpowojenne niedobory. Zniknęły w latach 50., kiedy komunistyczne władze zlikwidowały Państwowy Monopol Tytoniowy w 1953 r. i uznały, że dostarczenie klasie robotniczej tanich i powszechnie dostępnych papierosów jest obowiązkiem socjalistycznej gospodarki. ❀

W powietrzu!

Przemysław Śmiech

Ponieważ że warunki pogodowe rozpieszczają, poszedłem do Kici Koci na zimne piwonie. Wchodzę wewnątrz i kogóż widzę namacalnie? Pana Ambrożego Keksa, mego sąsiada, który siedział przy stoliku nad kufelkiem.

– Serwus! Dawno nie miałem zaszczytu! – zawołałem.

– Na powietrzu się poruszałem – odpowiedział sąsiad.

– Po łonie natury pan zasuwałes?

– Nie. Do miasta Paryża udałem się statkiem powietrznym.

– W celu?

– Znajomka tam posiadam. W młodości dał dyla do Legii Cudzoziemskiej, a po zakończeniu kariery mylitarnej osiadł w cieniu wieży Ajfla.

– A jak podróż lotnicza?

– Daj pan spokój... umordowałem się jak w pekaesie do Grójca...

– Z powodu dlaczego?

– Już objaśniam. Po pierwsze primo w takim aparacie latającym ścisk jest niemożliwy. Po drugie silnik huczy jak stary autosan. A nawet jak człowiek przymknie oko, to są murowane inne atrakcje.

– Na przykład?

– Na przykład współpasażerowie. W aeroplanie siedzi się po trzy osobniki. Ja siedziałem na pośrodku. Przy lufciku siedział jakiś facet, przy przejściu jakaś magnifika.

– Ładna, panie Ambroży? – zapytałem.

– Kiedyś bez wątpienia. Właśnie pochowała trzeciego męża i podróżowała jako nieotulona w żalu wdowa.

– Czyli tonęła we łzach?

– Otóż nie. Oczkami we mnie strzelała, wzdychała i zaznaczała: „trzech królów moich odeszło, przydałby się czwarty do karety”.

– O rany boskie!

– Temczasem facet obok miał taboleta i filmy na niem oglądał. O katastrofach lotniczych.

– No to poruta – oceniłem współczująco.

– Pomyślałem, że może utne drzemkie. Ale co mnie letko zmorzyło, to jakaś facetka zaczynała nadawać przez megafon. A to, że można kupić tanio ankoł. A to, że perfume. A to, że koryto można zamówić, a jak dużo pan zamówisz, to dostaniesz pan jeszcze batonika.

– Trajlujesz pan!

– Tak było! I z tego koryta wyszła draka.

– Gdyż?

– Gdyż mój sąsiad zabijał się w stewardessie i zaczął jej nawijać makaron na uszy akonto jej cudnej urody. Specjalnie co i raz zamawiał aprowizację, żeby do niego przylatała. Całe menu wtrącał. Pani go wtedy spytała, czy smakowało.

– A on co?

– Że z takich rączek wszystko jest bardzo doskonałe. Lecz niestety nadeszła torbolencja...

– Czyli co?

– Czyli zaczęło samolotem bujać jak karuzela na Bielanych. Facjata mego towarzysza podróży zrobiła się bieluśka, potem seledynowa, a w końcu wielki smakosz chwycił specjalne torbe i dokonał zwrotu...

– Nie wołał stewardessy na pomoc?

– Jakoś nie. Natomiast ja pomyślałem, że jakieś pamniatki trzeba by kupić. Znakiem tego kupiłem sobie flaszki zagranicznej monopolki, a małżonce maciupci flakonik wody bardzo pachnącej. I wyobrażaj pan sobie, że ta perfuma był pięć razy droższa od mojego napoju!

– Przykra nieprzyjemność... Nie mogłeś pan oddać perfumy?

– Nie, bo trzykrotna wdowa na mnie filowała i troszkie mnie było głupio.

– Czyli z pańskich przygód, panie Ambroży, wyciągamy wniosek, że latanie jest strasznie niebezpieczne.

– No niestety, sianowny sąsiedzie, niestety... ☹



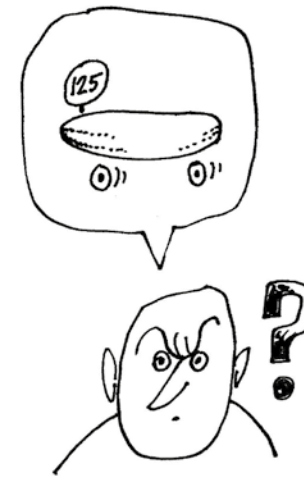
M. Ejsmont

Dzielnica w amfiladzie

Jacek Fedorowicz

Stary Mokotów był kiedyś dla mnie dzielnicą przechodnią. W tym sensie przechodnią, że bywając na Mokotowie, nigdy nie miałem żadnych spraw w tej starej jego części, zawsze nieco dalej. Liceum na Naruszewicza na przykład – to już nie był ten stary, więc żeby się tam znaleźć, Stary Mokotów musiałem jakoś przemierzyć. Przejść. Albo przejechać ze Śródmieścia tramwajem czwórką do pętli Wierzbno albo nieco dalej osiemnastką, ewentualnie autobusem 125 lub 144 i dalej na piechotę. Stary Mokotów był dla mnie dzielnicą przechodnią w obie strony, bo bywało, że mieszkalem odwrotnie, na Wierzbnie przy skoczni, a dojeżdżałem do Śródmieścia. Już nie w celach edukacyjnych, lecz zarobkowych, bo w Śródmieściu rezydowały wszystkie redakcje, którym oferowałem usługi ilustracyjno-tekstowe. Przy okazji: kilka lat temu zdumiałem się, czytając wspomnienie o bardzo dawnym warszawskim autobusie zwanym „ogórkiem”. Jaki ogórek? Pierwsze słyszę! Przecież jako niestrudzony wspominać dawnej Warszawy, a także wieloletni pasażer wyżej wymienionych 125 i 144 nie mogłem się z tą nazwą nie spotkać! Wyjaśnienie okazało się dość proste. Ja jeździłem szosonem (francuski Chausson) we wczesnych latach 50., a Jelcz ogórkiem zwany pojawił się, gdy już kończyłem studia w Trójmieście. Muszę pamiętać, że gdy zaczynam opowieść o Warszawie mojej młodości, to słuchacze odruchowo nastawiają się na czasy napoleońskie.

We wczesnych latach 60. Stary Mokotów przestał być dla mnie dzielnicą w amfiladzie. Stał się dzielnicą docelową, co przyjąłem z radością, bo bardzo mi się zawsze podobał. Rodzime Powiśle, Gdańsk, a potem Śródmieście wciąż męczyły widokiem gruzów, a Stary Mokotów radował zachowanymi fragmentami przypominającymi dawną Warszawę, za którą wtedy bezkrytycznie tęskniłem. Z racji nowego zatrudnienia chodziłem do Klubu Garnizonowego na rogu Madalińskiego i Niepodległości.



Nie, nie zaciągnąłem się do wojska, klub był jednocześnie kinem Grunwald i salą teatralną do wynajęcia. Grywał w niej objazdowy Teatr Wagabunda w okresach, gdy decydował się na stacjonarność. Było to przedsięwzięcie z ambicjami, przewinęli się przez tę scenę świetni wykonawcy, występowały tam Koterbska, Wysocka, aktorzy komediowi z najwyższej półki – Michnikowski, Dziewoński, Czechowicz, „samoobsługowi” autorzy Załucki, Przybora, Osęka, zaś autorzy dostarczający teksty aktorom wywodzili się z grona najlepszych: Brzechwa, Szpalski, Grodzieńska, Jurandot. Po

raz pierwszy na napisanie monologu satyrycznego dał się namówić Dygat, monolog wykonywał Kobiela, co oglądałem z zachwytem, najpierw z widowni, a potem zza kulis, bo Kobiela skutecznie mnie do tego zespołu zaprotegował. Musiał się nieźle namęczyć.

Potem Stary Mokotów wysłał mnie coraz bardziej, bo gdy tylko zdarzało mi się robić coś dłużej, to nie na rodzimym Powiślu, tylko właśnie tam. Na przykład montaż satyrycznej wersji Dziennika Telewizyjnego przez wiele lat odbywał się na Madalińskiego kawałeczek od Niepodległości. Coraz bardziej się przekonywałem, jak bardzo takie stałe uczęszczanie do jakiejś dzielnicy przywiązuje człowieka. Wszystko, co potrzebne człowiekowi w życiu codziennym, przenosi się z miejsca, w którym sypia, do miejsca, w którym pracuje. Powody są proste – wychodzę po montażu, zakupy, jeżeli muszę, to robię od razu na miejscu, bo na Powiślu już będzie zamknięte albo to, co chcę kupić – wykupione. Zegarek się zepsuł? Na Powiślu też będzie zamknięte, a jutro rano jeszcze nieotwarte. I tak ze wszystkim. Na Starym Mokotowie przez wiele lat, nawet jak już przestałem robić Dziennik, miałem swojego stałego optyka (po schodkach w dół), zegarmistrza, zaprzyjaźnioną aptekę i wiele innych miejsc uzależniających. Tylko mój wnuk Mateusz przyszedł na świat na Madalińskiego bez związku z uzależnieniami dziadka. ☹



J. Roqueblave

rys. Jacek Fedorowicz

Warsztaty kolejowe

Krzysztof Olczak

14 czerwca minęło 180 lat od dnia, w którym nastąpiło oficjalne otwarcie ruchu na Drodze Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. W sierpniu natomiast minie 12 lat od rozbiórki ostatnich reliktyw zabudowy przy ul. Chmielnej 73 związanych ze stacją początkową Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej

Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska (DŻWW) kojarzona jest głównie z zaprojektowanym przez Henryka Marconiego dworcem ulokowanym u zbiegu ulicy Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Nie był to jedyny budynek związany z funkcjonowaniem DŻWW. Nie da się eksploatować kolei bez zaplecza technicznego. Tabor, jak również urządzenia stosowane na kolei, wymagają przeglądów i napraw w razie wystąpienia awarii.

Pierwsze budynki lokomotywni, wagonowni i warsztatów ulokowano na terenie pomiędzy ulicami Żelazną, Alejami Jerozolimskimi, dworcem i torami kolejowymi. Otwarcie całej trasy z Warszawy do stacji Granica, wzrost przewozów pasażerskich i towarowych stały się przyczyną budowy nowych warsztatów. Ich budowę rozpoczęto 15 września 1852 r. pomiędzy – nieistniejącym obecnie – odcinkiem ulicy Widok oraz Chmielną. Zbudowano tam hale do napraw parowozów, wagonów, maszynę parową i kuźnię. Budowę ukończono w 1862 r. Dwa lata później podjęto decyzję utworzenia w obiektach przy Chmielnej centralnych warsztatów kolejowych, zajmujących się naprawami parowozów pracujących na wszystkich liniach zarządzanych przez DŻWW.

6 marca 1867 r. na terenie warsztatów wybuchł pożar. W rezultacie doszło do zawalenia się stropów i zniszczenia maszyn. Straty oszacowano na kwotę 100 tys. rubli. Efektem odbudowy i rozbudowy warsztatów był duży wzrost mocy przerobowych zakładu.

W 1862 r. w sąsiedztwie warsztatów od strony ulicy Żelaznej wzniesiono halę wachlarzową lokomotywni z obrotnicą i 16 torami do obsługi parowozów. W latach 1867-1868 lokomotywnię powiększono o nową halę od wschodu, za budynkiem warsztatowym. Taka lokalizacja wymagała zbudowania drugiej obrotnicy, obsługującej nową halę. Parowozownia bez większych zmian dotrwała do wybuchu II wojny światowej.

W latach 80. XIX w. doszło do kolejnej rozbudowy warsztatów DŻWW przy Chmielnej. W ramach tych prac przed 1891 r. uporządkowano zabudowę od strony Chmielnej. Powstały nowe murowane budynki o ujednoliconej architekturze typowej dla zakładów przemysłowych z tego czasu. Pierwszymi były jednopiętrowe budynki administracyjne przy ul. Chmielnej 69 i 71. Obecnie w tym miejscu znajduje się aleja Jana Pawła II i fragment centrum handlowego w sąsiedztwie Dworca Centralnego.



Dalej znajdowały się kuźnia oraz piętrowy budynek magazynowy pod numerem 73. Na zachód od niego, oddzielony krótkim odcinkiem muru, stał parterowy budynek warsztatowy, również przypisany do numeru 73. Za nim w kierunku ulicy Żelaznej był ogrodzony murem teren parowozowni. W latach 1925-1929 w narożniku Chmielnej i Żelaznej wzniesiono zaprojektowany przez Adolfa Inatowicza-Łubiańskiego budynek mieszkalny dla kolejarzy.

Przed 1897 r. zakończono rozbudowę warsztatów. Problem napraw wagonów rozwiązany został poprzez budowę dużych warsztatów w Żbikowie (po wojnie – ZNTK Pruszków).

W warsztatach przy Chmielnej w 1904 r. pracowało 560 osób. Można było jednocześnie naprawiać 38 lokomotyw. Kres istnienia warsztatów nastąpił w czasie II wojny światowej.

Najmniej zniszczone zostały budynek magazynowy i warsztatowy pod numerem 73. W latach 50. rozebrano część budynku warsztatów pod budowę socrealistycznego bloku mieszkalnego dla pracowników PKP. Dalsze rozbiórki były związane zapewne z budową Dworca Centralnego. W ich efekcie jedynym obiektem, który pozostał po warsztatach DŻWW, był krótki czteroosiowy fragment budynku warsztatowego, sąsiadujący z placem budowy niedokończonej części Dworca Centralnego.

Starania społeczników o wpis reliktyw warsztatu do rejestru zabytków zakończyły się niepowodzeniem. Nikt też nie był zainteresowany umieszczeniem tam stałej ekspozycji poświęconej historii DŻWW. Obiekt został zburzony w sierpniu 2013 r. Był to ostatni warszawski relikw zabudowań stacji Warszawa Wiedeńska. Obecnie w jego miejscu znajduje się podjazd do współczesnego biurowca. 🚗

WINCENTY WITOS 1874–1945



WYSTAWA CZYNNA
2.10.2025-30.10.2025

MUZEM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE
PAŁAC PRZEBENDOWSKICH/RADZIWIŁŁÓW
AL. SOLIDARNOŚCI 62, 00-240 WARSZAWA

W PROJEKIE WYKORZYSTANO: WINCENTY WITOS, 1927 R., DOMENA PUBLICZNA.

ORGANIZATORZY

35 lat MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

Mazowsze

INSTYTUT PAMĘCI NARODOWEJ

diuna

PARTNER

diuna

PATRONAT MEDIALNY

100 LAT POLSKIEGO RAZ DLA

HISTORIA

STONICA

ZYCIĘ ŚWIADOMIE

idziemy

MOWIA WIEKI

bryda



DSH ZAPRASZA NA NOWE WYSTAWY:



BUDUJEMY NOWY DOM. ODBUDOWA WARSZAWY 1945–1952

19.09 — 31.10.2025

wystawa plenerowa, Teatr Wielki – Opera Narodowa, Pl. Teatralny 1,
od strony ul. Młocka

4 — 22.11.2025

wystawa plenerowa, ul. Krakowskie Przedmieście (skwer ks. J. Twardowskiego)



WARSZAWA NA NOWO. FOTOGRAFIE REPORTERSKIE 1945–1949

25.09.2025 — 22.02.2026



WWW.DSH.WAW.PL



instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy